



MOTTO:

„Człowiek jest istotą złożoną z materii, ducha, czasu i wieczności. Prawdy o sobie szukamy w nas samych. Tam można znaleźć to, co - być może - wydawało się nam już utracone. Czas ma jedną ważną właściwość - póki trwa, zawsze jest do «uchwycenia»„

ROBERT GOŁĘBIEWSKI

klasa V-b Technikum Budowy Okrętów w Szczecinie
(„Mrowisko”: pismo szkolne z 1981 roku)

SZPETNI CZTERDZIESTOLETNI

AGNIESZKA OSIECKA

Spis tęsknot

„Po to, żeby łązuka mógł zostać magistrem, ja musiałem zostać profesorem” - mawiał świętej pamięci Kazimierz Rudzki, i w pewnym sensie żartował. Dziś żarty powoli się kończą. Coraz poważniejsi ludzie poważnie zajmują się śmiesznymi sprawami. Pisano już doktorat z historii palanta, pan Szlachetko ukończył magisterium o STS-ie¹, pięciu studentów z Wrocławia doktoryzuje się z Adama Pawlikowskiego, zięć pana Gottesmana zaś - z rock and rolla. Takie postaci, jak szatniarz z dawnej „Kameralnej”, bądź

¹ Studencki Teatr Satyryków

słynny niegdyś Henio Meloman, otrzepywane są z kurzu zapomnienia i stawiane w świetle jupiterów. Po Kongresówce i po Galicji krążą młode dziennikarki w średnim wieku i zadają pytania na wszystkie możliwe tematy. Pierwszą taką dziewczynką w moim życiu był Krzysztof Kąkolewski. Ale od tamtego czasu - przez kogóż to ja nie byłam już wywiadowana! Widziałam nawet biografkę „Czerwonych Gitar”. Wygląda na to, że młode wilczki rzuciły się przede wszystkim na lata pięćdziesiąte i na Październik. Wszystko, co było za Stalina i tuż potem - zamienia się powoli w „swinging fifties” (swingujące lata pięćdziesiąte). A co my na to - rówieśniczki i rówieśnicy? Czemuż my sami nie chwycimy za pióro? Chwyćmyż!

Skleroza jeszcze nie gniecie, chłodek nas jeszcze nie trzęsie. Zapisać, to znaczy przecie - pozostać w pewnym sensie.

Nie musimy zresztą zaraz rymować albo brać się za magisteria. Ale bawmy się w lustra, piszmy jedni o drugich. Widziałam niedawno na ulicy Eligiusza Lasotę. Wyglądał świeżo jak róża. Wzrok - bystry. Niechby napisał kilka słów o Himmilsbachu, Himmilsbach o Bratkowskiej, Bratkowska o Nataszy Zylskiej - i tak dalej.

Tekst, który Państwu przedstawiam, ma taki właśnie charakter: są to zapiski z pamięci, rezultat szperania na antresoli: Mały słowniczek odwilży!

Jego bohaterami są nie tylko „sławni ludzie”. Są nimi również przedmioty, a nawet części garderoby (np. skarpetki), ale tylko takie, które w pewnym czasie i dla pewnych oczu miały rangę symbolu.

Zdaję sobie sprawę z tego, że wśród utworów „uporządkowanych alfabetycznie” mamy w naszej literaturze powojennej prawdziwy skarb: „Alfabet wspomnień” Antoniego Słonimskiego. Czy cofnąć się jednak przed tą przeszkodą, tak jak cofałam się przed wieloma innymi?... O, bo że cofałam się, to nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości! Od wielu lat nic innego nie robię, tylko cofam się przed napisaniem tej książki, a to stwierdzam, że brak mi dystansu do przeszłości, a to podejrzewam, że za dużo we mnie tego dystansu; lękam się, że brak mi rozumu na to, aby „ująć” pewne kwestie, to znów obawiam się, że zaleję czytelnika marudnym rezonerstwem. I te de, i te pe, i te de. Tymczasem czas, jak złośliwy kornik, wierci dziurkę w pamięci. Zamazują się ukochane twarze, ulatują strzępy zdań, szyfry młodości coraz rzadziej dają się odczytać. Dziennikarka, nieżyjąca już Elżbieta Szaniawska, kiedyśmy wychodziły z jakiegoś przedstawienia, westchnęła rozpaczliwie: „Majoneza czas zacząć!”... Po jakiej to było sztuce? Kiedy? Ona-ż to była??

...No więc co robić? Milczeć? Holendrować? Zawracać głowę? Odejść pokornie wraz z orszakiem, do którego przynależę? Nie chcę!

No bo czemuż to pcham siwy łeb we wciąż nowy wianek, czemuż nastawiam złachany kark pod coraz to nowe pręgierze, czemu ustawicznie pojawia się w życiu ktoś nowy? - Widocznie mam jeszcze trochę siły. Ale trzeba się spieszyć. To nie jest dobrze dla przeszłości, kiedy terażniejszość wciąż zachowuje żar i smak. I nie jest z pożytkiem dla niczyjego ogrodu ani miasta, kiedy przyjdzie odgrzebywać spod zbyt grubej warstwy popiołu (i diamentu).

...Jakże to miasto się odchamia... Ileż tu pereł, złota, bzu... Jakże ta ziemia wojny wchłania, jakby nie było wojen tu!... Tłuszcją zady naszych aut, maleją stopki naszych dam, i nawet gdyby Wojski grał, nie grałby piękniej, niż ja gram. - Pachną perfumy znanych firm - jest Nina Ricci, Antilope... - I najmodniejszy grają film - i pod krawatem chodzi chłop. ...Jest więcej szczęścia i bon tonu... - Melancholicy, do analiz! ...Jeśli pan doktor będzie w domu - to powie, że za dużo palisz. - Zaraz po wojnie, pan pamięta, telefoniczna książka - to taka była w pasie cienka - jak ważka albo wstążka... - Teraz to gruba jest biblija... Encyklopedia pana Trzaski!... - Tylko że z dala ją omijam - bo bardzo brak mi paru nazwisk...

A

„Aby artystą zostać”

Dziś, w rubrykach ogłoszeń drobnych, pod literą „A” figuruje słynne „Aby antenę założyć...” W połowie lat pięćdziesiątych, gdybyśmy mieli dość rozmachu, radzi zamieszczałibyśmy inne ogłoszenie: „Aby artystą zostać...”

Wtedy jednak marzyło się jak gdyby bardziej chałupnicza i spontanicznie, nie korzystało się z biur ogłoszeń, telefonów, teleksów ani z innych technicznych podpórek. W ogóle z tą techniką byliśmy na bakier. Konwicki, jako litewski żubr, bał się podnieść słuchawki telefonicznej w amerykańskim hotelu, reżyser K. M. wkroczył w szklaną szybę na lotnisku Orły, a Miron Białoszewski pięknie się skomplikował na widok inkasenta z gazowni. Mam na myśli dziesiątki jego doskonałych wierszy o domu i o mieszkaniu... Jednak już pokolenie Janusza Głowackiego ręczo dosiadło samochodów, a ten, co się bał ryczącego potwora, kazał żonie zrobić prawo jazdy i też dobrze! Redaktor A. K. W. przeszedł już nawet z samochodów na „gry telewizyjne”, zaś reklama Master Minda w kiosku brzmi: „Uważaj, ta gra wciąga! Nie zaniechaj codziennych obowiązków”.

My jednak, moi rówieśnicy, zwyczajnie i po prostu marzyliśmy o sztuce. Bez przyrządów i narzędzi, bez pieniędzy - marzyliśmy sobie chałupniczo, lecz energicznie. Wystarczyło trochę szmatek i kolorowej bibuły - i już był spektakl. Budżet pierwszego programu teatryku „Co to” z Gdańska wynosił tysiąc złotych. Tak przynajmniej twierdził Włodek Łajming, malarz i współtwórca „Co to”.

Nie wszyscy mieliśmy talent, czy choćby trochę tego czucia w rękach, które musi mieć każdy iluzjonista. Ale weszło się, że „tędy droga”. Wiedziało się, że biegnąc prędko i uważnie, można traktem Sztuki dobiec do traktu Zmiany.

Nikt jeszcze tej Zmiany dokładnie nie potrafił opisać, nikt jej rzecz jasna nie widział, ale każdy wyczekiwał jej z tęsknotą i nadzieją, była to bowiem szczęśliwa rewolucja: wielu z nas wierzyło, że wystarczy kilka drobnych korekt, a twarz naszego młodziutkiego kraju uśmiechnie się.

Tłumaczono mi kiedyś, - że nowoczesne statki wiedziona są przez szumy gwiazd. I my, za młodu, byliśmy jak takie właśnie okręty: wiodły nas szumy gwiazd, których nie było jeszcze widać.

Jacyśmy byli - przyjaciele moi - czy nam o ważną sprawę szło - czy nas legenda pięknie przystroi - czy potoczymy się na dno? Myśmy żyli jak na wietrze - myśmy żyli niebezpiecznie - ale jak?

Aluzja. Aureola filozoficzna.

Przez cały okres odwilży aż do Października, a nawet po Październiku, w teatrykach naszych i kabaretach niepodzielnie panowała Aluzja.

W królestwie Aluzji spędziliśmy ładnych parę lat. Prawdę mówiąc: trudno nam było się stamtąd wytoczyć. Ktoś, kto przyzwyczał się mówić językiem Ezopa, ma nieraz pewne trudności z mówieniem wprost. Zresztą z tym mówieniem wprost to my też nie przesadzajmy, bo - gdyby tak zupełnie odmetaforyzować język - toż to by dopiero była nuda!...

No, ale nie w tym rzecz. W latach Odwilży posługiwanie się aluzją było koniecznością. Aluzja była nam potrzebna niczym latarka w buszu: inaczej się nie przedrzesz i koniec. Przymiotnik „aluzyjny” miał wtedy w sobie coś z komplementu: „Mocny spektakl, aluzyjny” - mówiono.

Zresztą niemało arcydziełek powstało w tej poetyce. Pamiętam, że w teatrze STS Jerzy Markuszewski pięknie zainscenizował tekst Jareckiego pod tytułem „Ślepcy”: na fioletowo-czarnej scenie wiodą się w bezładnym tańcu dwaj niewidomi do niewiadomego celu... Ten bezładny płas (plus dialog) symbolizował oczywiście szamotaninę władzy z narodem (mówiło się jeszcze: „z masami”).

Nie wszystkie jednak teksty „aluzyjne” brzmiały tak czysto i efektownie. Przeciwnie: im głębiej w lata pięćdziesiąte, tym więcej pojawiało się w tym gatunku głątwy, mątwy i „głębi pod mostem” (określenie Ziemowita Feddeckiego). Poza tym sam mechanizm tej zabawy zaczynał powoli nużyć. W końcu to było

szalenie proste: budujesz byle jakiego lisa, kruka czy świerszcza, a widz, bądź czytelnik rozłupuje sobie to cudo i wyciąga, powiedzmy, przemówienie Ochaba, bądź krytykę aktualnych poczynań ministerstwa kultury.

Odbiorcy zaczęli szemrać. Zaczęli rozglądać się za jakąś głębszą myślą, szerszą perspektywą, czy przynajmniej - "trzecim dnem".

Pierwszy raz grymasy odbiorcy dały mi o sobie znać w następujących okolicznościach:

Wiosną pięćdziesiątego piątego roku zadzwonił do mnie Jarek Abramów, kolega z STS-u (nasz filar, autor i kompozytor) i wyznał mi, że zaproponowano mu lukratywną chałturę. Chodziło mianowicie o napisanie jednoaktówki tematycznie związanej z Dniem Czystości Małego Dziecka.

W naszej ówczesnej sytuacji finansowej była to propozycja nie do odrzucenia. Jarek zresztą prawie już skończył pisanie, chodziło tylko o rymy. To miałyby być „moja działka”.

Błyskawicznie zabrałam się do roboty i pod wieczór już była gotowa pewna historyjka o pluszowym misiu, który strasznie nie lubił myć rąk... To znaczy: najpierw nie lubił, potem otrzymał tak zwaną życiową nauczkę i w końcu polubił.. Rymy były nieskomplikowane, ale czytelne. Powiedzmy:

*Nie poznaje mama misia,
tak się czysto umył dzisiaj.*

Zainkasowałam honorarium i byłam szczęśliwa. Byłam szczęśliwa, ponieważ miałam dziewiętnaście lat i zainkasowałam honorarium. Roznosiła mnie radość. Wzięłam jednoaktówkę pod pachę i poszłam się pochwalić mojej umiłowanej ciotce, Basi Sikorskiej. Basia była jedyną w naszej rodzinie osobą solidnie wykształconą i jakoś tak... natchnioną intelektualnie. Należała do ludzi, którzy czytują Pascala w oryginale, a mimo to nie cytują go przy każdej okazji. Ciotka nałożyła okulary, przeczytała dziełko nie bez życzliwości i wygłosiła swoje piekielne „ale” (to piekielne „ale” cioci Basi, które towarzyszyło odtąd każdej piosence, każdej strofocze, które napisałam...)

- Widzisz, Agusiu, to jest nawet miłe - powiedziała ciotka - ale nie unosi się nad tym aureola filozoficzna. Masz ci los... Ta nieszczęsna aureola filozoficzna! Za co ją złapać, jak ją namalować, skąd ją wziąć?? (Skąd ma wziąć aureolę filozoficzną nieszczęsny student UW, który wchodzi już w czwarty rok nauki, a z Hegla wciąż wyciąga tylko racjonalne jądro??)

Ciotka moja należała do intelektualnej forpoczątki, i jako taka - pokazała różki. „Aluzyjność” odwilżowej sztuki, ku mojej rozpaczce, nie urzędzała jej, podobnie jak schludny wdzięk misiów czyścioszków. Bez aureoli filozoficznej dzieło sztuki było dla mojej ciotki zerem, nie chciała z nim rozmawiać nawet przez łańcuch. Ciotka życzyła sobie, żeby Dzieło Sztuki zaczynało się z głupia frant, ot, od jakiejś zwykłej ludzkiej historyjki, ale żeby już na piątej stronie wyrastały mu wielkie wąsy egzystencjalnych lęków...

Dalej, powiedzmy na stronie piętnastej, serce Dzieła powinna przebić trująca strzała w postaci pytania: „Po co to wszystko?” Dalej, na stronie czterdziestej, Dziełu powinny wyrosnąć nadpalone skrzydła Wielkiej Wątpliwości, zaś na stronie sześćdziesiątej, do stóp Dzieła winny przytroczyć się gigantyczne wrotki, które wśród śmiertelnej wrzawy (bądź ciszy) powinny powlec Dzieło w głąb metafizycznej jamy, z której nie wydobywa się już nic, prócz głuchego, dudniącego w pustce „Uuuu...”

Ameba

Któryś z ważnych poetów mojej generacji napisał wiersz o jakimś bardzo małym zwierzątku: o amebie, a może o pantofelku... Był to swoisty „tok logiczny”, a nie wiersz! Ten niezwykle klarowny wywód przebiegał mniej więcej tak:

”Słoń jest większy od kota, kot jest większy od myszy, mysz jest większa od muchy, mucha jest większa od pantofelka. Ale i tak wolę pantofelka od ciebie, ty skurwysynu”.

Czy to był wiersz, czy raczej mała proza? - Powiedzmy: proza poetycka. A autor? - Najpewniej Andrzej Bursa...

Mogłabym, jak powiada profesor Sandauer, „przechylić się w fotelu” i sprawdzić te wszystkie szczegóły,

ale postanowiłam sobie prowadzić te zapiski bez żadnych ściągawek i podpórek. Niech to będzie prawdziwe „zadanie z pamięci”, spis bzików, rejestr żartów i zamyśleń.

Tekst o amebie (?) był dla garstki moich przyjaciół znakiem rozpoznawczym. Na przykład: od godziny rozmawiamy o jakimś idiocie, powstaje pewien zamęt, i wynurza się konieczność uściślenia postaw.

Jurek pyta Andrzeja:

- To znaczy: wolisz Iksa od pantofelka??

- Zwariowałeś? Wolę pantofelka.

To przywracało jasność.

„A mój chłopiec piłkę kopie”

Muzyka nie może chyba tak zupełnie, do końca zniknąć, ulotnić się w ślad za zakazem lub rozkazem.

Muzyka jest nie tylko dziedziną sztuki, ale i częścią życia, miłości, obyczaju, psychologii i parapsychologii, i choroby nawet. Zawsze i wszędzie, po najstraszliwszym kataklizmie, podnosi się z popiołów jakaś stara baba i zawodzi na znajomą nutę: „Kujawiaczek jeden miał koników siedem...” Trudno, nawet jeżeli się babie trochę popłaczę, to melodia tak czy owak się odnajdzie.

Tak też było i z jazzem.

Jazz, który od niepamiętnych lat stał się własnością młodzieży świata bardziej niż cokolwiek innego, nigdy naprawdę i na dobre nie wyparował z Polski. Wrócę jeszcze do tego tematu w haśle „Jazz”. Teraz chcę powiedzieć tylko tyle:

Jazz, choć maltretowany, nigdy u nas nie zamilkł. Przechował się w pamięci ludzi i w działalności orkiestr knajpianych. Tu i ówdzie, w rozmaitych „Zdrojowych” i „Nadmorskich” grali do tańca prawdziwie dobrzy muzycy.

Ojciec mój we wczesnych latach pięćdziesiątych grał na przykład w doskonałym jak na tamte czasy zespole Charles'a Bovery'ego. Do niedawna jeszcze kilka ich połamanych płyt poniewierało się na antresoli... Ojciec zrobił mi nawet, razem z kolegami, arcymlą niespodziankę: oto w roku pięćdziesiątym drugim (sic) sprowadził całą orkiestrę Charles'a Bovery'ego do nas, do „Skłodowskiej-Curie” na zabawę szkolną. Pamiętam,, zabawa odbywała się w sali gimnastycznej, a wszystkie panny były, obowiązkowo, w białych bluzkach. Mimo to, przy akompaniamencie słynnej „Kobyłki” i „Georgii”, towarzystwo tańczyło do północy. Był to nielichy szok, zarówno obyczajowy, jak i polityczny. Nasza dyrektorka, prawnuczka Tomasza Zana, chodziła z centymetrem krawieckim pomiędzy tańczącymi i próbowała mitygować parki wdające się w „tango-przytulango” (odległość obowiązkowa - 20 centymetrów). Towarzyszyła jej „z innych pozycji” nasza najbardziej namiętna działaczka ZMP, Ewka K., która słynęła z tego, że na studniówce u „Mickiewicza” ktoś spuścił ją na linie przez okno.

Nie miałam pojęcia, czy Bovery, albo choćby mój ojciec, orientują się w tym, jak burzliwie przebiega walka klasowa na parkiecie... Nie orientowałam się, ponieważ muzyk dansingowy nie stosuje w pracy właściwie żadnej mimiki. Przeciwnie - robi nawet pewien wysiłek, aby zachować skaliste, nieruchome oblicze. To obowiązuje do dziś: żeby tam nie wiem co działo się na sali, pianista wlepi oczy w klawiaturę i będzie grał w przewidzianym rytmie aż do końca awantury.

Tego zresztą wymaga jakaś podstawowa zasada higieny psychicznej przy pracy: nie przemęczać się. „Wy tu sobie tańczycie, rzucacie krzesłami, wzywacie milicję, strzelacie do luster, zakochujecie się w boskiej Hance, a my, na razie, jesteśmy w pracy”.

A jednak ojciec wiedział wtedy, co jest grane, ponieważ w stosownym momencie opuścił orkiestrę i poprosił mnie do tańca. Niepewien mojej wiedzy podstawowej w tej dziedzinie, szepnął mi do ucha: „To jest slowfox”, po czym z całej siły przycisnął twarz do mojej. „To się nazywa cheek-to-cheek-dance”: taniec w stylu „policzek do policzka” itd.

Trzeba było widzieć minę Ewki K.!

Tak więc powiadam, że jazz przyczaił się i przechował w formach szczątkowych. Bovery hołdował

oczywiście tej najprostszej i może najtrwalszej tradycji, tradycji jazzu szczęśliwego, utrwalonej przez filmowe komedie amerykańskie z lat czterdziestych... Ale zdarzali się też w knajpach i muszlach koncertowych cudowni, półprzytomni saksofoniści zanoszący się nad pijanym tłumem - nieoczekiwanym jedwabnym wyciem w stylu „soul”. Ich złociste instrumenty unosiły się nad falującym parkietem jak trąby natchnionych słoń.

Między ostatecznym zniknięciem jazzu z Ymki (rok 1950? 51?), a pierwszym referatem Tyrmanda o bluesie u „Dziennikarzy”, minęło jakieś pięć, sześć czy siedem lat. Przez najbardziej „zamrożone” - lata dział muzyczny Polskiego Radia został całkowicie oddany we władanie dziewczki z laseczka i autobusów czerwonych („Autobusy czerwienią migają, zaglądną do okien tramwajom. Wciąż większy gwar, wciąż więcej nas - w Warszawie, najmiłszym z miast!”). Miły alt Marty Mirskiej zastąpiony został dziarskimi mezzosopranami nawołującymi do budowy nowych domów.

Ale gdzieś na uboczu, w Katowicach, stroniąc od stołecznego gwaru, pracował Harald, a z nim - Maria Koterbska. Niejeden młody chłopak i niejedna dziewczyna w określone dni i godziny solidnie warowali przy radiu, żeby wreszcie usłyszeć głos katowickiego speakera: „Z towarzyszeniem zespołu Jerzego Haralda śpiewa Maria Koterbska”.

Orkiestra Haralda doczeka się na pewno oddzielnego doktoratu, dziś jednak warto wspomnieć, że w nagraniach tej grupy pobrzmiwały echa najprawdziwszego, radosnego swingu. Zaś w tekstach śpiewanych przez Marię Koterbską, choćby w tym upartym „Chłopcu, który piłkę kopie” - czuło się naiwną, ale rozkoszną pochwałę indywidualizmu, a przynajmniej - ludzkiego „widzimi się”.

Analfabetyzm

Analfabetyzm, a właściwie Zwalczenie Analfabetyzmu miało dla młodych wilczków we wczesnych latach pięćdziesiątych to samo znaczenie co Wykopki (Wyjazd na Wykopki).

Zwalczenie Analfabetyzmu było mianowicie związane ze wspólnym, koleżeńskim wyjazdem na wieś. Jechało się odkrytą ciężarówką i śpiewało się zetempowskie piosenki. Na przykład:

*„Nie papież nam Wybrzeże dał,
nie Śląsk biskupów był - tarara”.*

Był oddech świeżego, polnego powietrza, był widok niebieskich chat przy drodze, a przede wszystkim i nade wszystko - perspektywa spędzenia całej nocy z ukochaną dziewczyną. Była to perspektywa, do której śmiały się młodym oczy i wyciągały ręce. Gdy tylko powiedziało się A (Analfabetyzm), chciało się też powiedzieć B!... (Baśka!).

Pomyślcie, czasy były wtedy, jeśli chodzi o łóżko, nieprawdopodobnie ciężkie.. Mieszkania rodziców - zatłoczone nieprzytomnie, w akademikach - koszarowy dryl i „czarne listy”, a w hotelach meldowano wspólnie tylko małżeństwa. Zwalczenie Analfabetyzmu pachniało wspólną nocą na sianie, chłopską przytulną stodołą i szklanką ciepłego mleka na śniadanie.

Witold Dąbrowski, poeta, który w owych latach był chłopaczkiem jeszcze, ale już płomiennym komunistą i wielbicielem Majakowskiego, opowiadał mi później, jak groźnie i niebezpiecznie bywało na tym „odcinku klasowej bitwy”. Wspominał zebranie wiejskie, na które chłopcy przyszli z bronią i zatarasowali drzwi... Ja miałam więcej szczęścia: mała dziewczynka podeszła do mnie z gigantycznym workiem gruszek i powiedziała: „Niech pani nie uczy babci czytać. Ona jest taka dobra”.

Wspomnienie to pochodzi - o ile pamiętam - z czasów szkolnych...

W latach studenckich szaleństwo Zwalczenia Analfabetyzmu ogarnęło nas jeszcze szerszym płomieniem. Pamiętam jednak kolegę, którego Zwalczenie Analfabetyzmu nie pociągało. Dziewczyn unikał, przyrody me lubił, łatwo się przeziębiał. Kilka razy nawalił, nie wziął udziału w akcji i ruszyło go sumienie.

Postanowił na najbliższym zebraniu ZMP złożyć samokrytykę. A mówił ładnie, ubierał się starannie i w ogóle pochodził ze starej pepeesowskiej rodziny z tradycjami. Powiedział: „Koledzy, tak i tak, zrozumiałem swój błąd, i postanowiłem chociaż po części go naprawić. Zobowiązuję się zacząć od naszej

gosposi”.

Miał z tego ów student poważne nieprzyjemności.

B

Balonowa

Na literę „B” mam dwa hasła: „Baliki ziemiańskie” i „Ulica Balonowa”. Jednakże, po namyśle, postanowiłam hasło „Baliki” przeistoczyć w obszerniejszy tytuł „Bale warszawskie” i przenieść o kilka stron dalej. Zatem hasło numer dwa: „Ulica Balonowa”.

Zacznę od dygresji: przyjaciółka moja, Elżbieta Czyżewska, zawsze kochała się w modnych mężczyznach, ja zaś - w asystentach reżysera. Nigdy zatem nie deptałyśmy sobie po piętach i wszędzie było nas pełno. Nigdy także nie kwestionowałyśmy swego gustu. Bodaj raz tylko, kiedy Kissinger zaczepił ją w windzie, a jej oczy żywo zalśniły, powiedziałam: „Nie, na to nie pozwolę. Nie i nie”.

Ale to jest mój stary bzik. Kissingera uważałam za jednego z brzydszych chłopców na orbicie.

W sumie jednak, Ela i ja, to były dziewczyny zgodne. Natomiast kiedy spoglądałyśmy w lustreczko, dowiadywałyśmy się rzeczy ważniejszej: że prawdziwie mądra dziewczyna nazywa się Jadwiga Kukułczanka i mieszka na ulicy Balonowej.

Kukułczanka nie kochała się w żadnych modnych mężczyznach, tylko kochała się w Paryżu. Kochała się w Paryżu i postawiła na Paryż. I to z rozmachem postawiła. Nie to, że przywiozła sobie znaczek pocztowy czy sukienczynę. To nie ona! Ona tłumaczyła Anouilha i Anouilh ją tłumaczył. Dziś może, kiedy Przybora uczynił z Anouilha rym do „szczeżuja”, sprawy mają się nieco inaczej, ale wtedy Paryż brało się serio. Posłuchajcie: Była to w latach tuż przed Październikiem, i zaraz po. My, młodzi artyści, biegaliśmy po Warszawie jak oparzeni. Co zrobić z naszym teatralnym (i nie tylko teatralnym) „off-Warsaw”? Czy dalej pisać monologi o generale Witaszewskim (STS), czy przesiąść się na „Karuzelę z Madonnami” (Piwnica?) Czy nadal słuchać jazzu (Patrz hasło „Czerwone skarpetki Tyrmanda”), czy puścić się na Becketta?? Jak wiadomo, robiło się i tak, i siak, chwyciło się i tego, i owego. Z Beckettem był ten szkopuł, że złapały się zań od razu teatry zawodowe. Publiczność oszalała, a wkrótce potem jakby przygasła. Zaraz po premierze „Godota” pani Irena Szymańska powiedziała: „Beckett boi się śmierci. Ja też. Ale nie można do tego stopnia nie trzymać fasonu!”. A w ogóle, to ludzi trzymały się wtedy psie figle. Kiedy tegoż Godota zagrano w Krakowie w „Teatrze 38”, na którymś tam z rzędu spektaklu pojawił się na widowni ciepło ubrany mężczyzna i powiedział: „Jestem Godot. O co chodzi?”

Rzeczywiście, w popaździernikowej Polsce można było przez jakiś czas powiedzieć, że Godot przyszedł, i w sumie „to nie było to”.

W teatrach studenckich naprawdę nie wiedzieliśmy, co ze sobą robić. Ale przesadą byłoby powiedzieć, że „nikt i nigdzie” nie wiedział. Na przykład na Balonowej wiedziano.

I oto moi koledzy - młodzi artyści teatru, intelektualiści i tym podobni, jeden po drugim, zaczęli zniknąć na Balonowej, jak w Trójkącie Bermudzki. Nie znałam wówczas Kukułczanki, nie wiedziałam chyba, kto zacz, obserwowałam tylko (przerażające) znikanie kolegów.

Nigdy, o nikogo, nie byłam tak zazdrosna, jak o Kukułczankę.

Były to takie czasy, kiedy z grupą STS-u trzymał się trochę Konrad Swinarski. Któregoś wieczoru byłam umówiona z nim i z dwoma jeszcze czy trzema ludźmi z naszej paczki. Nie przyszli o ósmej, nie przyszli o jedenastej i tak dalej. Któryś z nich pojawił się nazajutrz, około dziewiątej rano, siny z wyczerpania.

Oświadczył krótko: „Byliśmy na Balonowej”.

- Coście tam robili?

- Mówiliśmy o przyszłości teatru.

- Z kim, na litość boską?

- Z Kukułczanką oczywiście.

- A ona się zna?

- Ba!

W tym „ba” kryło się niejedno. Przede wszystkim - przeklęta Balonowa. Było to podobno tak daleko, a dojazd był tak szalenie skomplikowany, że najbliższych mi ludzi widywałam jedynie przez telefon. Mijały miesiące, jak grzyby po deszczu mnożyły się nowe grupy i grupki, a wszystkie zapatrzone były w koncepcję Jadwigi Kukułczanki. Teatr Krzywego Koła (i - gdyby istniał - Teatr Prostego Koła) poddał się jej magii. Także gmachy publiczne. Od lochów „Manekina” po szpic Pałacu Kultury.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Kukułczankę, byłam tak rozdygotana z zazdrości, że zrobiłam tak zwanego nerwicowego zeza i wydawało mi się przez chwilę, że demonka ta ma dwie głowy. Złudzenie to spowodowane było pewnym mankamentem fryzury. Kukułczanką czesała się mianowicie w dwa gigantyczne loki umieszczone na czubku głowy, przez co przypominała dorosłą Myszkę Miki. A jednak osoba ta, choć zapatrzona w Paryż, nie miała w sobie nic prowincjonalnego. Nie miała w sobie nawet owego prowincjonalizmu o cechach wielkości, prowincjonalizmu Rydla czy Tyrmanda (znów: patrz hasło „Czerwone skarpetki”). Ona to, Jadwiga Kukułczanką, a właściwie jej duch krążący wówczas po Warszawie, wyprowadził teatry studenckie z piwnicy na parter. Okazało się, że nasza ówczesna podkultura nie jest ubogą krewną paryskich nadscenek i londyńskiego West Endu. Jest ich siostrą, równą między równymi. Nie muszą nasi młodzi mieć w spoconych łapkach pocztówek Picassa i Legera, mogą sami coś zmalować. Mogą huknąć z grubej rury, jak w „Ubu królu” Biczyskiego, mogą uderzyć pięścią w stół, mogą wyjść z przeklętego kręgu świec.

...O, bo te wszystkie „przedstawienia przy świecach” kojarzą mi się dziś nie tylko z „Francją-elegancją”, ale z mówieniem półgłosem, z szeptem, z grypsem artystycznym.

Z Balonowej płynęła nadzieja i jasny, wysoki śmiech. Dlatego też odświeżone przedstawienie „Skowronka” w przekładzie Kukułczanki, przedstawienie zagrane w pełnych reflektorach, w olbrzymiej sali, przy udziale aktorów o świetnej dykcji - uważam do dziś za jedno z najbardziej pogodnych i optymistycznych zdarzeń artystycznych tamtego czasu.

Później, w czasach nowoczesnego taboru autobusowego i samochodowego, zorientowałam się już, gdzie jest Balonowa: pierwsza czy druga przecznica za Racławicką, tuż koło pętli.

Bale warszawskie

Franciszka Leszczyńska napisała kiedyś wdzięczną melodyjkę, a ja dopisałam do niej słowa: „Mój pierwszy bal - te walczyki leciutkie jak świerszcze - pierwszy bal - czyjeś oczy wesole, na szczęście, pierwszy bal...” itd. Każde słowo tego refrenu było z mojej strony wierutnym kłamstwem. Po pierwsze na balach naszych nie tańczyło się żadnych walczyków leciutkich jak świerszcze; do Października tańczyło się zwaliste obertasy, a po Październiku - koślawe boogie-woogie. Nikt, kto naprawdę chciał i umiał tańczyć, nie chodził przecież na bale. W tym celu chodziło się do „Czerwonej Oberży”, do „Architektów”, do „Kolejarzy”, a potem - do „Stodoły”.

No, ale ktoś przecież na bale chodził, i bale te, a jakże, odbywały się. Podstawowym rodzajem balu w czasach Starej Ery była wieczornica. Odpowiednią okazją do urządzenia wieczornicy były na przykład urodziny Bolesława Bieruta. W pierwszej części deklamowało się wiersze i wygłaszało okolicznościowe przemówienia, a w drugiej części tańczyło się „Szła dziewczynka” i inne rytmy ludowe oraz piosenkę „Gimnastyka”. Przebój ten wszyscy uwielbialiśmy i nawet w szkole tańczyliśmy go na pauzach, bo był to jedyny wówczas utwór dozwolony, utrzymany w parzystym rytmie. Oczy nasze (że wrócę do cytowanego refreniku) rzadko były na wieczornicach „wesole, na szczęście...” Raczej rozglądały się chytrze i ponuro. Zbyt wiele było na tych zabawach zasadzek. Któregoś razu na przykład dziewczyna prowadząca wieczornicę na Akademii Sztuk Pięknych pomyliła rocznicę urodzin Bieruta z rocznicą śmierci. Trudno, żeby się potem czuła świerszczowato.

W latach późniejszych wieczornice zamieniono na bale. Organizatorzy owych bali przysięgali się na wszystkie świętości, że będą one demokratyczne, ludowe i dla wszystkich. W rzeczywistości były one tak samo elitarne, kastowe i zamknięte jak przed wojną, i miały rację. Dobry bal poznaje się bowiem m. in. po tym, że ktoś, kto by bardzo chciał - nie jest nań zaproszony. Były bale Przodowników Pracy, Automobilistów i Gałganiarzy. Był bal „Polityki” i bal „Przeglądu Kulturalnego”. Okazją do urządzenia balu stał się znów, jak za dawnych czasów - karnawał. Panie znów zaczęły mdleć („Boże, nie zdążę do fryzjera”), a panowie zapoznali się ze słowem „kotyliion”.

No, więc były w końcu te bale udane, czy nie były?

Moja odpowiedź brzmi: - Nie. Nie były.

Nie zdążyła się bowiem wytworzyć jakaś współczesna, wszystkim odpowiadająca konwencja balowa. Nie wiadomo było, na co się zapatrzeć: na starą „Resursę Kupiecką”, czy na „Pałac Zjazdów”, na cylinder i rękawiczki, czy na czarne swetry, na parafialne nadąsanie, czy wielkowiejską swobodę. Najsmutniejsze były dla mnie bale urządzone w rozmaitych pomieszczeniach teatralnych. Z początku wszyscy się bardzo starali, od aktorek do biuralistek. Znoszono musztardówki i rozwieszano dekoracje. Z wielkim mozółem zestawiano stoły i przykrywano je arkuszami białego papieru. Papier ten, aby się nie ślizgał, przypinano do brzegów stołu pinezkami. Musztardówki, pełniące rolę kielichów, ustawiano na bufecie. Rolę deserów pełniły pączki...

Wszystko to prezentowało się ślicznie do jakiejś drugiej w nocy. Potem zaczynała się wielka woda, zapijana oranżadą. Nad ranem papierowe blaty stołów zalane były pomarańczowymi strugami i usłane niedobitkami pączków i petów.

Najmilsze ze wszystkich były dla nas, najmłodszych, bale gałganiarzy. Jeden z nich, oczywiście urządzony przez plastyków, pamiętam doskonale. Kostiumy były zrobione z ogromnym wysiłkiem i fantazją. Ktoś przebrał się za wiejską sławojkę, kto inny - za żywego byka, jeszcze kto inny - za stracha na wróble. Mój przyjaciel Jaś Banucha (do którego wrócę jeszcze pod koniec książeczki), przebrał się bardzo starannie za dzielnego wojaka Szwejka. Pamiętam, miał na twarzy supernaturalistycznie wykonane rany, które zakleił sobie gazetą. Wstydziłam się z nim tańczyć i uciekałam do Lulu Paka, w którym kochał się tamten cały bal (chodziło o rolę w szkolnym spektaklu „Na dnie” Gorkiego). Rozpędziłam wielbicielki Ludwika z wielkim ferworem i doprowadziłam do tego, że postanowił po balu odtransportować mnie do domu. Pamiętam, szliśmy w milczeniu przez most Poniatowskiego. Nagle znudzony mój towarzysz odwrócił się na pięcie i pomknął z powrotem w stronę miasta, a ja w sukni z milanówką powlokłam się w stronę domu niczym słynny „Samotny biały żagiel”. ...Z bali urządzanych później przez różne instytucje i redakcje nie utkwił mi w głowie żaden nadzwyczajny strój. Zapamiętałam tylko stopy Elżbiety Czyżewskiej z balu „Przeglądu Kulturalnego”: otóż były one, że się tak wyrażę - obute jedynie w same podeszwy. Dookoła kostki okręcony był wąski, złoty paseczek.

Jak ów paseczek łączył się z podeszwą - tego do dziś nikt nie wie (choć wielu próbowało dociec).

A propos „dociec”: w późniejszych latach pięćdziesiątych odbył się inny jeszcze bal, który dosyć dobrze pamiętam: bal w szkole imienia Stefana Batorego. Na balu tym pojawiło się pełno młodej wówczas cyganerii, z której później wyrosli pisarze, aktorzy i tym podobni. Całe to towarzystwo, jako że był to również bal gałganiarzy, przyszło szczelnie poprzebierane. I otóż pech chciał, że po wielu, wielu latach bal ten stał się tematem (czy też fragmentem) jakiegoś długiego, tajemniczego śledztwa. Wyobraźcie sobie, jaka to wspaniała scena filmowa: do niemłodej już aktorki, bądź dizey, zajeżdża dyskretny detektyw. Wyciąga ze specjalnej kasetki tajemniczo wyglądającą księgę. Jest to ni mniej, ni więcej, album pełen starych zdjęć balowych. Cóż widzi nasza artystka? Widzi rycerzy, dokładnie skrytych pod przyłbicą, widzi szczelnie okutane w futra - białe niedźwiedzie, widzi wędrujące drzewa, żyrafy i semafony. Cóż zatem odpowiada nasza artystka na grzeczne pytanie: „Pani Basiu, czy może pani ułatwić nam pracę i powiedzieć: kto-to-jest?”

No cóż. Albo sypie, albo mówi: „przepraszam, nie mam przy sobie okularów”.

I tak jest ze wszystkim, i dlatego nasze życie jest piękne. Policja bawi się w poezję, a poezja - w policję.

PS. Odpowiedzią na bale oficjalne były w Warszawie prywatne „baliki ziemiańskie” urządzone przez młodzież z określonych kół. Robiło się je po byle jakich kawiarniach, po domach i strychach, a jadło się tam - naumyślnie - stary sernik pod herbatę i piło „czystą z czerwoną kartką”.

Bywamy i przyjmujemy gości

Polacy, nawet z fajfu, nie wychodzą przed czwartą rano. Co robić, taka już nasza natura. Czasem może byśmy i wyszli, ale nie chcemy robić przykrości gospodarzom. Słowem: nasz stosunek do przyjęć, wizyt i zwykłych wpadnięć („ja tylko na chwileczkę”) - jest niezwykle solidny. Pozwólcie, że zacytuję kilka zdań z podręcznika pt. „Bywamy i przyjmujemy gości”:

„Odwołanie przyjęcia. Co może być przyczyną odwołania przyjęcia? Otóż przyczyną odwołania przyjęcia może być tylko prawdziwie poważny dramat rodzinny itp. Nie może nią być w żadnym razie zdarzenie takie, jak zawalenie się pieca kuchennego lub odejście służącej. W takim przypadku nie urządzamy hysterii, tylko zamawiamy kelnera i sprowadzamy obiad z restauracji. Jeśli natomiast spotkał nas ww. dramat rodzinny, no to trudno: sięgamy po aparat telefoniczny i taktownie odwołujemy lub przekładamy przyjęcie. Jeśli na telefon jest już za późno lub jeśli nie posiadamy telefonu, ustawiamy się w odpowiedniej pozycji w przedpokoju i oświadczamy gościom, co następuje: «Niestety, mili państwo, nasza droga matka nie może was przyjąć, na co tak bardzo się cieszyła, ponieważ zmarła»„.

Książeczka, którą cytuję, pochodzi oczywiście sprzed wojny, i niektóre występujące w niej rekwizyty już nie istnieją (kelner, restauracja, piec), ale pozostało nam wciąż owo solenne podejście do skrzykiwania się i przebywania, razem. Połowa lat pięćdziesiątych - to był dla ludzi stadnych raj po prostu! A któż - z nas nie był stadny? Byliśmy przecież młodzi, zdrowi i nieprzytomnie rozochoceni do życia.

Prywatki tamtych lat mogłabym podzielić krótko na tańczące i gadane, ale lepiej zrobię, jeżeli podzielę je na cielące, mysie, lisie i tygrysie.

Za prywatki cielące uważam te, na których tańczyło się non stop, i na których, oprócz słynnego gaszenia światła i oszalałego ściskania się w czasie wolnych tańców - nic się właściwie nie działo. Przyjątka te zaczynały się zazwyczaj w czasach szkolnych i gdzieś koło matury ustawały. Mój piętnastoletni brat Maciek wracał ze swoich prywatki przeważnie o ósmej rano. Któregoś dnia babcia nasza zdenerwowała się okropnie i oświadczyła: „Nie dam ci spokoju, jeżeli mi nie powiesz, co wy tam właściwie robicie?” Na takie dictum Maciek wyrecytował: „No więc tak - najpierw tańczymy, potem pijemy trochę wermutu, potem śpimy na paltach, a potem znowu tańczymy”. Nic dodać, nic ująć!

Co do mnie, to byłam weteranką saskokępskich prywatki, i już w czasie wojny koreańskiej umiałam tańczyć „amerykanką” i „hajnemediną” (patrz „Zachód”). Mijały lata. Wstąpiłam na studia, przetoczył się przeze mnie stalinizm, i powołusku, powołusku, zaczęły się pierwsze recytacje Gałczyńskiego, a dziewczyny, nawet te najbardziej purytańskie działaczki, zaczęły- zauważać, że piersi im rosną. Jedną z nich, niejaką M. T., którą zachowałam w złej pamięci, bo się do mnie swego czasu przyczepiła, że byłam agentem BBC(!) - no więc ta M. T. przystąpiła do mnie na korytarzu, i od słowa do słowa, zaczęła mnie rozpytywać, jak to się te domowe potańcówki organizuje, co trzeba do jedzenia, jakie płyty i tak dalej. Instrukcji udzieliłam, pogadałyśmy nawet o liście gości, no i po tygodniu czy dwóch potoczyłam się na pierwszą prywatkę w życiu rozmiękczonej ideowo M. T. Jakoś to wszystko poszło, bawiliśmy się dosyć dobrze, tylko że nieszczęsna gospodyni nazajutrz rano znowu zaczęła męczyć: tym razem chodziło jej dla odmiany o to, żeby jej zwrócić po dziesięć złotych za pastowanie podłogi (ładny grosz, jak na tamte czasy). No nic. To by były prywatki cielące.

Prywatki mysie - to te, które lubiłam najbardziej: spontaniczne zwały na rozmaitych stryszkach, w piwnicach, w dziuplach sublokatorskich i w norkach wynajmowanych przez co samodzielniejszych kolegów. Gorące kartofle w łupinach w kuchni u Piotra Skrzyneckiego, haust spirytusu w akademiku u Włodka Łajminga w Sopocie, wieczorne wspólne mruczenie piosenek u Bogusia Litwińca we Wrocławiu albo nie kończące się „macao” u pana Fedeckiego. Na stole świeczka i ćwiartka, w płucach szmery, w

duszy błyskawice pychy, miłości i talentu. Zwykła radość z obcowania z drugimi, grzanie się skóry o skórę i serca o serce. U ludzi „muzycznych”, jak u Janka Borkowskiego na przykład, słuchało się za to płyt: jazzu przede wszystkim, samb brazylijskich, rosyjskich romansów i pierwszych nagrań Sławy Przybylskiej („Pamiętasz, była jesień - w hoteliku «Pod różami» - pokój numer osiem - staruszek portier z uśmiechem dawał klucz...”) (...). To u ludzi „muzycznych”. Zaś u ludzi „politycznych” przede wszystkim wypijało się oceany herbaty i gadało się, gadało się, gadało - do nieprzytomności, do zaccadzenia. Na jednej mysiej prywatce, na której - pamiętam - obecny był wydekoltowany jak zawsze Roman Zimand, założono całą organizację młodzieżową, razem ze statutem i wszystkim, a u Jerzego Sity skompletowano cały rząd (Matko Boska!) Zmorą takich spotkań był gość, który nie zamierzał po prostu wyjść nigdy. Czasem, półprzytomny z rozpaczy, gospodarz rzucał sennie: „Słuchajcie, czy ktoś się jeszcze napije herbaty?” Na to z kąta, bezbłędnie, wyrywał się Konrad Swinarski: „A wiesz, że chętnie, tylko żeby była mocna”. Prywatki lisie - to te, które wydawane były przez młode parki. Niektóre z tych stadeł wykazywały większą niż samotnicy prężność życiową i czaiły się już do następnego etapu życia, do tak zwanej małej stabilizacji. Pojawiły się tedy obiady i kolacyjki, w czasie których umordowana gospodyni wiecznie cwałowała do kuchni i z kuchni, a gospodarz, purpurowy z przejęcia, próbował robić tak zwane „drinki” mieszając soki, piwo, wódkę i co popadło w wazonie do kwiatów albo zgoła potrząsając termosem pożyczonym od niemowlęcia. Jedynym człowiekiem, który wiedział, co to jest cocktail, drink, volkswagen, cocker-spaniel i tym podobne był Roman Waschko, ale mieszkał na dalekich Bielanych bez telefonu i nie przyjmował byle kogo. Chodziło się jednak do tych raczkujących parok, bo chodziło się wszędzie. Pamiętam, że na tych nieszczęsnych prywatkach „lisich” zaczęło się pojawiać tak zwane „gorące”. Był to przeważnie jakiś ryż (słynne „risotto”) z różnymi ochłapami podziabnymi na drobno i zapieczonymi na śmierć. Parzyłam się tym zawsze tak okropnie, że dotrwanie do tak zwanego „słodkiego” było już prawdziwą torturą. Cóż, trudno być cyganerią we dwoje, a co dopiero we troje! Jedyną parą, która uprawiała coś w rodzaju cyganerii we dwoje, byli Kurylewiczowie, to znaczy Wanda Warska i Andrzej Kurylewicz. Oboje z kresów, a przynajmniej jakąś kresowością rodziców podszyci, jednocześnie pełni wewnętrznego ciepła, ale i jakiejś azjatyckiej pokrętności - tyleż miłej, co tajemniczej - oboje żyjący muzyką w swoisty, domowy sposób, jakby melodie i piosenki smażyły się na patelni razem z naleśnikami, oboje jakby wiecznie z sobą skłócenie, a jednocześnie okropnie się kochający, oboje zgodni, ale i oboje kapryśni (zwłaszcza Kuryl - trudny, nieznośny czasami), oboje jakby wiecznie w drodze, w wozie, a jednocześnie budujący wciąż nowe piwnice, strychy, chaty i pałace, biedni i bogaci, posiadacze kuchni pełnej ziół i skrzyń pełnych bajkowych skarbów, byli - uf - Kurylewiczowie jakąś osobliwą rodziną, do której przychodziło się rano na śniadanie, a wychodziło o szóstej wieczorem (tyle bowiem zabierało Wandzie czasu usmażenie jajecznicy, włączywszy w to wstanie z łóżka, kupienie jajek, uszycie sobie po drodze nowego kapelusza i ułożenie pięciu piosenek).

...Prywatki tygrysie... „to, co tygrysy lubią najbardziej” - to te, na których dochodziło do tak zwanych ekscesów. Pamiętam, była kiedyś taka książeczka amerykańska dotycząca różnych ekscentrycznych wieczorków... Zwłaszcza jeden jej rozdziałik utkwiał mi w pamięci: „Orgia zwykła, biesiada i fiesta”. Jeżeli chcecie wiedzieć, to w orgii zwykłej mogą wziąć udział jedynie osoby całkowicie nieznanymi, odmawiać nie wolno nikomu, rozebrani musimy być absolutnie do rosołu, zakazane jest baraszkować zbyt długo z tą samą osobą, a skromne ubrania mają swobodnie wisieć na krzesłach. (Ubrania dlatego mają być proste i skromne, żeby myśl o ich losach nie zaprzętała naszej uwagi). „Ja tu zajmuję się głupstwami, a tam być może ktoś tłamsi mi najlepszą spódnicę z welur-szyfonu”. Modelu „biesiada” i „fiesta miłości” ani myślę wam opowiadać, bo w obu tych przypadkach w grę wchodzi zimny bufet, owoce południowe i trunki, których nazw dawno zapomniałam. Z obowiązku kronikarza wspomnę tylko, że „prywatki tygrysie” zaczęły się przyjmować i u nas, ale niezwykle nieśmiało. Poza tym trudno tu wyodrębnić jakiś szczególny model, ponieważ jesteśmy, jak mówił Norwid, „wspaniałym narodem, ale społeczeństwem żadnym”. Toteż zwolennicy prywatek tygrysiach wiecznie natykali się na niezdiscyplinowanie bądź zanarchizowanie współbiesiadników. Dochodziło do tego, że kiedy w jednym pokoju panowie z co

bardziej wysportowanymi dziewczynami układali się już w tak zwanego orzełka, na golasa oczywiście, to w sąsiednim pomieszczeniu od stóp do głów ubrana, a nawet przebrana plastyczka wystłuchiwała wykładu magistra w tabaczkowym ubranku o tym, że wszechświat jest rurą. W kuchni opatuleni w kożuchy kolędnicy różnie kolędowali rozgrzanej winem dzierlatce w samych rajstopach, natomiast w łazience ekstrawagancka panna Krysieńka brała prysznic z niedoszłym filmowcem, za to oboje zapięci pod szyję. W sumie jednak byliśmy w tamtych latach dość niewinni, i wciąż jeszcze wystarczała nam Wisła, słowik i ten drugi człowiek. Toteż wiele prywatek tygryskich kończyło się fiaskiem lub czymś w rodzaju erotycznego walkowera. Była taka kolacja gdzieś na Muranowie, kiedy ktoś podobno ni w pięć, ni w dziewięć zawołał: „No to raz dwa trzy - wszyscy rozbieramy się do naga!” Ktoś inny, dla kawału, zgasił światło, a kiedy po kilku sekundach ktoś je na powrót zapalił, wszyscy ukazali się w kompletnym przyodziewku, tylko gdzieś w kątku zamajaczył, budząc zdumienie obecnych - nieopisanej chudości tors muzykologa Lecha Terpiłowskiego. Słowem: „Uwaga, uwaga, rozbieram się do naga!” Oprócz prywatek zamierzonych były również prywatki nie zamierzone. Po prostu ludzie mieszkający w okolicy słynnych knajp, w miłych zakamarkach miasta czy zwyczajnie - ludzie pechowi - byli nawiedzani przez plagę nocnych gości.

Nieszczęśnik taki, jeżeli w dodatku mieszkał na parterze, był wiecznie niewyspany i mógł się właściwie pożegnać z uprawianiem jakiegokolwiek stałego zajęcia. Ot, drobne chałupnictwo i galanteria artystyczna. Tylko jedna jedyna Alina Szapocznikow, nawiedzana przez tłumy, miała jeszcze tyle siły i charakteru, że w dzień budowała gigantyczne rzeźby. No, ale ona była jedna na tysiąc.

Inni ludzie, jak mogli, próbowali samoobrony. Mariola Gesler, właścicielka obleganego przez gości domku fińskiego, salwowała się ucieczką do Afryki Południowej. Mimo to, kiedy wpadała na tydzień do kraju, już stawało się pod jej oknem o drugiej w nocy z flaszką i wałąc pięścią w okno, świdrowało się demonicznym szeptem: „Mariola, nie śpisz? Mogę wejść?” ...

- Możesz, możesz. Jest już Gucio, Jacek, Jurek, Baśka i jacyś państwo, których nie znam.

No i dobrze, niech wie dziewczyna, że żyje!

Tłumy ludzi zadreęczały również codziennymi wizytami Stanisława Dygata i Kalinę Jędrusik.

Dygatowie prowadzili ze swoimi gośćmi swoistą grę: udawali, że nie chcą nikogo widzieć, Staś o szóstej wieczorem kładł się do łóżka z migreną, a Kalina objęła się w dezabilu po kuchni udając, że nie ma nic do jedzenia oprócz wyschniętego na wiór makaronu. Przyjaciele, ze swojej strony, kłamali bezczelnie, że wcale się wieczorem do Dygatów nie wybierają. Niestety (stety) wszyscy się wieczorem spotykali na Mokotowie, wysiadawali Stasiowi w nogach, plotkowali i godzinami oglądali telewizję. Staś oglądał wszystko - od piłki nożnej do dobranocki, i w rytmicznych odstępach czasu jęczał: „To potworne!”

W ślad za nim pojękiwali goście.

Dygatowie byli tak modną i tak interesującą parą ludzi, że na pewno doczekają się własnego biografu. Ja chcę tylko powiedzieć, że za Kaliną przepadałam, Stasia zaś bałam się śmiertelnie. Kalina bowiem, która na scenie grała ekscentryczki seksualne, dziwaczki, wariatki i zakonnice - w życiu była dobrą, serdeczną koleżanką, wrażliwą i dyskretną jak może żadna inna. Dygat natomiast, który w swoich różowych, zielonych i niebieskich kajetach ział nieustającą sympatią, wyrozumiałością i mądrą tolerancją dla człowieka - w życiu był kapryśny, niesprawiedliwy i nieznośny. Bałam się go jak diabeł święconej wody, ponieważ uważałam go za mistrza intrygi towarzyskiej. Dwór Ludwika Piętnastego był stadem zgodnych owieczek w porównaniu z rojowiskiem wilków z tapczana Stanisława Dygata! Jednym zręcznym słówkiem, jednym spojrzeniem Staś waśnił kochanków, rozjuszał na siebie przyjaciółki lub czynił dookoła jakiejś niewinnej ofiary tak zwaną „dotkliwą pustkę”. Nie muszę dodawać, że z lekkością arcyministra potrafił jednym celnym posunięciem (gdy chciał) całą intrygę wyprostować.

Mimo to Staś należał do najbardziej uwielbianych ludzi w mieście i prowadził, że tak powiem, „salon niezamierzony”.

Niektórzy inni ludzie natomiast, w tym samym czasie, marzyli o tym, żeby prowadzić salon zamierzony, i niestety, nie każdemu się to udawało. Do tych osobliwych zapaleńców należała koleżanka moja ze szkoły

filmowej, Lidka Zonnówna. Zaczyna ta niewiasta, urodziwa i czarnobrewa, mieszkała nie byle gdzie, bo... w obserwatorium astronomicznym. Ojcem Lidki był sławny astronom, profesor Zonn. Teoretycznie więc goście powinni być zaszczytzeni i zachwyceni: szło się jak do Belwederu albo jak do Botanicznego, wszystko dookoła pachniało i kwitło, a sam adres powinien dawać człowiekowi przedsmak uroczystego wieczoru, z perspektywą patrzenia na gwiazdy przez specjalne przyrządy. Wieczory u Lidki nie narobiły jednak szumu w mieście. Długo się nad tym zastanawiałam, aż wreszcie doszłam do wniosku, że winien jest próg. Tak, tak, chodzi mi o zwyczajny próg, ściślej mówiąc - wysoki próg. Lidka, jak to bywa z dorastającymi córkami astronomów, posiadała w „obserwatorium własną izdebkę, do której wiodły oddzielne schodki. Ba! Izdebka ta była jednak zarazem niebezpieczną pułapką. Otóż pomiędzy nią a owymi schodkami nie było żadnego podestu, „hallu” czy komórki, tylko po prostu... nic. Człowiek wychodził od Lidki prosto na schody, i - jeśli chociaż odrobinę się rozluźnił - musiał runąć w przepaść i zobaczyć wszystkie gwiazdy, bez względu na to, czy rzecz dzieła się w obserwatorium, czy też gdziekolwiek indziej. Zresztą nie wiem. Może przesadzam. W każdym razie kaprys ludzki na pstrym koniu jeździ i nigdy nie wiadomo właściwie, który z naszych domów będzie oblegany przez ludzi, i czy przez tych, o których nam chodzi.

C

Calvados

Rodzaj bimberku na jabłkach (fr.), ulubiony trunek bohaterów „Łuku triumfalnego”, ulubionej książki Remarque'a (Kamera), ulubionego autora moich rówieśniczek i ciut starszych. Pewien wydawca z Frascati za kieliszek calvadosu czyścił buty, a za dwa - nawet prał kapce.

Mit calvadosu ma w naszej historii wiarygodne przedłużenie, ponieważ wzięliśmy go, jak wiele innych mitów, strasznie serio, i mamy oto żywą, prawdziwą Joannę Rawik, dramatyczniejszą może niż ta z książki, oraz żywą prawdziwą „Złotą jesień” (sic) - rodzaj polskiego calvadosu. Swoją drogą: wszystko musimy przedobrzyć.

„Cena strachu”

Arcypopularny film francuski. Wersja czarno-biała. Yves Montand, jako zagubiony wykołajeniec, wegetuje w upiornym kraiku egzotycznym. Pewnego dnia pojawia się szansa odbudowania majątku i osobowości: należy przewieźć rozklekotaną ciężarówką potężny ładunek nitrogliceryny dla ugaszenia gigantycznego pożaru a la Carlineau.

Yves Montand wiezie.

Młódzież zna zresztą tę historię, bo niedawno pojawiła się na naszych ekranach nowa, kolorowa wersja. „W naszej” była jednak pewna scenka, która szczególnie wżarła mi się w pamięć. Oto wyruszając w ryzykancką podróż bohater zabiera ze sobą relikwię: stary bilet do paryskiego metra. Bez niego wszystko jest nieważne!

Pamiętam, że razem z całym kinem płakałam nad tym biletem, jak nad czymś ogromnie swojskim, przypadkowo tylko przetłumaczonym na francuski. Po latach zaś, kiedyśmy się z STS-em znaleźli w Paryżu, z ogromnym nabożeństwem oglądaliśmy w metrze charakterystyczne kartoniki, a jeden z nich oczywiście przywiozłam do Warszawy.

Sto razy zamierałam go wyrzucić, ale wydaje mi się za każdym razem, że popełniłabym w ten sposób jakieś drobne świństwo wobec duchów mojej młodości.

Ciuchy

„Ciuchy” były dla odwilżowej Warszawy tym, czym dla Paryża - Hale, dla Istambułu - bazy, dla Londynu - „Marx i Spencer”. Dziewczyna z mojego pokolenia czułaby się bez „ciuchów” jak Kopciuszek bez drugiego pantofla. A nawet - bez pierwszego. Chłopak, który nigdy nie miał prawdziwych dżinsów, wylądowałby prędzej czy później u psychiatry. Doktor, widząc bezmiar nieszczęścia, spytałby wstrząśnięty:

- Czy to możliwe, że mamusia nie kupiła panu roweru?

- Gorzej - zmartwiałymi wargami wymamrotałby pacjent.

Bez „ciuchów” nie mielibyśmy pisarstwa Leopolda Tyrmanda, ideologii Barbary Hoff, fenomenu pn.

„Plastyczka”, olśniewających mariaży aktorek, słynnej urody warszawianek, a także - kilkunastu zgrabnych willi pod Nowym Targiem, paru pasjonujących procesów i niezliczonych wspomnień, plotek, piosenek, artykułów, a nawet kto wie czy nie doktoratów.

Tymczasem ja, o zgrozo, nie rozumiem mody.

Fakt zaś, że nie rozumiem mody, wpłynął z kolei na to, że nigdy nie „czułam ciuchów”. Z początku wydawały mi się podobne do stert odzieży porzuconych przez zmarłych. Dlaczego tak? - Nie wiem.

Wiem, że mankiety są raz szersze, raz węższe (przecież widzę), spodnie na zmianę to chudną do rozmiarów makaronu, to wypuczają się do szerokości szarawarów, twarze na zmianę to sinieją, to znów świecą się jak latarnie, piersi rosną i znikają, ale pojęcia nie mam, dlaczego. Niestety, dla młodych te rzeczy są strasznie ważne, i dopóki rząd, Kościół handel, rodzice itp. nie będą tego doceniali, poty nasza młodzież będzie brudna i zła. Ponieważ zaś w latach pięćdziesiątych ani rząd, ani Kościół, arii handel, ani rodzice - z całą pewnością - tego nie doceniali, to ciuchy warszawskie, krakowskie, nowotarskie i inne spełniły świetną, historyczną rolę Wielkiego Terapeuty.

Nic to, że królowa Mody Polskiej, pani Grabowska, powiedziała mi kiedyś w zaufaniu: „I pomyśleć, droga pani, że w dziedzinie mody w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat pojawiła się tylko jedna naprawdę nowa rzecz: zamek błyskawiczny”!...

No tak. Ale komu pani Grabowska zwierzyła tę tajemnicę: tylko mnie!

Czang-kai-szeki

Czang-kai-szekami nazywano małe chińskie pieski, pekińczyki, a także duże psy chińskie, te z niebieskim językiem. Stanisław Tym, satyryk, posiadał swego czasu dorodnego czang-kai-szeka imieniem Fotel. „Łańcuchowymi psami imperializmu” nazywano swojskie kundle, strzegące wiejskich podwórek i podmiejskich składzików. Do swoistej kariery „a rebours” niektórych sloganów przyczyniła się walnie polska karykatura polityczna z lat 1949-55, która poty wałkowała dziarskie, nawet i „trafione”, hasło, póki nie zamieniło się w kompletny absurd np. „Zapluty karzeł reakcji”.

Czerwone skarpetki Tyrmanda

Pierwsze zdanie, jakie powiedział do mnie Leopold Tyrmand, dotyczyło chłopca, na którym mi zależało. Było to na zabawie, w szkole imienia Stefana Batorego. Siedzieliśmy oboje na stole i patrzyliśmy na tańczących. Leopold powiedział:

- Jeżeli ty myślisz, że on się z tobą ożeni, to naprawdę jesteś głupia.

Mimo to znajomość trwała nadal, a nawet w czasach, kiedy pracowałam w filmie jako asystentka, zaangażowałam Tyrmanda do roli „Pana z kawiarni” (film „Jutro premiera”, reżyser Janusz Morgenstern, około 1961 roku).

Uważam Tyrmanda za Dołęgę-Mostowicza naszych czasów. Ten świetny autor i wyrafinowany obserwator, gdyby był teraz tutaj, nie kręciłby się zapewne po pięknych dzielnicach, tylko po Wolumenie. Jak przebiegły diagnosta przykłada on bowiem ucho do ciała pacjenta nie tam, gdzie

wszyscy przykładają, ale tam, skąd wydobywają się szczególnie ciekawe szmery. Tyrmand śledziłby z zapartym tchem owo jedyne na świecie targowisko, na którym spotykają się sprzedawcy niemieckich szamponów, handlarze płyt i liferenci wydawnictw niezależnych. Tyrmanda, jako pisarza, pasjonowało zawsze nie to, co się ludziom oferuje, ale to, co ludzie naprawdę chcą kupować, nosić i oglądać. Idzie wielka fala tyrmandyzmu. Był czas, że podtrzymywały go tylko niezachwiane autorytety Stefana Kisielewskiego i Gombrowicza, dziś sama cena „Złego” na ciuchach mówi za siebie (ostatnio - tysiąc złotych, 1981). Nie ja jednak - choć entuzjastka - będę się habilitowała z Tyrmanda i nie ja, choć wprowadzona, powrócę do starego sporu - jest li Tyrmand Dostojewskim i dla kogo? (mam na myśli polemikę Kisiel-Kijowski z lat sześćdziesiątych).

Tyrmand, choć tak interesujący jako pisarz, zajmuje mnie szczególnie jako człowiek modny. Zajmuje mnie niejako jako klient swego krawca. Jako osobnik wkraczający do magazynu z bielizną. Jako bywalec i jako tancerz. Stosunek Tyrmanda do strojów był bowiem bardziej jeszcze mitonośny i mitotwórczy niż jego literatura.

Kiedy go poznałam - a była to druga połowa lat pięćdziesiątych - Tyrmand nie był już młodzieniaszkiem. Przeciwnie, był statecznym panem o wyglądzie urzędnika bankowego z Glasgow.

Mimo to - Tyrmand stroił się. Stroił się i opisywał swoje stroje z uporem, mógłby ktoś powiedzieć - godnym większej sprawy. O to jednak chodzi, że strojenie się Tyrmanda było samo w sobie wielką sprawą. Cały świat mógł sobie nosić skarpetki, jakie chciał, ale czerwone czy pasiaste skarpetki Tyrmanda nie były po prostu skarpetkami. Były wyzwaniem i apelem, były niejako kartą praw człowieka i obywatela, były demonstracją. Skarpetki te upominały się o prawo człowieka do odmienności, do inności, do wygłupu nawet. Skarpetki te mówiły: „To ja, to ja! Ja nie chcę być jedną z wielu, wystarczy mi, że jestem jedną z dwóch”.

Powiadam, poznałam Tyrmanda już po Październiku, ale on, Leopold, działał, pisał i stroił się już we wczesnych „swinging fifties”, a nawet wcześniej. Stroił się przeciwko powszechnemu umundurowaniu, stroił się, co tu dużo gadać - ryzykując. Przecie my wszyscy wyglądaliśmy wtedy jak maotsetunżki. A jeśli kto chciał wyglądać inaczej, to mu wytaczano sprawę o bikiniarstwo.

Ja, notabene, nie miałam z tym wszystkim nic wspólnego, ponieważ nie cierpiałam się „ubierać” (patrz: „Ciuchy”). Jeszcze kiedy byłam dzieckiem, krawcowa ukłuła mnie igłą, i to tak boleśnie, że pozostał mi idiotyczny uraz. Na widok żurnala skręcałam się z obrzydzeniem jak inni na widok poczekalni dentystycznej. Nawet późniejsza przyjaźń z najśliczniejszą modelką Warszawy - Martą Przyborzanką - nie była w stanie zagnać mnie na rewię mody. Ale przysłała kryską na Matyska i pewnego dnia pani T. F. ofiarowała mi kilka kawałków skaju w kolorze wścieklej sałaty. Uszyty został z tego tak zwany „kostium” i, wbrew najczarniejszym przewidywaniom rodziny, „leżał on” całkiem dobrze. Docenił to Leopold. Na mój widok wysiadł z samochodu (tak), i powiedział co następuje:

- Myślałem, że jesteś toporną samicą, a tymczasem jesteś Mussetem w fenomenalnych skórkach.

Cytuję z dokładnością komputera. Zresztą kto z nas wymyśliłby takie zdanie!...

Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, jaką rangę potrafił nadać Tyrmand swoim skarpetkom. Wspomnijmy słynny fortepian Szopena. Nietrudno go, rzecz jasna, uznać za symbol. Skoro tak, idźmy dalej za Poetą i przypomnijmy, że symbol ten pewnego dnia, w szczególnych okolicznościach - sięgnął bruku.

Symbol ofiarowany nam przez Tyrmanda - skarpetki mianowicie - niejako powstał z bruku, a następnie - uniósł się w górę, ku obłokom, tam, gdzie mieszkają marzenia..

Oczywiście dla nikogo dziś nie jest tajemnicą, że były to między innymi Marzenia o Zachodzie. Ale przecież Zachód ów, zwłaszcza u wczesnego Tyrmanda, nie był tym, czym jest dzisiaj dla nas: zwyczajnym, całkowicie realnym zbiorowiskiem miast i wsi, gdzie jeździmy na zarobek, do znajomych, i tak dalej. Zachód był mitem, krainą wyśnioną, edenem, i wszystkim, co niewiadome. Jeśli tak rozumieć zagranicę, to i wściekłym prowincjuszem być - nie wstyd. Nie jesteśmy bowiem w swej tęsknocie - mali. Nie chcemy przecież podnieść się o szczebel, chcemy się unieść o stratosferę.

Tyrmand był nieprawdopodobnym snobem. Miał w sobie tę straszliwą słowiańską tęsknotę za

świecącym barkiem na kółkach. Ale czy miał inne wyjście? Takiego masz symbola, jaka twoja dola. Rydel, a za nim Wyspiański, ukazali nas światu - do nieprzytomności opitych swojskością. Tyrmand ukazał nas rozpaczliwie wyrrywających się ze swojskości. Ale z jakiej to swojskości? Ze swojskości, którą chciano nam narzucić.

Z tych wszystkich przyczyn, gdyby dziś mnie zapytano, czym różni się rzeczywistość mityczna od rzeczywistości zwykłej, powiedziałabym tak:

- Różni się ona tym, czym różniły się skarpetki Tyrmanda od każdej innej pary, do niedawna dostępnej w sklepie.

D

dostojewski

Gdyby w drugiej połowie lat pięćdziesiątych spytać dorosłego młodzieńca z miasta, jakie zna języki, mógłby odpowiedzieć: „rosyjski, francuski i dostojewski”. Chyba nie przesadzam. Ci z nas, zwłaszcza spośród młodzieży literackiej, którzy nie mówili „gałczyńskim”, mówili „dostojewskim”. Dlatego w tytule hasła pozwoliłam sobie napisać nazwisko sławnego olbrzyma z małej litery; był to bowiem olbrzym oswojony, używaliśmy go do własnych celów.

Jakie to były cele? - Z grubsza rzecz biorąc - te same, którym, zwłaszcza u dziewczyn, służyć miał czarny sweter: zerwanie z przyklejonym uśmiechem, z optymistyczną sztaampą, z osławionym „lakiernictwem” i w ogóle - z poetyką „Przygody na Mariensztacie”. Trzeba pamiętać, że byliśmy bardzo młodzi.

Dostojewski „leżał” nam, jak ułał, nie tylko ze względu na porażającą wizję świata i społeczeństwa, ale też ze względu na świetną okazję do deklamacji. Obsadzaliśmy się w dostojewskim z szalenczą jakąś łatwością, a „mówiąc nim” dawaliśmy upust błazeństwu naszemu, kabotyństwu, a także pierwszym metafizycznym potrzebom. Raczkowaliśmy ku metafizyce, uczyliśmy się bawiąc.

Taka na przykład scenka: Jest południe, siedzę z chłopakiem, na którym mi zależy, w kawiarni, dołącza się znajomy, i - krótko mówiąc - zwraca się do chłopaka o pożyczkę:

Znajomy: - Słuchaj, stary. Jestem kompletny rumun, nie mam ani grosza.

Chłopak: - „Takie też było moje życie przez ćwierć wieku” („Biesy”).

Znajomy: - Nie żartuj. Potrzeba mi sto dwadzieścia złotych.

Chłopak: - „Niezawodnie!” („Biesy”).

Znajomy: - Stowa.

Chłopak: - „Krótko będziemy razem” („Biesy”).

Znajomy: - Kochany, jestem na dnie.

Chłopak: - „Otóż więc nareszcie zderzenie z rzeczywistością” („Biesy”).

Znajomy: - Pięćdziesiąt.

Chłopak: - „Czapki zdjąć”! „Na kolana”! („Biesy”).

Ja: - „Daj, daj mu guldena”! („Gracz”).

Chłopak: - „Ależ to może wcale nie biedny, tylko hultaj!” („Gracz”).

Znajomy: - Słuchaj, stary, tobie się teraz nieźle powodzi, co?

Chłopak: - „Jestem przecie oszustem, nie socjalistą” („Biesy”).

Znajomy: - Co wy tak, przy herbacinie... Może gdzieś razem... Obiad jakiś zjeść...? Co? Co myślicie robić?

Chłopak: - „Przede wszystkim będziemy szerzyć zamęt”.

...Wstaliśmy. „Hultaj” powędrował dalej. „Miał twarz bladą i złą” („Biesy”).

Samo życie, jak reżyser z bujną fantazją, obsadzało nas w dostojewskim. Byli tacy, co widzieli Stawrogina w Adamie Pawlikowskim, a Piotra Wierchowieńskiego - w Wilhelmie Machu. Byli tacy, którzy sami, spontanicznie, obsadzali się w tej czy innej roli.

...Czy cytując powyższą scenkę chcę powiedzieć, że byliśmy, jak ten „muł Francis, który mówi”? - Nie, nie chcę tego powiedzieć. Każdy artysta ma prawo przecie długo ćwiczyć, zanim się zdobędzie na własny ton i jęk. A my byliśmy w sytuacji swoistych Janków muzykantów. Niby to znaleźliśmy alfabet, a nawet - krótki kurs tego i owego umieliśmy na pamięć, a jednak pewne sfery życia i sztuki musieliśmy odkrywać na własną rękę, pólślepi i półślepieni.

Działacz

Słowo „działacz” śmieszy mnie. Jest zbyt pojemne. W pewnym sensie wszyscy jesteśmy działaczami, ponieważ wszyscy jakoś tam działamy. Przypomina mi to opowiastkę o pewnym panu, który przybił sobie na drzwiach wywieszkę: „Analityk”. Ba! Wszyscy przecie jesteśmy analitykami, ponieważ jakoś tam analizujemy, a nawet syntetyzujemy.

Określenie „działacz młodzieżowy” jest już znacznie bardziej precyzyjne. „Działacz młodzieżowy” to postać dla lat pięćdziesiątych ogromnie charakterystyczna. Nie ma chyba w moim pokoleniu istoty ludzkiej, która nie zetknęłaby się z działaczem młodzieżowym.

Czym się różnił działacz przedpaździernikowy od działacza popaździernikowego? Przede wszystkim kostiumem. O ile przed „rewoltą i mgłą” kostium działacza składał się głównie z zielonej koszuli, czerwonego krawata i tabaczkowych spodni, o tyle kostium działacza popaździernikowego składał się już z kilku kawałków wcale kosztownej garderoby: marynarki, a może nawet całego garnituru w kolorze koniecznie srebropopielatym, krawatu koloru wiśniowego, koszuli nylonowej białej. Jesienią - konieczny kapelusz. Pod koszulą - lekko prześwitujący podkoszulek typu „siateczka”. Na ręce zegarek w stylu waterproof. Papierosy bez ustnika. Kciuk i palec wskazujący - lekko przyżółcone. W dyskretnej kieszonce - raphacholin, prezerwatywa i pozwolenie (w rubryce „pozwolenie” proszę wstawić cokolwiek; coś, co w danym okresie jest trudno dostępne: benzyna, alkohol, wjazd na Gubałówkę).

Co pozostaje niezmiennie w kostiumie działacza? Obuwie tekstylne albo tak zwane sandały otwarte. Zestawienie tego rodzaju obuwia zwłaszcza z modelem drugim (garnitur) wydaje się w pierwszej chwili szokujące, ale jakże ludzkie. W upalnych miesiącach letnich, na odkrytych placach budów, w dusznych salach konferencyjnych - podczas kiedy cały działacz poci się niemiłosiernie - stopa, odziana jedynie w przewiewną skarpetę i fragment rzemienia - wietrzy się mile.

Działaczem młodzieżowym zostawało się we wczesnych latach pięćdziesiątych poprzez namolne i cierpliwe kręcenie się po korytarzu Komisji Uczelnianej ZSP. Jak natomiast przestawało się być działaczem?

Otóż to! Działaczem, teoretycznie, można przestać być na trzy różne sposoby: przez awans, przez wykolejenie oraz przez przejście na wrogie nam pozycje.

Praktycznie jednak działaczem młodzieżowym nie przestaje się być nigdy. Zbyt wielkie jest przywiązanie działacza do obyczajów swego dzieciństwa. Jeśli więc w kularach ambasady bułgarskiej, czy na satanicznym okręcie, czy w spelunkach Bangkoku, czy na zebraniu jacejki obcego wywiadu, spotkacie osobnika, który pije jak smok (uwaga: nie miesza!), pali jak komin, a mówi mniej więcej tak:i słuchacie mnie? W porządku, widzę, że słuchacie. Rozumiecie więc, jaką miałem sytuację: robię «.Jazz nad Odrą», kończę festiwal, mam napięte jury w Oblęgorku, a tu jak raz w samo południe Warszawa dzwoni, pierony jedne...-” - jeśli tedy spotkacie takiego osobnika, możecie mieć słuszne przypuszczenie, że oto siedzi przed wami działacz młodzieżowy. Jeśli jednak wciąż dręczą was wątpliwości, rzućcie okiem na stopy rozmówcy: jest trep? - Jest. No to jesteśmy w domu.

E

Eile

Eile to nazwisko, ale także symbol.

Marian Eile, legendarny twórca „Przekroju” (właściwie: cudotwórca...) ma niejedno na -sumieniu, jeśli chodzi o polski styl i smak. Krytykując Eilego „z prawa” (dziś: „z lewa”) można by powiedzieć, że niewiele zrobił, aby potrząsnąć duszami młodych Polaków. Ot, starał się, żeby jakoś przetrwać stalinizm nie ubłociwszy kaloszy i nie przestając jeść ryby dwoma widelcami.

Krytykując go „z lewa” (dziś: „z prawa”) można by powiedzieć, że Eile nie rozumiał rewolucji, że wydawało mu się, iż wystarczy do zwrotu „savoir-vivre” dodać przymiotnik „demokratyczny”, a już się jakoś zajędzie do tej samej zajezdni, z której wyrusza tramwaj Majakowskiego. Tymczasem - jak mawiają moi młodzi koledzy - „rzecz nie polegała na prawdzie”, i Eile nigdy do stacji „Rewolucja” nie dojechał. Nie przyjęto „Listów z fiołkiem” za listy uwierzytelniające, a osobliwa ekipa Eilego składająca się z Hermenegildy Kociubińskiej, Picassa, Barbary Hoff, Psa Fafika i tym podobnych - powysiadła z tramwaju dziejów, gdzie się komu podobało. (Inna rzecz, że wcale nie wiem, czy spieszyło im się na pętłę). Tak czy owak, na różne sposoby można się czepiać Eilego, ja jednak nie mam zamiaru tego czynić, ponieważ uważam Eilego za geniusza, a „Przekrój” za arcydzieło sztuki redaktorskiej wszystkich czasów. Czym był „Przekrój”? „Przekrój” był nie tylko przechowalnią Gałczyńskiego i dyktatorem mody. „Przekrój” był szkołą uśmiechu, taktu, czułości. „Przekrój” stworzył coś, czego de facto nie było: iluzoryczny salon.

W salonie tym, przy kominku domowej roboty, siedział kundel, którego kochało się jak rasowego. Pod oknem, ładnie oświetlony, starszy pan (Picasso) flirtował z Hermenegildą. W drzwiach, bez całowania w rękę, witał się z Izabelą Czajką dzielny inżynier o fiołkowych oczach (nafciarz z Tarnobrzegu). Na kanapie, przeciągając się leniwie, popijała absynt Barbara Hoff. „W tym sezonie ramię lubi być gołe” - przekonywała zdeorientowaną panienkę. Nad wszystkim tym królowała nieżyjąca już przyjaciółka moja - Janka Ipohorska (vel Jan Kamyczek). „W dzisiejszych czasach nawet wysoki dostojnik siada koło kierowcy” - szeptała na ucho świeżo upieczonemu dygnitarzowi...

Eile i jego ludzie byli także mistrzami w wychwytywaniu słów-znaków, słów-haseł, słów, które czynią klimat epoki. Kto ciekaw, a nie pamięta, niech sięgnie do starych roczników i spojrzy, co ci ludzie wyprawiali z jednym przymiotnikiem: „szałowcy”. Według tej terminologii Braque i Picasso byli „szałowcy”, a bracia Krajewscy - nie byli... Nie chcę cytować, bo wszystko popsuję.

...Kto właściwie pisał w „Przekroju”, kto wykonywał, a kto wymyślał, było dla wielu tajemnicą. Ludzie Eilego uwielbiali pseudonimy i wszelkiego rodzaju przezwiska. Ukrywali się w przebraniu dziwacznych karakuliambrów, kozietulskich, a nawet domowych zwierząt i roślin. Słusznie pisał Gałczyński:

*„Chwile wolne nad «Przekrojem»
ja spędzam w dezabilu.
Tam piszą bracia Rojek,
lecz nie wiadomo ilu?!”*

Eile utracił „Przekrój” już w latach sześćdziesiątych. Straszna szkoda. Szkoda, że utracił; szkoda, że Eile; szkoda, że w ogóle. Eile nie był politykiem. Sam mi wyznał swego czasu, że stara się oddawać „to co cesarskie” - na okładce i na paru pierwszych szpaltach okładki wewnętrznej. Dalej stara się już po prostu „robić pismo”...

W późnych latach sześćdziesiątych zwykle „robienie pisma” wymagało coraz bardziej akrobatycznych talentów i Eile, właściwie wcześniej niż musiał, pismo owo utracił. Interesuje mnie jednak jeszcze jedna rzecz: Eile odszedł, ale przecież firma została. „Przekrój” mógł, teoretycznie rzecz biorąc, jako tako funkcjonować nadal. Tymczasem tygodnik całkowicie zmurszał. Dlaczego tak się stało? Stało się tak mianowicie dlatego, że „Przekrój” utłukła telewizja I

Dział rozrywkowy telewizji, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, całkowicie przejął, a następnie

strywializował przekrojową koncepcję salonu.

Huk i łomot wydobywające się z przemysłowego blichtru telewizji do cna zagłuszyły i ukatrupiły amatorski gwarek saloniku przekrojowego, iluzoryczna Hermenegilda Kociubinska ustąpiła miejsca żywej i pełnokrwistej Irenie Dziedzic.

Wdzięk, urok, styl i smak salonu Eilego polegały między innymi na tym, że salon ten istniał tylko w wyobraźni. A wyobraźnia, choćby dlatego, że jest niematerialna, nigdy nie może być aż tak tandetna, jak jej żywy produkt. Toteż bywalec „przekrojowy” poruszał się po kramie snów, i w nagrodę za to otrzymywał taką Zientarową, jaką sobie wymarzył. Bywalec telewizyjny poruszał się po zamkniętej przestrzeni swego M-3 i otrzymywał dokładnie to samo, co sąsiad: te same pluszowe kanapy, i te same na nich, obowiązujące aktualnie bóstwa.

I ja tam byłem, miód i wino piłam. Nie ma jak pompa.

PS. A jednak zupełnie niedawno, w cichym kątku prowincjonalnej biblioteki, widziałam młodziankę dziewczynę, jak, zaczajona z nożyczkami, wycinała sobie obrazki z jakiegoś pisma. Zgadnijcie - z jakiego!

Europa

Na początku były trzy Europy: Europa wskazana, Europa dozwolona i Europa zakazana.

Wskazana - to wyjazd na „Spartakiadę” do zaprzyjaźnionego kraju; dozwolona - to Picasso; a zakazana - Kafka, powiedzmy.

W takim jednak roku pięćdziesiątym piątym - do Kafki było jeszcze daleko. Natomiast Europa dozwolona, w coraz szybszym tempie i w coraz większych dawkach, wciskała się do nas rozmaitymi szparkami i otworami. Chłoniliśmy ją, półprzytomni z pragnienia i kompletnie skołowani sprzecznymi informacjami. Przedziwne to były wieści, te pierwsze wieści ze świata! A to pocztówkę Matisse'a ktoś przywiózł i objaśnił, „że cytryna na stole niby leży, a jednocześnie jakby wisi w powietrzu, a wisząc - stoi!”... A to Zygmunt Kałużyński - pięćdziesiątka ziemniaków paryskiej w swojej pierwszej bodaj książce podrzucił... A to znowu płytę Juliette Greco ktoś gdzieś zdobył i z błyszczącymi oczami o niej opowiadał - i tak w kółko.

Doszło w końcu do tego, że kilku biednych jak myszy, ale przedsiębiorczych artystów „Bim-Bomu” - objechało pożyczoną ciężarówką, czy starym autobusem, spory kawałek Włoch i Francji. O tej szalonej eskapadzie swojej przez miesiące i lata dawali oni później wieczorki autorskie ozdobione przezroczkami. Cierpliwie i nie bez fantazji odpowiadali rozplomienionym pensjonarkom na pytanie: „Jak tam właściwie jest?”

Nie wiem, czy czegoś nie przekręcę, ale chyba do dziś pamiętam nazwiska tej szalonej drużyny. Jacek Fedorowicz? Wowo Bielicki? Alan Skowyrza? Tadeusz Chyła? Czy coś nie tak? t

W każdym razie Europa wyglądała wtedy całkiem inaczej niż dziś. Dziś jest to po prostu olbrzymia aglomeracja miejska, świat pozbawiony kościołów, muzeów i najrozmaitszych kurhanów, natomiast obficie zaopatrzone w pralki, lodówki, buty, samochody i tym podobne. Obecnie wyjeżdżamy do Europy goli, a wracamy jako tako przyodziani i dajemy do gazet ogłoszenie: „Po powrocie z zagranicy kupię mieszkanie”.

W tamtych czasach wyjeżdżaliśmy do Europy z paroma zaszytymi w mankiet dolarami: („żeby choć mieć na bilet do Luwru”), a wracaliśmy zmarnowani i wychudzeni, ale świecący światłem wewnętrznym, napromieniowani Goya i objedzeni rozmaitymi kolazami i witrażami. „Jadą wozy do stodoły, wyszedł w futrze, wrócił goły”.

Słowo „Europa” oznaczało w potocznym języku coś znacznie więcej niż geograficzną nazwę kontynentu. Było to określenie szczególnie eleganckiego i światowego gestu, obyczaju bądź zdarzenia.

Wyobrażam sobie takie dialogi:

- Na pożegnanie dał mi kwiaty i odwiózł do domu.

- Europa!

Albo:

- Widziałam zdjęcie Jerzego Waszyngtona. Swoim wyborcom rozdawał whisky i cygara.
- Europa!
- Proponuję, panowie, żebyśmy założyli własne pismo - pismo polskich pisarzy i intelektualistów.
- „Europa”!

...Szczególną cechą Europy dozwolonej było to, że zamieszkiwali ją przeważnie sami Francuzi. Nie wiem, do dziś nie jest to dla mnie całkiem jasne, ale tak po prostu było. Nie Armstrong, tylko Yves Montand, nie Ella, tylko Juliette Greco, nie Hemingway, tylko Aragon - pierwsi przekroczyli Rubikon. Jako Hiszpan, psuje mi obraz tylko Picasso, ale przypomnijmy, że mieszkał wtedy we Francji i wszystko się zgadza. Krótko mówiąc: O ile przed wojną Szwajcar dzierżył klucz do hotelu, o tyle po wojnie Francuz dzierżył klucz do Europy.

Mało wnikliwy badacz tamtych czasów mógłby się zdziwić, dlaczego ci, a nie inni artyści stanowili wówczas tę pierwszą szpicę. Brakuje tu oczywistych związków estetycznych, takich choćby, jak między secesją a chińszczyzną.

A jednak związki były, były. Po prostu. Importowaliśmy przede wszystkim artystów „postępowych”. Tak, tak. Trochę chodziło o legitymację, trochę o jakieś tam stare kontakty i sympatie, a trochę pewnie o fakt, że to nikomu specjalnie nie zagrażało. Z egzystencjonalizmu sprowadzało się tylko kawiarniany dymek, obrazek i piosenkę.

Zatem mój obraz Europy dozwolonej wyglądał przez jakiś czas tak:

Bohater, dzielny Yves, pracuje w fabryce „Citroena”. Dziś właśnie wyrzucono go z pracy. Mimo to Yves nie traci dobrego humoru. Opuszcza swoją fabrykę, ozdobioną obrazami Legera, i, gryząc paryską bułkę, przechadza się bulwarami. W swojej wólczędze dociera aż do Pięknych Dzielnic. Czekają już tam na niego czarnooka Juliette. Bawiąc się jesiennym liściem dziewczyna wyznaje mu miłość. Oszłomiony Yves zgadza się pojąć Juliette za żonę, z tym że w chwili szczerości opowiada jej o swoim smutnym losie - losie bezrobotnego. Kochankowie, załamani, popełniają samobójstwo. Z ich nieruchomych głów wzlatują jednak kolorowe ptaki, i po chwili szalonego tańca - łączą się w obłoku. Na koniec tego, powiedzmy, filmu, „wzrosty, że ptaki powracają na ziemię i moszczą sobie gniazdo w porzuconym berecie Yves'a. Fin. Koniec. Swoją drogą rozmaite kolorowe ptaki rodem z Jacques'a Preverta odważyły w naszej kulturze kawał solidnej roboty! Pamiętam śliczny zresztą program „Bim-Bomu”, zatytułowany bodajże „Radość poważna”, który podzielono na dwie zdecydowanie odmienne części: jedna część, czarno-biała, opowiada o minionej właśnie erze „schematyzmu”, a druga, w której pojawia się słynny Kolorowy Ptak - sławi nadchodzące Nowe.

W innym programie „Bim-Bomu” młodziutki Jacek Fedorowicz (wówczas malarz) unosił się w powietrzu w charakterze zbawczego aniołka odzianego we flanelową nocną koszulę. Ktoś może powie, że dziecinne były te wszystkie fruujące symbole, ale raczcie pamiętać, że opowiadam o odwilży raczkującej. Poza wszystkim liczy się także emploi artysty. Dzisiejszy król „Egidy”, Jan Pietrzak, unoszący się w powietrzu w nocnym przyodziewku - to już amatorska sztuka.

F

Festiwal młodzieży

W czasie Warszawskiego Festiwalu Młodzieży (1955) ulica Nowy Świat przyozdobiona była na kolorowo. Nie na czerwono, nie na biało-czerwono, nie na maryjnie, tylko całkiem po prostu - na pstro. Pstre lampki, lampiony, szmatki, kokardki, bufy i bombki huśtały się na sznurkach, spadały z nieba i wyglądały z okien. Wielki triumf żabojadów w dziedzinie gustu - i ogólnego nastawienia (patrz: hasło „Europa”, Kolorowe Ptaki). Gdyby połączyć wielką paradę festiwalową 1955 roku z przejazdem de Gaulle'a przez Warszawę w roku 1967, to byłoby naprawdę „to”. Tymczasem w stosunkach naszych z Francją brakuje

„tego wykończenia”. Przysłali Walezego, okazał się jakiś niewydarzony; przyjechał generał, okazało się jakby za późno; teraz znów zanosi się na mijankę.

Ale ja ani myślę pod literą „F” opowiadać historii Francji ani, tym bardziej, drobiazgowo rekonstruować Festiwalu Warszawskiego. Interesuje on nas tylko jako parada symboli, jako defilada znaczeń i nie-znaczeń. Krótko mówiąc: kto tam jeszcze idzie w pochodzie, a kto już, raczej - nie.

Oto nie ma już, na dobre, takich haseł jak „Wróg podsuwa ci coca-colę”. Zapodział się gdzieś Wuj Sam. Zamiast „łańcuchowego Psa Imperializmu”, mamy Psa Fafika. Zamiast Pamiątek z Celulozy czają się pokątnie Pamiątki z Jasnej Góry. Na miejsce Pawki Korczagina szykuje się, jeszcze nie wiedzący, Zbyszek Cybulski. Wypróbowana kreska „wcierek” ustępuje miejsca zygzakowi Picassa. Już niedługo wszystkie kluby-kawiarnie, a także spódnice dziewczyn i krawaty panów, jak Polska długa i szeroka, pokryją się słynnymi nakładanymi trójkącikami. Zaś osiedle „Kolorowe” w Nowej Hucie, na pamiątkę nauk Legera, ozdobi się wszystkimi odcieniami burej maliny i rozgniecionej jagody... W wyobraźni młodych filmowców roją się już być może pomysły etiud o papierowych kolejkach demolowanych przez chuliganów (reżyser A. Kondratiuk) i latających słońcach Mrożka.

Może to brzmi ciut niepoważnie, że miast gromadzić fakty, gromadzę całe zastępy kolorowego ptactwa i psów Fafików, ale taki już człowiek jest. Zamiast napisać solidną księgę zaczynającą się od słów: „Widmo czegoś innego krąży po Europie”... człowiek zabiera się do rozbiórki nużącego go świata rękami, za przeproszeniem, swoich psów i ptaków.

Oczywiście powstaje pytanie, czy nie przychodzi mi na myśl ktoś, kto nie uczestniczył w tej paradzie. W tej ani w poprzednich. W tej ani w następnych.

Owszem, przychodzi mi. Jest to Adam Pawlikowski: aktor, krytyk, a przede wszystkim genialny nierób. Wróć jeszcze do jego postaci nieraz, na tym jednak miejscu powiem tylko, że Pawlikowski nie był paradownicem.

A więc:

Ani zetempowska koszula, ani czarny sweter. Ot, zimą kurtka zielona, w lecie flanelowa koszula.

Ani Newerly, ani Gałczyński. Prędziej Celine.

Ani „Szła dziewczeczka”, ani jazz.. Często: Xenakis.

Ani „Brygada szlifierza Karhana”, ani STS. Już raczej - Kantor.

Ani Adam Schaff, ani Kołakowski. Swoiście, często żartem: Ortega y Gasset.

Mogłabym wyliczać przykłady, ale przecież wiadomo już o co chodzi: Adam dźwigał, że się tak wyrażę, trzeci koszyk intelektualny, koszyk metafizyczny.

Ja sama w owych latach święciłam, światłem odbitym, byłam jak bombka na choince, łąpałam, promienie z różnych kierunków.

Jednak Pawlikowski oświetlił mnie szczególnie silnie, biło od niego osobliwe, czarne światło. Dla wielu z nas był mistrzem, lub pół-mistrzem. Pomnożył nasze życie o wartości, o których nie mieliśmy poprzednio pojęcia. Nas wzbogacając, sam biedniał i niszczył się z dnia na dzień. Mógłby ktoś powiedzieć, że pożerała go choroba, ale czyż my sami nie jesteśmy chorobą, a choroba - nami?

Pytałam kiedyś Adama: - Dlaczego nie pracujesz?

A on: - Ja? Ja jestem Księciem. Czy widziałaś, żeby Książę pracował?

Książę był koneserem. Nie pisał osobiście symfonii, nie szył butów. Od tego miał czeladź.

...Wtedy jednak, latem pięćdziesiątego piątego roku, kiedy pies Fafik szczyrzył się na łańcuchowego psa imperializmu, nikt z nas nie był jeszcze uformowany. Nawet Adam Pawlikowski był dopiero Dudusiem.

Flirt towarzyski

Była kiedyś taka modna gra młodzieżowa: „Flirt towarzyski”. Siedziało się w pięciorko, czy w sześciorko, przy stole, i w rękach, niczym talię kart, trzymało się zadrukowane kartoniki z ponumerowanymi zdankami-zaczepekami. Na przykład: „Numer pięć: Czy lubi pani tańczyć?”, „Numer osiem: Pan jest ,w

moim typie” - i tak dalej. Upatrzone zdanko przekazywało się partnerowi, mówiąc na głos jedynie numer: „Siedem”. A on na to: „Jedenaście”. I tylko tych dwoje wiedziało, o co chodzi.

Niby to było wesołe i odpowiednio smarkate, a jednak wyczuwałam w tej grze coś niemiłego. Oszukiwałam i byłam oszukiwana. Trochę się tego bałam, było mi nieswój o. Pamiętam, podobało mi się tylko tajemnicze słówko „Humbug”. Podobało mi się do szaleństwa, ponieważ go kompletnie nie rozumiałam. Pewnego dnia wysłałam je do niejakiego Jerzego R. (klasa 10 a), który, ani drgnąwszy, odpowiedział mi tym samym słowem „Humbug”.

O tych nieszczęsnych humbugach i w ogóle - o całym tym młodzieżowym „flircie” myślę sobie nieraz, kiedy przychodzi mi chęć zastanowić się nad dworskim charakterem kabaretu, szczególnie w czasach odwilży.

Ale zacznijmy od pieca:

Moi rówieśnicy pisujący satyrę, także ci o oczko starsi, wywodzą się z tradycji „Skamandra”. To znaczy, ze starszych: Marian Załucki, Janusz Minkiewicz, Antoni Marianowicz, Jerzy Jurandot, Tadeusz Kubiak. Z młodszych: cały oczywiście STS, Marek Groński, a także „Hybrydy”, łącznie z Pietrzakiem, Koftą i Młynarskim. Wywodzi się ze „Skamandra” ze stu różnych przyczyn. W moim przypadku będą to szczególnie silne związki z „przedwojną” w postaci powiązań rodzinnych, przyjacielskich, mistycznych nawet. Miałam niespełna rok, kiedy przytoczono mnie w wózku do kawiarni „Sztuka i moda” (Sim), której właścicielka, ciotka Zosia Arciszewska, urządzała niezliczone wieczorki artystyczne - między innymi skamandrytom właśnie...

Ale żeby objaśnić rodowód poetycki moich rówieśników satyryków, nie trzeba sięgać do genealogii. Wystarczy wspomnieć, że skamandryci byli nam bliscy jako mistrzowie gatunku. To oni przecież, nie bez przyjemności, bawili się piosenką, gagiem i skeczem. To oni byli autorami szopek, których uczyliśmy się na pamięć. To oni wreszcie byli tymi starszymi panami, których udało się nam poznać osobiście i wydrzeć im kolejno najpierw autograf, potem kieliszek wódki, a wreszcie bruderszaft i receptę na zgrabny wierszyk. Do wątku tego powinowactwa nieraz jeszcze wrócę. Tu jednak, pod hasłem „Flirt”, chcę wspomnieć o pewnej tendencji, która była bliska i im, i nam. Jest to tendencja polityczna. Tendencja, że tak powiem, „ugodowa”. Tendencja do uprawiania satyry nawet ostrej, nawet drapieżnej, ale zawsze zmierzającej do zmian „w ramach istniejącego systemu”.

Oczywiście różnie to wyglądało w różnych czasach. Młody Tuwim bardziej się szastał niż stary Tuwim. Znowuż stary Słonimski szastał się na starość i za siebie, i za kolegę, i za nas.

I my, i oni, miotaliśmy gromy w stronę cenzury i w stronę Belwederu, w stronę magistratu i w stronę rady narodowej, ile w końcu z bombą nikt nie biegał. A propos bomba, chciałabym przy okazji wyznać, że oglądając przejmujący film Agnieszki Holland „Gorączka” miałam między innymi rodzinno-towarzyskie skojarzenie, że wśród moich najbliższych takie sylwetki i takie sytuacje, jak u Struga, byłyby nie do pomyślenia. Żadna z moich ciotek nie wpuściłaby mężczyzny z bombą nie tylko pod kołdrę, ale nawet pod słomiankę!

Trudno. Należę do tego orszaku, który upominał się o korektę stosunków „w ramach istniejącego systemu”, i wywodzę się z tej formacji poetów, która również, w swoich czasach, domagała się takich czy owakich reform, a nie - rewolucji.

O ile same wiersze młodego Tuwima wydają się nawet przeczyć temu mojemu twierdzeniu, to jego sposób życia idzie mi, że tak powiem, na rękę. Cyganeria artystyczna żyła bowiem tak przed wojną, jak i po wojnie, w pewnej izolacji od ludu, i łatwiej mi sobie wyobrazić Minkiewicza pod rękę z Wieniawą, niż na przykład - z własnym krawcem.

Także i same „szopki”, z natury swojej elitarne, nie były takie znowu krwiożercze. Wyśmiewało się tę Kasztankę, wyśmiewało, ale w końcu tak strasznie nikt jej w zęby nie zaglądał.

Taka postawa, prędzej czy później, musiała ocierać się o flirt z władzą. Pamiętam z opowiadań ojca takie zdarzenie:

W latach trzydziestych, jak wspominałam przed chwilą, kwitła w Warszawie modna kawiarnia z

występami: „Sim”. Ojciec grał tam po południu, jak to się wówczas mówiło, „do słuchu”, a na późniejszy wieczór przenosił się do restauracji „Złota Kaczka”. Czasami podwoził go szofer mego wuja, pan Kryspin, a czasem - tata wędrował na piechotę.

Któregoś dnia, kiedy nie pora jeszcze było kończyć koncertu, ojciec zobaczył w drzwiach „Simu” niezwykle energiczną grupkę umundurowanych mężczyzn, taki sobie - powiedzmy - oddziałek operacyjny. Panowie ci, wśród których nie widać było zbawczego Kryspina, podeszli do ojca i dumnie oświadczyli: „Jest pan aresztowany”. Ojciec dokończył frazę, wstał od instrumentu i po chwili pod okiem troskliwego konwoju, znalazł się... niedaleko, bo na pięterku w pobliskim hotelu „Bristol”.

Tam, w łoży, bawił się wesoło pułkownik Bek. Humor mu dopisywał i, nie widząc przeszkód, postanowił sobie sprowadzić osobistego pianistę.

Charakterystyczny był sposób, w jaki ojciec opowiadał to zdarzenie: bez buntu, bez złości. Ot, jedna z wielu przygód w życiu artysty. Normalka!

Ten swoisty flirt z władzą, z pominięciem, oczywiście, okupacji, przetrwał wśród satyryków polskich aż do powojnia i później. Kiedy po okresie całkowitej posuchy, w roku 1954 Janusz Minkiewicz otwierał z kolegami pierwszy jako tako swobodny kabaret, nazwał go „Stańczyk”. Nieprzypadkowo przecież.

Także i my, ludzie z rozmaitych „Stodół”, „STS-ów” i „Hybryd” prowadziliśmy karkołomne pertraktacje i ciuciubabki z władzą. Wytwarzała się nawet nieraz arcyskomplikowana Hass-Liebe. Niby toby człowiek człowieka w łyżce wody utopił, a jednak się ten kieliszek wódki razem wypił, i w sumie było to dla nas normalne.

Ludzie tacy jak ja, którzy bardziej utożsamiają się z cyganerią artystyczną niż z ruchem politycznym, mieli w tym nawet swoją przyjemność. Nawet dziś opowiadam o tym bez szczególnego zaangażowania moralnego i jestem jak ten chłop kurpiowski, leśny i zbytorny, o którym autor przewodnika „Puszcza Zielona” pisze: „Kurp z trudem uważał kradzież leśną za przestępstwo”.

...No tak. Pamiętam jednak pewną przygodę z cyklu przygód dworskich, która sprawiła mi prawdziwą przykrość.

Było to już w okresie między odwilżami, na premierze kabaretu „Pod Egidą”, jeszcze na Rutkowskiego (dawniej Chmielna). Nie wiem, czy dawałam już wtedy piosenki do „Egidy”, w każdym razie byłam na widowni. Ciasnota była wielka, dym, upał, kelnerki z trudem przepychały się między gośćmi. Przy stoliku przede mną, odwrócony do mnie tyłem, siedział jeden ze znanych dygnitarzy warszawskich. Ambitny ten człowiek słynął z tego, że, póki mógł, patronował kabaretom warszawskim, i że między innymi jego wysoki mecenat odrobinę pomagał im w przetrwaniu. Tak się złożyło, że niemal przez całe przedstawienie miałam tuż przed nosem - jego kark. Widziałam nader wyraźnie cały ten kawałek skóry między kołnierzem koszuli a nasadą włosów, która u wrażliwych mężczyzn „lubi pokrywać się rumieńcem”. Otóż na tym to niewielkim ekranie, od czasu do czasu, raz po raz, wybuchała autentyczna łuna. Była to łuna gniewu, irytacji, podrażnionej ambicji... Wiadomo co się stało: Pietrzak z Koftą przeholowali i mówili dwa do trzech razy więcej żartów, niż planowano. Mecenasa, rad nierad, klaskał ochoczo, natomiast łuna, nieszczęsna łuna, zdradzała wszystko jednemu widzowi tego przedstawienia, czyli mnie.

Nie myślcie jednak, że tylko sam Mecenasa cierpiał przez cały wieczór. Pietrzak, który zerkał przez cały czas na Mecenasa, dostrzegł w mgnieniu oka jego rachityczne oklaski (dobrze, że nie dostrzegł łuny!) i raz po raz tytał w „naszą” stronę, a uśmiech jego stawał się z chwili na chwilę bardziej nieprzyjemny, aż zmienił się w charakterystyczny dla Janka grymas - grymas warczącego wilka.

Widowisko to, mówię Wam, wspominam z wielką, pamiętną przykrością. Będąc cały czas na linii między łuną a warknięciami, odczuwałam niemal fizycznie mękę obu mężczyzn. Wiedziałam, że trzymają się na solidnych smyczach dobrego wychowania i wzajemnego lęku, a jednocześnie, zawstydzona, głęboko pragnęłam, dla dobra ich obu, żeby zerwali więź.

Tymczasem jednak lata mijały, a my, w sumie, podtrzymywaliśmy reguły gry. Jedni się radykalizowali, drudzy zachowywali postawę Stańczyka. Ja? Ja chyba nie radykalizowałam się. Przeciwnie, przeglądając z

zazdrością pamiętniki Zofii Nałkowskiej, nieraz potajemnie westchnęłam, żeby, jak ich Autorka, rzucić beztrzęsio popielicowe futro - w tej lub owej dygnitarskiej szatni. Tylko że coraz trudniej było o szatnię, w której spokojnie można zostawić dobre futro.

Formalizm

Są słowa, które jak modna panna pojawiają się w języku na jeden sezon, potańczą, pofiglują - i już ich nie ma.

Do takich sezonowych zjaw należało słówko „formalizm”. Cóż to był za wszędobylski zwrociak! Wałkowało się go na polonistyce, na akademii i w rozmowach towarzyskich. W szkole filmowej był pewien profesor starej daty, bodajże Rosjanin, który owo piekielne słówko objaśniał w sposób następujący:

- I tedy tak: pierwszy plan, to dajmy na to - człowiek. Drugi plan, to dajmy na to - brzoza. Trzeci plan, to dajmy na to - niebo, czyli tło. Kiedy tła nie ma, wówczas następuje formalizm.

Proste i zrozumiałe. Prawda?

G

Gawędziarz

Zbyszek Cybulski był nieprawdopodobnie miły. Choć nie starał się nikogo kokietować - „szerzył sympatię”. Był zawsze trochę półprzytomny miłą półprzytomnością krótkowidza i każdy chciał mu pomagać. W czasach kiedy wszyscy błaznowaliśmy i udawaliśmy różne osoby, a nawet zwierzęta (np. „Zieloną Gęś”), on prawie w ogóle nie pozował.

W ostatnich latach życia, kiedy zupełnie nie mógł uporać się ze sobą, wszystkie te cechy powoli otaczały się czarną obwódką. Ale teraz mowa o starych dziejach, o lecie 1955, kiedy wszyscy byliśmy jeszcze zieleni jak młode ogórki.

Tamtego lata znalazłam się w Gdańsku trochę przypadkowo, odbywałam praktykę wakacyjną w „Głosie Wybrzeża”. Ani Cybulski, ani Kobiela nie mieli jeszcze za sobą wielkich ról filmowych, ale „Bim-Bom” święcił już triumfy, a chłopcy i dziewczyny z teatryku byli znanymi postaciami na Wybrzeżu. Toteż kiedy któregoś dnia Zbyszek przechodził pod oknem naszej redakcji, mój szef, Sławek Sierecki, szeroko otworzył okno, kazał mi się wychylić, i powiedział: „To on!”.

Po kilku dniach otrzymałam polecenie napisania artykułu o młodym teatrze, a potem, już na dobre, przyłączyłam się do tych wariatów.

Na moim biurku leży ich program teatralny z roku 1957. Jest zredagowany w charakterystyczny dla nich sposób: skromnie. Przedstawienie nosi tytuł „Toast”, a pierwsze linijki programu brzmią: „Bim-Bom - teatrzyk studencki - osób czterdzieści i trzy - wiek dwudziesty - rok powstania listopad 1954 - pierwszy program pt. «Ahaa» - drugi program pt. «Radość poważna»...” I tak dalej.

Środek programu zajmują pytania i odpowiedzi ułożone w formę ankiety. Kartka jest podzielona na równiutkie rubryczki i wypełniona starannym kaligraficznym pismem. (Pamiętajmy, że mnóstwo bimbowców to plastycy).

„Hajdun Janusz. Wiek: 22. Zawód: student PWS Muz. Czy ma pojazd? Nie. Czy czeka? Tak. Czy był za granicą? Nie. Co robi w programie? Gra na wibrafonie. Czy był dzieckiem? Tak. Uwagi:

„Karska Katarzyna. Wiek: 20. Zawód: studentka architektury. Czy ma pojazd? Nie. Czy czeka? Tak. Czy była za granicą? Nie. Co robi w programie? Bawi się klockami. Czy była dzieckiem? Tak. Uwagi: w drugim programie puszczała banki”.

„Skowyrza Albin. Wiek; 25. Zawód: lekarz. Czy ma pojazd? Nie. Czy czeka? Tak. Czy był za granicą? Tak, tak. Co robi w programie? Jedyny chłopiec w pantomimie z sercem. Uwagi: nasz Gerard Philipe”.

...No, ale przeczytajmy „dane” Zbyszka:

„Cybulski Zbigniew. Wiek: 30. Zawód:- absolwent. Czy ma pojazd? Pół motocykla. Czy był za granicą? Tak, tak. Co robi w programie? Wymyśla, gra i reżyseruje. Czy był dzieckiem? Tak. Uwagi: -”.

A Kobiela?

„Kobiela Bogumił. Wiek: 26. Czy ma pojazd? Pół motocykla. Czy był za granicą? Tak, tak. Co robi w programie? Wymyśla, gra i reżyseruje. Czy był dzieckiem? Tak. Uwagi: -”.

Kiedy dwaj przyjaciele - Zbyszek i Bobek - zostali aktorami filmowymi, ich emploi określiło się jednoznacznie: Bobek był „charakterystyczny”, a Zbyszek „liryczny”.

Tymczasem w życiu to było niezupełnie tak. Zbyszek, na skutek legendarnego roztargnienia, uchodził wśród przyjaciół za postać półkomiczną, a w każdym razie prowokującą do żartów. Toteż płacono mu niezliczone figle, a celował w tym Bobek.

Któregoś dnia na przykład, żeby napędzić Zbyszkowi stracha, koledzy przygotowali cały skomplikowany happening, czyli... fikcyjny wywiad dla radia.

Najpierw, oczywiście, ugadali jakiegoś chętnego do żartów radiowca, a potem pobiegli do Zbyszka i dalej bujać:

- Słuchaj, starenia, jest tak a tak, chcę z tobą zrobić wywiad do radia.

- Ze mną? Zwariowali?

- Nie, no gdzie! Wiedzą, co robią. Tylko słuchaj, starenia, jest taka sprawa, że nagranie będzie o szóstej rano.

- O szóstej?

- No, wiesz, taka młodzieżowa audycja...

Zbyszek kompletnie skołowany, na pół chętny, na pół przerażony, pojawił się nazajutrz o szóstej rano w radiu, a koledzy, rzecz jasna, czaili się za kotarą.

Zanim nieszczęśnik zdążył przyjść do siebie, już podmówiony redaktor zapalił lampki i zawiadomiwszy Zbyszka, że audycja idzie na żywo, zasypał go gradem straszliwych pytań:

- Drogi kolego, co „może kolega powiedzieć naszej młodzieży o sytuacji w Algierii? A jak kolega widzi strukturę organizacji młodzieżowych? Jakie są, zdaniem kolegi, najważniejsze cechy aktywisty i społecznika?...

- I tak dalej, w tym duchu.

Zbyszek, który był natchnionym artystą i patriotą, o sprawach sensu stricto politycznych nie miał zielonego pojęcia! Toteż, spocony jak mysz, bełkotał coś nieszczęśliwie i przeszedł istne męki Taniała, zanim całe towarzystwo wyskoczyło zza kotary.

W sprawach z dziewczynami Bobek też był znacznie swobodniejszy. Kiedy nowa znajoma wydawała mu się zabawna, proponował:

- Wiesz co, zmierzmy się!

Stawali, oczywiście, plecami do siebie i mierzyli się starannie.

- Słuchaj - mówił Bobek - to strasznie ciekawe, jesteś tylko półtora centymetra niższa ode mnie.

- Aha - mówiła dziewczyna.

- Ale wiesz co - mówił Bobek - to chyba przez te obcasy. Zdejmij buty i próbujemy jeszcze raz.

- Dobrze - mówiła dziewczyna, i z chwili na chwilę zażyłość nabierała rumieńców.

Zbyszek natomiast nie miał do dziewczyn „właściwego podejścia”. Już w czasach, kiedy był gwiazdorem i panny ciągnęły do niego sznurem, on ani myślał wdawać się w pośpieszne romanse.

Słyszał natomiast z tego, że wśród gwarnej zabawy lubił się z znajomą niewiastą w zacisznym kąciku i godzinami rozprawiać o tym lub owym.

- Słuchajcie, to nie podrywacz, to gawędziarz - powiedziała kiedyś jedna z tych dziewczyn, i to świetne słówko „gawędziarz” przylgnęło do niego na długie lata.

A jednak Zbyszek „wygawędził sobie” prześliczną żonę - Elę Chwalibóg - dziewczynę o prostych, niemal zrosniętych brwiach i niebiesko-fioletowych oczach.

Elżbieta studiowała w sopockiej szkole plastycznej, malowała ikonowate autoportrety, występowała w „Bim-Bomie”, i była dla mnie dobra. Zapraszała mnie na stynne bale plastyków do „Zbrojowni”, używała gościnnej poduszki, kiedy nie miałam gdzie spać i cierpliwie milczała, kiedy ja wpadałam w nie kończące się tyrady o wszystkim. Pamiętam, byliśmy kiedyś razem na jakimś konkursie hula-hoop czy twista w „Rudym Kocie”, gdzie Zbyszek, bezradnie, próbował „to coś” tańczyć tangiem. Kulałyśmy się ze śmiechu. Mój Boże!...

„Gaz”

W swingujących latach pięćdziesiątych marzenie o samochodzie miało posmak przygodowo-kawaleryjski. Zapach etyliny mieszał się z zapachem bliżej, nieokreślonej Ameryki, wyścigowej stajni i jakiegoś nieuchwytnego „rajdowego powietrza”. Mężczyźni, którzy w owych latach dosiedli jeżdżącej maszyny, przestawali się zachowywać jak normalni cywile, tylko przyjmowali fason śmiałka i ryzykanta, półdiabła, półsportowca i półmechanika. Człowiek taki wpadał wprawdzie do pracy lub spotykał się z dziewczyną, ale robił to przypadkiem, mimochodem i tylko dlatego, że miał akurat przerwę w rajdzie. Prawdę mówiąc, ludzie ci istotnie ocierali się codziennie o katastrofę, ponieważ pierwsze wozy, które zdobywaliśmy, to były stare graty ponemieckie i francuskie pamiętające czasy Augusta Bęcwałskiego i jeszcze dawniejsze.

Pamiętam, Zbyszek Cybulski i Bobek Kobiela, w odróżnieniu od warszawiaków, posiadali do spółki stary, zdezelowany motocykl. Bez końca coś przy nim naprawiali, aby potem znów rzucić się na siodelka i w szalonym pędzie przemierzać odległość między Gdynią a Gdańskiem. Któregoś dnia obaj ci śmiałkowie wkroczyli do knajpki sopockiego „Spatifu” na pięterku - ziajam i usmoleni jak kominiarze. Z rąk spływała im czarna maź, tuwimowska „tłusta oliwa”. Nie skorzystali z dobrodziejstw mydła i ręcznika, tylko w diabolicznym swym przebraniu przebywali dłuższy czas, a na wszystkie achy i ochy przyjaciół i wielbicielek odpowiadali: „Co ty, starenia, nie wiesz? Mieliśmy robotę przy maszynie!”

W tym samym nieomal czasie (?) „cisnąc gaz do dechy” śmigał z Łodzi do Warszawy na rozklekotanym citroenie czy peugeocie Andrzej Brycht, a w bufecie hali zdjęciowej we Wrocławiu rozgoryczony Wojciech Has tak przemawiał do kolegów: „Tak mało pragnę: Mieć starą warszawę! Tylko tyle... I nawet tego nie mam”...

Chłopak, na którym mi zależało, nie posiadał, rzecz jasna, samochodu, ale dzień i noc towarzyszyło mu marzenie o zielonkawym amerykańskim jeepie z demobilu, na którym przemierzałby miasta i wsie, czyniąc dobre uczynki. Do dziś na widok podobnego wozu, lub choćby wojskowego gazika, żywiej bije mi serce.

..., *Najmilszą była mi bluzeczka twa zamszowa i rozpędzone tętno oszalonej krwi. - I niebo było w oczach, i szczęście było w nas - pędziliśmy po szosach - na gaz, na pełny gaz!”...*

Do fasonu należało, aby maszyna była możliwie głośna. W tym celu rajdowiec pozbywał się tłumika (co nie było specjalnie trudne) albo gnał setką na trzecim czy nawet drugim biegu. Jeśli chodzi o wizg opon, to ćwiczyło się go najlepiej na małym ślimaczku przy Karowej...

W lecie lewa ręka powinna być koniecznie wysunięta lekko przez okno, a łokieć powinien nonszalancko spoczywać na „parapecie”.

To marzenie o szalonym pędzie i „gazie”, ten cały temat, który rozpoczęłam wesoło i lekko, w granicy rzeczy ponuro się odcisnął na losach mego pokolenia. Tylu wspaniałych ludzi zginęło w taki wariacki, absurdalny sposób!... Mieliśmy jakieś fantastyczne poczucie bezpieczeństwa, oparte nie wiadomo na czym, może po prostu na tym, że my, dzieci Października, dzieci szczęścia, chłopcy z deszczu, chłopcy z wiatru - jesteśmy nietykalni! Wydawało nam się, choć „żyliśmy jak motyle”, że mamy na sobie jakiś niewidzialny pancerz, specjalnie zesłany nam przez Pana Boga dla ochrony młodych Polaków, tych z marymonckich sonat i tych z jazzowych piwnic. Wszystkich!...

Andrzej Munk, Bobek Kobiela, Zbyszek Cybulski: Pancerne motyle. Czy nie tak?...

...Bo może nie tak? Może po prostu pechowcy? Może ludzie jak inni?... Może wieczne symbole, a może już tylko hasła w encyklopedii? A może znikające punkty?

...Myślę o amerykańskim filmie sprzed paru lat, o „Znikającym punkcie” właśnie. Przecież bohater tego filmu nazywał się, jeśli pamiętam, Kowalski, a pędził na oślep po kalifornijskich szosach - gdzieś tu, w naszą stronę!!

Kiedy rodzimy hałas i wściekłość skoczyły mu do gardła, zareagował słowiańskim szałem, takim jakimś straceńczym rajdem, który przypomina pijacki taniec nad roztrzaskaną bałajką.

Więc czy to możliwe, że oni myślą, że To jest tu, a my myślimy, że To jest tam, a tymczasem?...

„Zagadka życia”, jak mawiał chłopak, na którym mi zależało.

Godzinki

Nie wierzcie, dzieci, że za naszych czasów Kościół był tylko areną rozgrywek politycznych. Ze chodziło się na msze tylko „przeciwko rządowi”, a aktywiści chrzčili dzieci, „bo tak wypada”. Owszem, było i tak, ale nie o to przecież chodzi. Polacy zbyt długo musieli żyć metafizyką, żeby nagle najeść się samą fizyką!

Więc każdy miał swoje godzinki z Bogiem, jak nie tak to siak. A jeżeli ktoś nie miał godziniek z Bogiem, to na pewno miał minutki z Szatanem. O, bo Polacy boją się licha, chociaż się z nim prawują. Pozwolę sobie zacytować własny kawałek, przyklejony niegdyś do widowiska Wiesia Dymnego „I diabłu ogarek”:

*Oj, dana, dana,
nie ma szatana,
a świat realny jest poznawalny, oj dana!
„Życie jest formą istnienia białka”,²
tylko w kominie coś czasem załka,
coś czasem liźnie,
coś czasem gwiźnie,
coś się pokaże w samej bieliźnie, oj dana!³*

...Wielkim specjalistą od diabłów, tabusów i wszelkiej demonologii dialektycznej był w interesującej nas epoce Leszek Kołakowski.

Dziś dzieła tego uczonego człowieka spoczywają pomiędzy opasłymi tomiskami Oxfordu, a nawet znalazły sobie trwałe miejsce na toaletce niejednej markietanki intelektualnej (tuż obok Biblii), sam zaś profesor stał się światową sławą, czyli „celebrity”, z czego wynika, że wkrótce już jakaś stara baba powie w. Nowogrodzku, że wyjechał i słuch wszelki po nim zaginął. (Nie ja nią będę, tą babą!)

Pamiętam jak dziś te czasy, kiedy profesor Kołakowski był ogólnodostępnym kolegą-filozofem. Zajmował się diabłami, to fakt. I, jak to bywa z właścicielami psów upodobniającymi się do swoich czworonogów, Leszek Kołakowski upodobił się do szatana. Jego twarz, wąska, zadarta, księżycowa, miała w sobie coś z onych „diabłów”, na których grajkowie po weselach grają. W duszy, wedle mojej diagnozy, Leszek diaboliczny nie był, lub tylko tyle, ile trzeba. Był natomiast, pamiętam, wyrafinowanym marzycielem. Marzenia te dotyczyły naszej młodości, a właściwie - młodzięczości naszej, wiecznej oczywiście. Nie było to zjawisko w naszym pokoleniu rzadkie. Przeciwnie: kto mógł, to tkwił bez końca w stylu „dziewczyny-chłopaki-oooo”... Bywało jednak, że przykra jakaś przygoda z lustrem albo zgoła życie samo mówiło nam „stop”. Ale nie Leszkowi!

Taki przykład: mieliśmy w teatrze STS rodzaj bufeciku czy barku. Przesiadywało się tam długo w noc, gadało się, oglądało się improwizowany kabaret Malechy „Fioletowy księżyc” (ach, ta Flora Fortuna!), a nawet czasem, o zgrozo, tańczyło się. Profesor zaglądał do nas od czasu do czasu. Przyjaźnił się serdecznie z Jerzym Markuszewskim, popijał, zagadywał do ludzi życzliwie, ale przede wszystkim garnął

² Engels

³ Akcent na drugiej sylabie: da-na; muzyka półgórska Wojciecha Solarza.

się jak dziecko do dziewcząt. Któregoś dnia zwabiona przez Janka Stanisławskiego licealistka, po wypiciu soku pomidorowego, zawołała ochotczo: „Słuchajcie, no to chodźmy wszyscy do Jolki na studniówkę!” Najpierw, nie powiem, ożywiliśmy się znacznie, ale potem każdy zajął się pośpiesznie do metryki i jakoś się grzecznie wymówił. Ale nie Leszek! Ten rzekł: „Ja idę”.

H

Hiena Materacowa

Dziewczyna z temperamentem miała w naszych czasach życie niełatwe. Dziewczyna sentymentalna, kochliwa, romantyczka, a nawet tak zwana „piczka zasadnicza” - to owszem, to było przyjęte. Ale dziewczyna skłonna do uniesień krótkich, a namiętnych wzbudzała swoimi obyczajami i charakterem mnóstwo nieporozumień. Właściwie dopiero pieśń pt. „Królowa jednej nocy” wprowadziła dziewczynę z temperamentem do naszej poezji śpiewanej i przeżywanej (tekst: Jonasz Kofta, muzyka Julian Loranc). Życie jednak nie mogło czekać. Dziewczyny z temperamentem były, działały i powolutku domagały się swoich praw.

Jedną z najwspanialszych była niejaka Hiena Materacowa, dziewczyna wysoka, dorodna jak ułan, i jak ułan nie pozbawiona krzepy fizycznej. Krzepa ta, jak się za chwilę przekonacie, była w owych czasach dziewczynie z temperamentem - niezbędna. Na głowie miała Hiena gigantyczną burzę czarnych włosów, a w sercu - jako się rzekło - ogień.

Hiena była inteligentna i mądra. Idąc przez życie pełne szkwałów zbierała wciąż nowe doświadczenia, i doświadczeniami tymi chętnie dzieliła się z bardziej gapowatymi koleżankami. Do jednego z najważniejszych kanonów Hieny należało: nigdy nie zostawać do rana.

Pozwólcie, że rozwinę szerzej Pierwsze Prawo Hieny:

Otóż założmy, że po czerwonym winie u „Fukiera”, po piwku na dworcu, po spacerze na cmentarz (to konieczne!) dziewczyna zostaje zaproszona przez mężczyznę na herbatę. (Na herbatę! Na herbatę!... Znaczkę to nie nasza generacja). Wchodzi zatem dziewczyna do czarodziejskiej izdebki, pada w ramiona ukochanego i jest im tak cudownie, jak nigdy przedtem.

Co robi następnie niedojda? Niedojda zapada w głęboki sen i grzebie się do ósmej rano w pościeli. Nie wie (no, jak ma wiedzieć?), że rano czyhają na nią dziesiątki niebezpieczeństw. Oto bowiem mamy rok pięćdziesiąty piąty, a nie na przykład dziewięćdziesiąty drugi, i rzadko który mężczyzna (nawet nasz Niedźwiedź, Szkrab, Wilczek) - dysponuje własną garsonierą z cienistymi abażurami. Częściej czarodziejska izdebka jest kątem przy rodzinie, a co gorsza, być może - przy jego własnej rodzinie. Zatem o ósmej rano otwierają się drzwi, wchodzi babcia i mówi:

- Wstawajże, Zyziu, wczoraj znowu nie podbiłeś karty! Albo: Otwierają się drzwi, wchodzi sąsiad i mówi:
- Panie sąsiedzie, ja przepraszam, widzę, że pan w miłym towarzystwie, ale tak mnie trzepie po wczorajszym!... Nie masz pan setki na wytrzeźwienie?

Albo: Otwierają się drzwi, wchodzi mały chłopczyk i mówi:

- Tato, ja wychodzę, zrób mi kakało.

No dosyć. Jeżeli chcesz tego wszystkiego uniknąć, to zdrzemnij się na chwilę, ale tylko na chwilę, jak motyl, i wymknij się cichutko, na paluszkach, zostawiając tylko za sobą smugę perfum „Poezat”.

Drugi kanon Hieny brzmi:

Jeszcze zanim przekroczysz próg alkowy, rozejrzyj się dyskretnie, gdzie On (w szale oczywiście) rzuca klucze. Jeżeli nie zapamiętasz tego (w końcu prostego) detalu, to możesz potem, nawet dobrze chcąc, bezradnie szamotać się z drzwiami i postawić na nogi cały dom: i babcie, i synka, i sąsiada. Znajdziesz się w arcygłupim położeniu, bo On oczywiście będzie smacznie spał i nie pomoże Ci w niczym.

Trzeci, obliczony na dalszą metę, kanon Hieny brzmi: Nie zostawiaj po sobie żadnych śladów. W pewnym

bardzo wzruszającym filmie dziewczyna pisze na odchodnym (szminką! Na lustrze!): „Nazywałam się Baśka”... „

Nic bardziej nieodpowiedzialnego! Po pierwsze: Narażasz życzliwego Ci przecież znajomego na okropne awantury i dramaty, a po drugie, jeżeli okazał się na przykład „Mężczyzną Twojego Życia” - zniechęcasz go do siebie już na samym początku. Można, teoretycznie, zachować daleko idącą ostrożność, na przykład na bilecie tramwajowym napisać: „Dzwoń do mnie na budowę - Franciszek” - ale po co to? Jeżeli kocha, to i tak nas znajdzie. A jeżeli?... No tak!

Ale założmy, że o ósmej rano nikt nie zapukał, Niedźwiedź jest wolny, a i my - Hiena - czujemy, że oto przestałyśmy być Hieną i stałyśmy się normalną, kochającą dziewczyną, gotową podążyć za ukochanym na zesłanie...

Nawet w takich, teoretycznie możliwych warunkach, Hiena stanowczo odradza próbę wspólnego śniadania. - „Zostawcie to sobie na później” - mówi Wam Hiena, potrząsając burzą czarnych włosów. - „Zrozumcie, pierwsza wspólna noc może być niebem albo czyścim. Ale pierwszy wspólny kac - musi być piekłem”.

Muszę powiedzieć, że porady te zachowały dla mnie urok świeżości. Również nie pozbawiona zalet wydaje mi się do dziś atletyczna budowa Hieny.

Oto bowiem chłopcy nasi, prawdę mówiąc, zaglądną do kieliszka. Zaglądną i zaglądnali. A z pijakami, to wiecie, jak bywa, jeden robi się liryczny, drugi obrażony. Jeden wścieka się na szefa, drugi na mamusię, trzeci zaś „pije na zgodę”. (Pewien znany mi osobiście alkoholik, działacz wojewódzkiego szczebla, tak się ze mną utożsamiał w czasie intymnej pogawędki przy jarzębiaku, że wykrzyknął w ekstazie: - „A pamiętasz, Osiecka, jak nam w czterdziestym dziewiątym roku w UB śledziami płacili?”...)

Tedy różnie bywa. Hiena zwraca jednak uwagę, że bywają i tacy wśród pijących przyjaciół, w których (ludzka rzecz w końcu) wstępuje zniecka diabeł. I cóż ma robić dziewczyna z temperamentem, kiedy znajdują się już we dwoje, kamienica jak na złość pusta, a w niego - jako się rzekło - bies wstępuje?...

Trudna sprawa. Oto nasz, powiedzmy, Puchacz Puchaty, pędzi nagle do okna, rzucać się chce (albo, co gorsza, nas wyrzucić), bierze się do duszenia szalikiem, ma żal za dziewczynę jakąś, której nie znamy osobiście, wadzi się z matką lub Bogiem, po nóż leci, po kosę, po tasak, po sznur... (Bagatela - na końcu sznura wszak wisi żelazko!)

Otóż to! Polka musi dysponować jaką taką siłą fizyczną, jeśli uparła się obcować z rodakami. Hiena (no niestety) zmuszona była pewnego razu powiesić swego oszalałego zalotnika w szafie. To znaczy: początkowo skrępowwała go jedynie sznurem do bielizny i nie zamierzała mu zrobić nic złego. Ale Szatan nie popuszczał i Hiena, jako na ostateczność, zdecydowała się na szafę. Tam, między swojskimi zapachami naftaliny, bezpiecznie przytwierdzony do wieszaka, Opętany usnął, a Hiena, jak to Hiena, wymknęła się na miasto i zdążyła jeszcze schwytać ostatnią osiemnastkę.

*„Gdy na spacer jadę osiemnastką,
choć ciasno, choć tłok,
patrzę na kochane moje miasto,
które mnie zadziwia co krok”.*

Hłasko

Miał bardzo dużą chęć do wódki - znał bary w Piszach i w Padwach. - Lecz piją, Tato, ludzie smutni. - Prawda? - Niekiedy wilkiem się nazywał. Lecz wilkiem nie był. - Raczej chciał być. - Gdy cały naród raźnie śpiewał - on wolał zawyć... - Żył tu więc chłopiec jak wędrująca gwiazda. - Calutkiej on Europie - pokazał minę błazna. - Talentu nam zostawił - zaledwie kruchy okruc. - Jak gdyby tu w Warszawie - ten talent ktoś mu otrął. - ...Pamiętasz, jak nam było wstyd? - On tułał się jak prosty Żyd! - On, co mógł chodzić w amarantach - on, z pustą torbą emigranta - to tu, to tam wystawiał łeb - dajże mu wódki, daj na chleb! - ...Na plażach, gdzie dojrzewa krab - w kraiku co się trzyma map jak mucha tarczy - zostawił garść

najświętszych słów - i to wystarczy.

Mnie - jak niewiele świat ten ziścił!... - Wy obaj - piękni egoiści - gdzieś wśród nie-dróg, nie-łąk, nie-liści...
A ja - pół-pisarz i pół-wół: Niepełne serce, pełen stół. - Ty miałeś długie życia, Tata! - On - ma dwa groby
we dwóch światach. - Ma groby dwa, a nie miał domu. - Przebacz, tak jak dobremu komu. - Cóż ja wam
winna? - Dwa różańce. - Ferajna tańczy. I ja - tańczę⁴.

I

Imiona

Prawobrzeżna Warszawa jest dziwadłem urbanistycznym. Olbrzymia jej część, ojczyzna rzeźni i bazarów, ludowa i lumpowska - Praga - trąci jeszcze wciąż Kongresówką. Przypomina gwarne przedmieście jakiegoś Mińska czy Siemiatycz. Zamożne mieszczaństwo praskie, producenci lśniących kołder i beretów ze sztucznego futra, nosi się ciepło, niewiasty w pelisach; mężczyźni nierzadko w płaskich półkaloszach. Prezent ślubny dla pracowitego zięcia - fiat „combi”, a niegdyś pękata warszawa.

Na jednym obrzeżu Pragi - Targówek i Annapol („rok nie wyrok”), na drugim - rzewna i liliowa od bzów - Saska Kępa. Kilka imponujących willi, z lat trzydziestych, wdzięcznie stulone „bliźniaki” z połowy lat dwudziestych, mnogość ogródków, inteligentnie zaludnienie - wszystko to stwarza klimat jakiegoś zapoznanego londyńka.

Między tymi dwiema dzielnicami - Pragą i Kępą - upływało moje dzieciństwo. Do zrujnowanego centrum Warszawy nie jeździło się prawie nigdy - oczywiście, jeśli było się dzieckiem: - „Może wybuchnąć mina i wtedy co zrobisz?” - mówił mój dziadek.

Kępa, to była codzienność, a Praga, to były zakupy, książki, ruch i wielki świat. Nigdy nie zapomnę jak w czterdziestym szóstym kupowało się książki: oto wzdłuż ulicy Targowej, niziutko przy ziemi, młodzi sprzedawcy pobudowali koślawe straganiki i lady. „Lady” te zrobione były z kamieni i z cegieł pochodzących z poburzonych domów. Na ladach leżały pogięte i pomięte, nieraz z nadpalonymi brzegami - przedwojenne podręczniki i zwykłe bajki. „Dwadzieścia cztery obrazki”, kupione na takiej właśnie ladzie, przechowuję do dziś.

Praga i Kępa, nie naruszone przez bomby, zachowały, jak stare wino - zapach i klimat dawnych struktur. Tu, jeśli wozak, to na imię miał Felek, jeśli dozorczyń - Aniela lub Agnieszka, jeśli hrabia, to Hubert lub Heweliusz.

Inaczej rzecz się miała z „Warszawą właściwą”. Tu, kanionami wyżłobionymi w gruzach, do śródmieścia wkroczyło Mazowsze. Energiczni chłopcy i dziewczęta z Leszna i Grodziska podjęli pracę, pobudowali domy, wykształcili się. Niektórzy zaczęli robić szybkie kariery. Ukuto nowy termin: „Ludzie z awansu”. Dzieci tego pokolenia, dzieci, które przyszły na świat już we własnym „mieszkancku na Mariensztacie”, narażone były od razu w powijakach na ciężką próbę. Oto ich rodzice, przejęci hasłami współczesności, zaczęli zwracać się do odpowiednich urzędów z pytaniami: - „Czy mogę synowi pierworodnemu dać na chrzcie imię Bierut? Czy mogę córeczkę nazwać Cegiełką?”... Nie pamiętam już, jaka była reakcja oficjalna, natomiast wszyscy wiemy, że samo życie jakoś ukróciło tę tendencję i po jakimś czasie - po prostu znikła. W okolicy Października powstała za to inna tendencja, tendencja, która trwa do dziś: obdarowywanie dzieci imionami znanymi ze starych książek, filmów i herbarzy. Przez jakiś czas

⁴ „Ferajna tańczy i Ja tańczę” to przekręcony cytat z ulubionej piosenki Marka Hłaski pt. „Ballada o Gnojnjej”. W istocie fragment ten brzmiał: „Ferajna tańczy, ja nie tańczę”. Marek potrafił śpiewać to bez końca, do upojenia. Śpiewając o nie tańczeniu w ferajnie, w gromadzie, w kupie - miał oczywiście na myśli siebie. Ja zaś umieszczając ów passus w wierszu „Tańce polskie”, miałam oczywiście aa myśli - siebie; siebie i tych wszystkich, którzy wzięli udział w zbiorowym tańcu.

nieszczęsne „odpowiednie instancje” zasypywane też były prośbami o zmianę nazwisk, ale ten szaf ukrócono w roku 1956 dekretem o ochronie nazwisk historycznych: Branicy, Poniatowscy i Dzierżyńscy mogli odtąd spać spokojnie.

Tylko biednych Krasińskich namnożyło się co niemiara, i do dziś nie mogą połączyć się w rodzinie.

...Do zabawy pozostały tedy tylko imiona. Jak z rękawa posypały się nam Patrycja, Klaudia i Dominika, zaś po stronie męskiej - Rafał i Cezarowie. Lista obecności w przedszkolu wyglądała jak wymyślona przez Witkacego: Paloma Pęczak, Rafał Kapusta, Czarus Nochal.

Inteligencja starej daty - krakowska szlachta i zabiedzone wrocławskie ziemiaństwo spod Lwowa lekko się za to wszystko pogniewało i rzuciło swoje przekorne: „Nie!” Jak koniom wyścigowym drżą chrapy na widok słynnej „bomby”, tak bezbronnym bezetom⁵ ugięły się kolana i zwiędły uszy na wieść o pierwszej ludowej Beacie i odtąd wszystkie profesorskie dzieci, dzieci ziemiańskie i w ogóle - niemowlęta z towarzystwa otrzymują imiona tradycyjnie plebejskie.

Króluje Dorota, Jaśki i Staśki, Franki i Julki.

Tak więc Julka Potocka, ale Patrycja Kłosek.

Tak więc Sebastian Kłys, ale Felek Sapieha.

Nie na odwrót!

Kamerton obyczajowy, jakim jest historia imion, zabawnie zagrał w okolicy roku 1956, kiedy to w teatrze „Buffo” wystawiono następujący skecz: spotykają się dwie warszawskie szcziotki i długo plotkują, o koleżankach oczywiście. Wreszcie jedna mówi:

- A czy wiesz, że Zuza ma dziecko?

- Niemożliwe! W tym wieku! To cudownie. Chłopiec?

- A jakże! A jak wspaniale się chowa! Nie masz pojęcia jak go nazwała: Nikita.

- Snobka!

„Inne”. „Inni”.

- „Wie pan, ja jestem taka inna”...

- „Wiesz, miałam taki dziwny sen. Śniło mi się bardzo dziwne schronisko”...

- „Czy wierzysz, kochany; w świat blaszanych ludzików?”

- „Wiesz, kiedy byłam taką małą, malutką dziewczynką, pragnęłam zamieszkać na księżycu, zupełnie sama”.

Tak albo podobnie brzmiały wyznania dziewczyn z drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Chłopcy nie tylko brali je na serio, ale jeszcze odpowiadali na nie równie niewinnymi bzdurami, o których za chwilę. Skąd brały się nasze ówczesne marzenia o „inności”? Chyba stąd, że przez ładnych kilka lat piekliśmy się w jakimś przeraźliwym tyglu przeciętności. Studiowaliśmy „trzydzieści cech młodzieży”, brnęliśmy przez apele i capstrzyki, tańczyliśmy na wieczornicach i wyjeżdżaliśmy na wczasokursy. Nie liczyliśmy na wiele, ale mieliśmy nadzieję, więc nagle, gdy rozśpiewały się kolorowe ptaki, dziewczyny uwierzyły, że istnieje pewien niematerialny fant, za cenę którego można się będzie wydobyć z kotła. Tym fantem było: być inną. Toteż ledwo się dziewczyny wyłuskały z zielonych mundurków, zapragnęły włożyć na siebie nie wiadomo co, choćby i strusie pióro albo mantylkę babuni („Piwnica Krakowska”). Wielkie też powodzenie miały rozmaite bale gałganiarzy, maskarady i inne przebieranki. Na bale do Akademii Sztuk Pięknych biegało się jak do wodopoju. A już plastyczką być, to naprawdę było przyjemnie (patrz hasło „Plastyczką być”).

Ale nie koniec na tym. Dziewczyny pragnęły przecież przyozdobić nie tylko ciało, lecz również i duszę. A że w głowach panował nielichy mętlik, stąd styl i „dziwność” owych wyznań. Brzęczy w nich i Asnyk, i Tetmajer. I Gide, i Sartre... Co robić? W bólu i bałaganie rozhartowywała się stal!

⁵ „Bezeta”: BZ (Dawna ziemianka: „Bez Ziemi”).

...Wielkim znawcą i kolekcjonerem póz dziewczyńskich z tamtych czasów był Adam Pawlikowski. Wspominałam już przy literze „F” („Festiwal Warszawski”), że wrócę jeszcze do tej postaci, i to jest właśnie ten moment.

Pawlikowski był pięknym mężczyzną. Ciemne, duże oczy lśniły diabolicznie pod jaśniepańskim czołem (Adam pęktłby ze śmiechu”, gdyby przeczytał takie zdanie, ale ja wiem, co robię, ja też jestem „taka inna”). Rysy Pawlikowskiego z biegiem lat nabierały niebezpiecznej, ptasiej ostrości. Gdyby był lalką, każdy z łatwością mógłby odgadnąć, że zrobiony został raczej przez metaloplastyka niż przez tapicera. Był z pewnością jedynym mężczyzną w Polsce, do którego nikt nigdy nie ważył się powiedzieć „misiu”. Poruszał się on z niezwykłą lotnością i nerwowością. Widywałam go często na przystanku taksówek na rogu Walecznych i Francuskiej: niby to tkwił tam nieruchomo, a jednocześnie miało się wrażenie, że za chwilę odfrunie. Była to skamieniała lotność sokoła tkwiącego nieruchomo na rękawicy myśliwego. Adam, kiedy go poznałam, był blisko z pewną lubianą aktorką, ale rozwiało się to w smutnych okolicznościach, i później, o ile się nie mylę, przez długie lata nie wciągnął się na dobre w żadną dziewczynę. Otaczały go jednak stale roje panien i pań, a on sprzyjał im, że tak powiem, dla eksperymentu. Drwił z nich bez cienia litości, ale działało się to za ich milczącym przyzwoleniem, niejako dla dobra nauki. A wiedza Pawlikowskiego w tym przedmiocie była olbrzymia.

Po pierwsze, jak zaznaczyłam na początku, znał się on doskonale na damskiej literaturze mówionej. Umiał, po prostu, oddzielić ziarno od plew. Panienska opowiadająca o dziwnym schronisku zmuliłaby go raczej, ale pamiętam na przykład, że cenił niezwykle pewną dziewczynę, która była niespotykanym krótkowidzem. Dziewczyna ta, jak twierdził, miała ten osobliwy zwyczaj, że nawet malutkie mieszkanie zwiedzała solidnie kątek po kątku, a każdy przedmiot brała do ręki, obmacywała, wąchała i na koniec - prawie że przyciskała do oczu. Adam twierdził, że jej ogląd świata był przez to bardzo szczególny i naprawdę - inny. I wierzę mu.

Dziewczyna, która działała Adamowi na nerwy, mogła natomiast przeżyć niejedną przykrą chwilę. Pamiętam, że owego czasu przeprowadziła się z Krakowa do Warszawy pewna modna w swoim kółku egzystencjalistka. Stała się jednak rzecz „dziwna”. W Krakowie, gdzie oszczędzano na elektryczności, w przyćmionym blasku świec uroda egzystencjalistki wypadła jakoś lepiej niż w Warszawie. Tu, w rześmistym blasku stołecznych jupiterów, egzystencjalistka jakoś wyblakła, a do tego zatraciła się obyczajowo. Weszła któregoś dnia, przemarznięta, do kawiarenki PIW-u na Foksal, zdjęta pantofelek, zaczęła się jakoś dziecinnie pieścić i oświadczyła: - „Och, Adasiu, ogrzej mi stopę”.

Adam rozżołościł się i obgadywał ją potem na mieście tak za wygląd, jak i za charakter, a w końcu wymyślił, że powinna zagrać tytułową rolę w „Ryszardzie Trzecim” Szekspira.

Dla młodych dziewczyn Adam był dobry. Napisał kilka magisteriów, w tym jedno po włosku, a co ładniejsze dziewczyny wyswatał za granicę.

Ogólnie jednak uważał, że Polka nie potrafi kochać.

- To, co wy nazywacie miłością - powiedział mi kiedyś - nie ma nic wspólnego z uczuciem. Wciąż tylko sprawdzacie, czy jesteście kochane. Czy „on” wyjdzie po mnie na lotnisko, czy się dla mnie rozwiedzie, czy kupi mi buty, czy mnie nie zdradzi... I tak w kółko.

- A czy to nie jest uczucie?

- Nie. To jest miłość własna.

- A co twoim zdaniem powinna robić dziewczyna, która kocha?

- Nic. Kochać.

Adam uważał, że dziewczyny nasze były wtedy swoiście spaczone. Że zły mają gust literacki i zły gust erotyczny. Garną się do mężczyzny, kokietują, a kiedy przychodzi co do czego, pragną być zgwałcone. Przytoczę tu pewną historyjkę.

Któregoś karnawału wybrał się Adam na balik ziemiański do kawiarni „Mirowska”(tak). Było wówczas w dobrym stylu, że każda młoda hrabianka musiała być porządnie obszarpana, pracować fizycznie, najlepiej w stajni na Wyścigach, i stynąc z jakichś straceńczych posunięć osobistych. Pewna bliska mi dziewczyna z

tej sfery wyszła za mąż za gońca z ambasady hinduskiej, a do tego żyła z nim szczęśliwie i zdaje się - żyje po dziś dzień.

Jeżeli zważyć, że Indie były do niedawna kolonią - to każde słowo tej biografii było skandalem. Ale - ad rem: Na owym baliku ziemiańskim poznał Adam pewną księżniczkę krwi, która oszalała z miłości do niego i przez ładnych kilka miesięcy snuła się za nim jak cień. Któregoś dnia (nocy) postanowił się z nią w końcu umówić na dłuższe tête-à-tête i powiadomił o tym znajomych. Nazajutrz pojawił się w ulubionej cukierni, ogromnie niezadowolony ze schadzki.

- Jak było? - spytali ciekawscy.

- Potwornie. Ta nieszczęsna, polska walka o majtki!...

Pora jednak przejść do moich własnych doświadczeń z kobietami. Niech tam nawet litera „i” spuchnie do rozmiarów litery „o”. Trudno.

Otóż w roku bodajże 1958, jako studentka szkoły filmowej, dostałam pracę praktykantki przy filmie Andrzeja Wajdy „Niewinni czarodzieje”. Data jest trochę późna, jak na odwilżowy pamiętnik, ale rzecz będzie o pewnych mitach i legendach zakorzenionych w ludziach znacznie wcześniej.

Praca moja przy „Niewinnych czarodziejach” polegała głównie na objaniu się z kąta w kąt po tak zwanym planie. Nie pozostawało mi nic innego, jak śledzić pracę innych. Była ona interesująca, ponieważ Wajda nieustannie improwizował, a czasem nawet pojawiali się obaj scenarzyści (Jerzy Andrzejewski i Jerzy Skolimowski) i coś tam szeptali. Taki człowiek, jak ja, choć niby trzymał w ręku scenariusz, nigdy nie wiedział, jaka scena będzie dzisiaj nakręcona i jak się film skończy. Toteż przez dłuższy czas miałam nadzieję, że bohaterka nasza (Krystyna Stypułkowska) rzuci się wreszcie w ramiona oczarowanego bohatera (utlenionego Tadeusza Łomnickiego). Wprawdzie mowa jest o przygodzie, która trwała tylko jedną noc, ale w takim na przykład „Śnie nocy letniej” też się głównie koncentrujemy na jednym wieczorze, a panny wyprawiają Bóg wie co.

Zachęcona tedy panującą na planie demokracją zaczęłam na boku namawiać Stypułkowska, żeby gdzieś tak pod koniec trzeciej rolki poszła z Łomnickim do łóżka.

Dziewczyna odmówiła mi z niesmakiem. I bardzo dobrze!... Gdyby ona bowiem, jak Pan Bóg przykazał, poszła ze swoim chłopcem do łóżka, postąpiłaby jak panienka wyzwolona z lat sześćdziesiątych, panienka, która przeszła srogą edukację Pawlikowskiego albo choćby przejechała się raz i drugi do Paryża.

Tymczasem Wajda ani myślał robić filmu o jakichś takich erotycznych ekstremach, tylko o dziewczynach, które głęboko tkwiły w miłosnej mitologii połowy lat pięćdziesiątych. A do mitologii takiej należało właśnie niepójście do łóżka, przedłużanie (mówiąc językiem ITD) „gry miłosnej” w nieskończoność, ozdabianie flirtu niezliczonymi zabawami, figlami i ozdóbkami oraz poezją najrozmaitszego autoramentu.

Z tą poezją zresztą to straszny w tych latach był kram. Niemal całkowicie zatarta się różnica między przymiotnikiem „poetyczny” i „poetycki”. Filmy, zwłaszcza Hasa, pełne były różnych dorożek, zegarów, osobliwych instrumentów i niezrozumiałych krakowiaków. Ale brawo dla Wajdy, i brawo dla Hasa, bo filmy te, utrwalając poetycką i poetyczną rekwizytornię swoich czasów, są nie tylko rejestrem mód i zapisem gestów. To wielki spis marzeń, tęsknot i bzików. To szyfr, który odczyta kiedyś mały chłopiec, na którym jeszcze nikomu nie zależy.

J

„Ja”

Film pod tytułem „Rzym godzina jedenasta” oglądałam siedem razy. Moja koleżanka Ola - dziesięć. Moment, w którym Lucia Bose przeraźliwie smutna wraca do domu i nagle spostrzega Jego, czekającego

spokojnie przy kominku - zawsze witałam gorącymi łzami, niemalże szlocham. -

Uważałam ten film za ósmy cud świata, a Lucia Bose była kobietą mojego życia. Cały bodajże pięćdziesiąty czwarty rok przeżyłam z jej majakiem pod poduszką. Ale wkrótce potem poznałam młodego poetę, który, pamiętam, odprowadził mnie do domu przez most Poniatowskiego i powiedział tak:

- Ten nieszczęsny neorealizm włoski, ten cały wasz Gałczyński - to wszystko bzdury. Niedługo już tego nie będzie.

- A co będzie?

- Będzie nowa literatura, nowy teatr, nowy film; nowa sztuka: sztuka bez indywidualnego bohatera.

- No to... Kto będzie bohaterem tej sztuki?

- Masy. Lud. Bohater zbiorowy.

Zakręciło mi się w głowie, poczułam się, jakby ktoś zatrzasnął przede mną wszystkie książki świata.

Kurczowo postanowiłam się ucześcić byle czego.

- A co będzie z piosenkami? - spytałam.

- Omówmy to na jakimś przykładzie. Wymień mi tytuł swojej ulubionej piosenki.

- „Pampude-riolo” - wyjąkałam.

- No tak. Z piosenkami też trzeba będzie coś zrobić.

Niestety! Bohater zbiorowy nie zdążył rozsiać się na dobre ani w naszych wierszach, ani w naszej wyobraźni, a już zabrzmiała pobudka do odwrotu: Powrócił zaimsek „Ja”. Chłopcy zachłystywali się „Godziną smutku”, a dziewczyny mruczały półprzymyślnie: „Jestem, jaka jestem... Ja jestem, jaka jestem”!...

Słowo „ja” (ja! ja!- ja!) na długie lata zastąpiło zawodne „my”. Młodzi, jak wściekłe koty, opędzali się od wszystkiego, co pachniało tak zwanym organizmem zbiorowym, komórką społeczną, życiem organizacyjnym.

Poeci odprowadzający dziewczęta przez most przestali mówić o masach, zalotnicy mrużyli oczy i mamrotali:

- „Między człowiekiem a człowiekiem leży ciemność”.

- „Przeptywamy obok siebie jak okręty mijające się nocą” - odpowiadały dziewczyny.

- Inge, o, ty jesteś moja Inge Bartsch! - pojękiwali chłopcy. Ludzie wydzielali sobie Sartre'a, opijali się potwornie mocną herbatą, łazili po nocy na cmentarz i palili papierosy w charakterystyczny sposób - do końca, do poparzenia palców i ust. („Palisz jak korepetytor”: komentarz Minkiewicza).

Chłopcy odkrywali słynny sartre'owski ból istnienia i tarzali się w nim piszcząc z rozkoszy. Bawiliśmy się egzystencjalizmem radośnie, jak dziecko nóżką, ponieważ męka rodem z St. Germain, to było małe miki w porównaniu ze strachem i nudą, z których to właśnie wydobywaliśmy się.

Późnym latem 1955 roku, na pięterku w sopockim „Spatifie” odbyła się premiera „Przy drzwiach zamkniętych” w tłumaczeniu Jana Kotta. Podniecenie było ogromne. Już od wczesnego popołudnia usuwano w kącie kawiarniane stoliki i w ciaśniuteńkich rzędach ustawiano krzesła. Tłumy zaproszonych i nie zaproszonych widzów cisnęły się na stromych schodach. Profesor Kott, który stawił się w Sopocie osobiście, -żeby dopilnować sukcesu, kręcił się między rzędami, szczęśliwy i ożywiony jak pełna temperamentu dziewczyna - w noc poślubną. Kiedy wreszcie szum ustał i z zaimprovizowanej scenki padły pierwsze słowa o nieuniknionej męce, jaką przynosi obcowanie z bliźnimi - z widowni zaczęły wydobywać się pomruki szczęścia. - „Tak mi róbcie, tak mi dobrze” - zdały się mówić trzeszczące krzeselka i falujące westchnienia. Ja też tam byłam, czarne wino piłam, i doskonale pamiętam, iż ludzie byli wówczas tak zmuleni oficjalnym optymizmem, że wszystko co było nieoficjalne i prywatne, nawet skrajna rozpacz, przyjmowane było z nieopisaną ulgą.

...Kiedy ojciec kupił mi mocno już używany, ale wciąż świetny aparat fotograficzny „Zeiss-Ikon” z samowyzwalaczem, skierowałam natychmiast obiektyw na siebie i nie oderwałam go od tej niepokojącej postaci przez dobre dwa lata. Nawet ten tu rozdziałik chciałam zatytułować „samowyzwalacz”:

wyzwalacz nas samych, wyzwalacz samych nas, samodzielny wyzwalacz siebie.

...No nie wiem. W każdym razie, kiedy w sopockiej salce padło w końcu legendarnie: „Pieńko to inni”, sala zawyla z zachwytu i zanosla się brawami, niczym po oszałamiającej jakiejś corridzie. Artystów wyniesiono na rękach, a profesor Kott, rozplómienny, długo nie mógł się wydobyć z uścisków wielbicielk.

Była to bowiem szczęśliwa rewolucja, każdy naciskał samowyzwalacz, samowyzwalał się i myślał, że to jest jakieś wyjście. Dramaty kończące się okrzykiem: „Pieńko to ja”! - nie były jeszcze napisane, zaś Antoni Libera nie tylko nie tłumaczył jeszcze Becketta, ale kończył dopiero siedem łatek.

Jazz. „Jazzowy”. „Ale jazz”.

Długo deliberowałam pod jaką literą umieścić moje rozważania o jazzie: czy pod literą „K” („Kalatówki jazzowe”) vel „Jazz-camping Kalatówki”, czy pod literą „N” („Neskim” - słynne słówko magiczne jazzmenów) czy po prostu pod „J” - („Jazz”).

W końcu zdecydowałam się na to ostatnie:

Zatem jazz! Niech będzie jazz. Dlaczego akurat jazz? A dlatego, że jazz jest hasłem niezwykle rozległym. Jazz jest rozległy nie tyle w formie, ponieważ gatunków klasycznego jazzu nie jest znów tak wiele, lecz jazz jest rozległy w swojej treści i w swojej... obojętności. Jazz obejmuje swoją obojętnością całe wszechświaty. Ba, nie wyobrażacie sobie nawet, jak rozległa jest obojętność! Taka na przykład namiętność jest wąska jak gardło wilka: obejmujemy nią zazwyczaj tylko jednego, umiowanego człowieka. Nienawiścią bądź niechęcią możemy objąć całą gromadę ludzi, cały naród nawet. Ale tylko obojętnością możemy objąć, co nam się żywnie podoba, wszystko właściwie! Z tej to właśnie możliwości filozoficznej pełną garścią korzysta jazz. Dla jazzu każda rzeczywistość jest absurdalna, także i terror. Jazz zaszczyca świat swoją obojętnością, ponieważ dla jazzu absurdalne jest wszystko, co nie jest jazzem. Dla jazzu ważne jest kto? co? Jazz. Jazz nie mógłby żyć bez kogo? czego? Bez jazzu. I tak dalej.

...Spotkałam w mieście Dudusia Matuszkiewicza, nestora zespołu „Melomani”.

Niegdysiejszy Duduś - dziś godnie się noszący Jerzy - wystąpił niedawno w nowej roli: głównego doradcy reżysera Falka.

Ja: Widziałam ciebie i Grażynę na premierze filmu Falka pt. „Był jazz”, ale gdzieś mi przepadliście. Szkoda, bo chciałam pogadać, wydaje mi się, że zrobiliście film bardziej o ZMP niż o jazzie.

Duduś: Aż tak? No, tego nie chcieliśmy.

Ja: A jednak! Miałam wrażenie, że ten wątek polityczno-zetempowsko-prywatny jakoś żywiej wypadł, prawdziwiej...

Duduś: Wiesz, nie chcieliśmy robić filmu o muzyce, chcieliśmy w ogóle coś opowiedzieć o tych czasach, o nastroju... Przy okazji muzyki.

Ja: Ja wiem, że muzykę pokazać jest najtrudniej. Ale wiesz, co mnie na przykład raziło: że muzycy u was są gadatliwi. Mówią i mówią, nie mniej niż zetempowcy. A ja pamiętam, że muzycy jazzowi byli milkliwi, niemal niemi, porozumiewali się w szczególny sposób, no i oczywiście - za pomocą muzyki.

Duduś: A to nie masz racji Myśmy rozmawiali i to bardzo dużo.

Ja: Rozmawialiście? Kiedy?

Duduś: - No, za moich czasów. Tyś nas wtedy nie znała, bo tyś się zetknęła z nami dopiero w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy środowisko jazzowe było olbrzymie. Liczyło kilkadziesiąt osób, i kiedy można już było po prostu - grać. Nie mówić, tylko grać. Ale kiedy ja zaczynałam, na samym początku lat pięćdziesiątych, to było nas po prostu kilku. Pomyśl - kilku ludzi na cały kraj.

Ja: Mówisz o czasach łódzkich „Melomanów”?

Duduś: No tak, ja byłem w Łodzi, bo studiowałem w szkole filmowej. Ale właściwie to każdy z nas był z innego miasta. Kiedy tylko pojawiała się możliwość koncertu, to się w kółko telefonowało - do Łodzi; do Krakowa, do Poznania, a kiedy już ludzie się zjechali, no to się rozmawiało.

Ja: O czym?

Duduś: O wszystkim. A właściwie - nie!... Z początku rozmawiało się tylko o graniu. Ale potem, kiedy zaczęli nam utrudniać organizowanie koncertów, kiedy granie stawało się wręcz niemożliwe, no to zaczęliśmy o tym mówić... Najpierw o swoich sprawach, a potem o różnych. Ale to nie my zajęliśmy się pierwsi rzeczywistością, to ona się nami zajęła.

...Otóż to! Oni zajmowali się muzyką, nie światem. To znana sprawa, niektórzy saksofoniści grają nawet z zamkniętymi oczami. Ale świat wtedy był agresywny, nie pozwalał się nie zauważyć. Potrafił chlusnąć w oczy światłem śledczej żarówki i porazić uszy hukami megafonów.

Mimo to, a może właśnie dlatego, muzyka jazzowa tych pierwszych lat, muzyka spod znaku „Melomanów”, była wesoła.

Jej bliską krewną była zgrana orkiestra knajpiana, jej żargon wywodził się jeszcze z przedwojennego słownika klezmerów.

Jazz „odwilży”, jazz z połowy lat pięćdziesiątych, był już znacznie bardziej skomplikowany, ale wciąż jeszcze dziarski, wciąż triumfujący. Pierwszy sopocki festiwal jazzowy był jednym wielkim uniesieniem, zachłystywał się radością muzyki wyzwolonej. Za to później, i jeszcze później, jazz zaczął przydymiać się mgiełką melancholii. Im głębiej zanurzaliśmy się w ożywczą kąpiel „odwilży”, im bardziej żywe życie stawało się barwne, tym bardziej jazz stawał się popielaty. Na przykład gdański „Rudy kot” z debiutującym w jazzie... Edmundem Fettingiem był już popielaty (rudy, ale popielaty).

A dlaczego? A dlatego. Dlatego, że jazz żyje jazzem, a nie rzeczywistością. Rzeczywistość miała wówczas chęć na wielki festyn, jazz natomiast miał chęć na bluesa.

Tak więc, gdzieś w okolicy Października i tuż potem więcej się słuchało Billy Holiday i Mahalii Jackson niż wielkich big-bandów z okresu jazzu szczęśliwego. Inaczej też się grało. Malutki zespół Krzysztofa Komedy, przytulony w ciasnej piwniczce „Hybryd”, nie podrywał już do tańca, jak zespoły w „Stodole”, „U kolejarzy” czy w „Czerwonej Oberży”. Wyzwalał za to rytmiczne pstrykanie palcami i senne kiwanie głową: „O, tak, tak to jest”.

Ruda czupryna Krzysia Komedy łagodnie płonęła nad klawiszami jak lampka nocna. Zawsze ze dwie lub trzy rozmarzone panny, niczym topielice, zwieszały się z instrumentu, a my, ci, co stali w drzwiach, mówiliśmy szeptem.

Muzykę Komedy nazwali Szwedzi jazzem romantycznym, i mieli pewnie rację. Chcę tylko dodać, że z tą romantycznością szła u niego w parze jakaś dostępność (nie: przystępność, a dostępność), poufność i poufałość. Krzys gospodarował na klawiaturze niewielkimi, skromnymi ruchami dłoni, nie szastał się, nie brał wielkich szopenowskich zamachów, raczej pracował rezolutnie niczym Kopcuszek przy przebieraniu grochu. I Krzys był prawdziwym milczkiem. Rzeczywistość nie pociągnęła go za język jak rówieśników Matuszkiewicza, więc mógł robić, co mu się żywnie podoba. Zatem milczał sobie i grał. Grał i milczał sobie. Mówiono o nim, że lubi tańczyć, tańczenie to jednak polegało głównie na tym, że huśtał się w miejscu z ciepłą jakąś dziewczyną, w kątku jakimś, do świtu.

Napisałam z Komedą kilka piosenek, ale z tym, to był cały kram. Krzys nie lubił „grać z nut”, męka to była dla niego.

Ledwie dotykał pianina, ręce zaczynały mu wędrować po klawiaturze i opowiadały za każdym razem inną historię. „Melodia jako taka” pozostawała niejako w ukryciu, w dyskretnym cieniu.

Pamiętam, któregoś dnia Kalina Jędrusik przywiozła mnie do malutkiego mieszkania Komedów na Żoliborzu, na Sadach chyba, żeby popracować nad muzyką do „Śniadania u Tiffany'ego”: Dygat przysposobił to na scenę, reżyserował Janek Biczyski, Kalina próbowała główną rolę, a my z Komedą mieliśmy napisać piosenkę, powtarzającą się melodyjkę, czyli tak zwany przed wojną leitmotiv.

Przyszliśmy więc, Krzysztof usiadł do pianina, otworzył świeżo naszkicowane nuty, ale... z tego grania nic nie wychodziło. Albo improwizował, albo ledwie nukał. Czułam, że robię się czerwona jak cegła, nie jestem w stanie „złapać melodii”, i że z tej pracy nic już chyba nie będzie. W końcu Kalina, widząc moje pomieszanie, usiadła na miejscu Krzysia i w pięć minut, prima vista, zagrała mi melodię. Wysłała nam z

tego piosenka, którą może niektórzy z Was pamiętają: „Są jeszcze śniegi, na których nie byłam, są jeszcze nieba, których nie wyśniłam - są pocałunki, na które czekam - listy z daleka, drogi pod wiatr. - Ja nie chcę spać, ja nie chcę umierać - chcę tylko wędrować po pastwiskach nieba...”

Pamiętam jeszcze z naszych wspólnych robót piosenkę do filmu „Prawo i pięść”, pięknie zaśpiewaną przez Fettinga („Chleby upieką się znowu nam - i znów - ziemia ciężka od krwi...”), pamiętam pechową jakąś balladę o filizance kawy, smutnawą „trasy” z kabaretem Sławy Przybylskiej „Tingel-Tangel”, ale przede wszystkim pamiętam - wspinała i jakże do dziś znaczącą - muzykę Krzysztofa do „Noża w wodzie” Romana Polańskiego.

Jest w tym filmie scena, którą zapewne niejeden widz do dziś nosi pod powiekami: trójka bohaterów, mężczyzna, kobieta i chłopiec, oczekuje (spodziewa się) burzy. Rzecz dzieje się na żaglówce, na jachcie właściwie. Niebo i woda powoli nabierają barwy i ciężaru ołowiu. Łódź nieruchomieje. Toczy ją tylko jakieś niesamowite, podskórne napięcie. Kamera odjeżdża od łodzi, na coraz większą i większą odległość, wreszcie i kamera staje. Ale w tej wspólnej nieruchomości jest utajona wibracja, wibracja o wielkiej mocy: wyczekiwanie. Coś takiego wyczuwa się w silnikach odrzutowców, tuż przed startem: nabieranie siły przed ostatecznym wzlotem.

Obraz Polańskiego byłby jednak martwy i płaski, gdyby nie muzyka. Muzyka Komedy do tej niezapomnianej sceny „dopowiada” właśnie ową moc drżących silników, namolność wirów, pracowitość dłut: I znów, i znów, i znów! Brakuje jednak tej muzyce optymizmu, finalnego crescendo silników odrzutowych. Upragniony wzlot nie następuje. Jeżeli upierać się przy porównaniu tej muzyki do pracy motoru, to jest to motor na jałowym biegu. I znów, i znów, i znów, ale nigdy dalej, nigdy w górę, nigdy naprawdę i ostatecznie! Zatem raczej otchłanna praca wiru niż podniebna praca samolotu, raczej spirala niż prosta, raczej płytki świder niż przeszywający grom.

Jest w tej muzyce coś, co można nazwać sumą nadziei i rozczarowań, sumą uniesień i upadków naszego pokolenia: przecież z jakiegokolwiek punktu widzenia na nie patrzeć - Październik był naturalnym zwieńczeniem naszej młodości. Ale jakże krótko trwał ten Październik! Powinien być początkiem początku, a okazał się początkiem końca. Byliśmy jak stado domowych gęsi, które trzepoczą skrzydłami w czas odlotów, patrzą zamglonymi oczami za sznurami dzikich siostr, ale braknie im siły, aby polecieć za nimi. Zdawało nam się, że stworzymy symfonię, a udało nam się napisać tylko uverturę. Odwieczne polskie preludium, księga składająca się z samych wstępów. Więc mówię: raczej otchłanna praca wiru niż podniebna praca samolotu, raczej spirala, płytki świder niż przeszywający grom. Hymn mało lotnych gęsi. „Przejdźmy jednak do bluesa” - jak by powiedział profesor Tyrmand. Pamiętam, że „blues właściwy” na pół śpiewany, na pół gadany, modlitewny blues murzyński - nieszczególnie się udawał polskim piosenkarzom.

Mój mistrz i oprowadzacz po świecie jazzu, organizator „Hybryd” i niezliczonych „Jamboree” - Janek Borkowski - do dziś zżyma się i krzywi, kiedy w ogóle jakkolwiek Europejczyk próbuje śpiewać bluesa. Jaś twierdzi, że na to „trzeba mieć murzyńskie gardło”. Może i tak, nie będę się spierać z fachowcami i chętnie włożę wysiłki Fredki Elkany i Marianny Wróblewskiej (Marianna Ruda!) - pomiędzy jazzowe bajki, czyli cenne, a może bezcenne imitacje.

A jednak przyjął się u nas, a raczej zbrała się z nami inny blues - blues metaforyczny. Czymże bowiem jest blues, jak nie westchnieniem? Jak nie dojmującym poczuciem braku? Jak nie tęsknotą?? Blues jest tęsknotą za tęsknotą. Posłuchajcie śpiewu psa. Pies, z głową rozpaczliwie uniesioną ku księżycowi, zanosi się półprzrytomną pieśnią, której sensu, do końca, sam pies nie zna! Czy psi blues jest tęsknotą za księżycem? Czy przeciwnie - jest tęsknotą za brakiem księżycy? Nie wiadomo. Jest on najpewniej tęsknotą za tęsknotą, a jedynym określonym uczuciem, jakiego doznaje wykonawca pieśni, jest uczucie konieczności: konieczności śpiewu.

Czy stworzenie ludzkie, tęskniąc, dźwiga pod ręką spis swoich braków? Rejestr jakiś? Partyturę? Nic podobnego. To plan sześćioletni był partyturą, jazz był improwizacją, dlatego się nie mogły pogodzić. Stworzenie ludzkie, tęskniąc, nie pamięta już, za czym tęskni. Czy czarny niewolnik amerykański, zgięty w

bawolej robocie, pamięta afrykańskie niebo? Mowę ojców? Zawroźnienie zwierząt w dżungli? A jednak tęskni. Tęskni i zanosi się pieśnią.

A czy my, łkając trąbką Stańki, sycząc z bólu puzonem Kurylewicza, zanosząc się chichotem saksofonu Namysłowskiego - myślimy o powstaniach styczniowych i listopadowych, tęsknimy za pomarłymi narzeczonymi, liczymy wyrzucone na śmietnik nadzieje? Nie. To jest suma, to jest pomnożenie na pół zapomnianych cierpień.

Czy Mickiewicz, wprowadzając nas w pogańskie święto do kaplicy, przepowiadał sobie imiona dawnych bogów? Czy chciał nas powieść dalej, niż powiodą strofki kantyczki? Czy chciał nas stoczyć głębiej niż pod spód śmierci? Najpewniej nie. A przecież wystarczy dym kadzideł i Swinarskiego śpiew żebraczy, żeby serce zatłukło nam w piersi i żebyśmy się znaleźli w samym sednie polskiego obrzędu. A cóż to takiego, jak nie tęsknota za tęsknotą? „Dziady” są wielkim narodowym bluesem. I dlatego ta muzyka, muzyka nie do pojęcia radosna i nie do pojęcia smutna, tak mocno i tak głęboko zrosła się z latami naszego uniesienia jak blask z blaskiem i jak czerń z czernią.

„Jazz”

Takie pismo. Założyło je dwóch sławnych weteranów „podziemia jazzowego”: pan Balcerak i pan Sitkowski (szwagier Nahornego).

Jazzowy (przymiotnik)

Pokolenie rock and rolla odwróciło się, rzecz jasna, od jazzu, ale (co uważam za zdecydowanie miłe) w obiegu pozostały różne słowa i słówka. Przymiotnik „jazzowy” oznacza tyle co fajny, równy, ładny, udany.

Na przykład:

- Mówię ci, wspaniała dziewczyna, jeździ na nartach, pływa, nie mizdrzy się...
- Pewnie płaska jak deska?
- Ale skąd! Sto dwa w biuście.
- Ee, to jazzowa!

Określenie „ale jazz” oznacza drakę, awanturę, dintojrę, ale bez posmaku grozy. Na przykład:

- Mówię ci, starzy wrócili z Mamai, a tu wiesz - butelki na podłodze, szkło się sypie, cięć z kijem w drzwiach, a Mariola ryczy jak opętana.
- Ale jazz!

...Swoją drogą, ile się takie zwykłe, polskie, czy nawet zagraniczne słowo narobi, zanim ze słowa stanie się słówkiem, ze słówka hasłem, z hasła zaś - symbolem lub znakiem mitycznym!

„Liryka, liryka, tkliwa dynamika”! (Gałczyński).

Jazzmenów żony

Zofia Komiedowa najpierw nosiła popielatosrebrny warkocz do pasa. Potem obcięła włosy „na chłopaka”. Grażyna Matuszkiewicz miała 2 123 245 piegów. Teresa Trzaskowska jak wichura jeździła na nartach. Lilka Urbańska jak pastuszek grała na flecie.

Pamięta się te dziewczyny, pamięta się te żony!... Te dziewczyny, które godzinami umiały (chciały) słuchać muzyki, dziewczyny, którym mąż na pewno niczego „nie załatwił” i „nie popchnął”, dziewczyny, które nieraz nie miały się komu poskarżyć, dziewczyny, które musiały być żoną, matką i... powietrzem... Cierpliwe, natchnione, zapracowane żony!

K

Kobieta-dziecko

Znam kobietę o urodzie kruchego lisa z weneckiego szkła. Nazywa się ona Krystyna Burek, mieszka w Leśnej Podkowie, nie jada drobiu, ponieważ czci Ibsena („Dzika kaczka”) i występuje w moim życiu w poczwórnej roli: żony młodego Burka, synowej starego Burka, przyjaciółki mojej przyjaciółki oraz mojej własnej dobrej znajomej. Ta subtelna sawantka zwróciła mi uwagę na pewne hasło niezbędne w tym słowniku. Brzmi ono: „Kobieta-dziecko”.

Styl na Kobieta-dziecko całkowicie w młodym pokoleniu zaginął. Dziś mamy dziewczyny dorodne, wysokie, co druga wygląda jak nie na Szwedkę, to na koszykarce, a każda śpieszy się po życie, bardzo. W mojej generacji natomiast występował dosyć często gatunek, który wzory swoje czerpał ze skrzyżowania Giuletty Massiny z Szirlejką.

Pani taka mówi głosem zwierzątek z kreskówek, opowiada o sobie anegdoty zaczynające się od słów „Kiedy byłam małą dziewczynką”, po kieliszku wódki wskakuje w towarzystwie na kolana, układa usta w charakterystyczny ryjek i oświadcza: „Ja tych politycznych spraw w ogóle nie rozumiem, proszę, niech mi pan to wytłumaczy, pan jest taki mądry!” Ponadto Kobieta-dziecko nigdy nigdzie nie trafia, myli prawo z lewym, nigdy nie dzwoni tam, gdzie miała zadzwonić („Dzwoniłam sto razy, ale stale było zajęte, ty niedobry, ty!”), ubiera się w metaforyczny tornister, a mężczyźnie, który za nią szaleje, oświadcza: „Wiesz, ja kocham cię w pewien sposób, ale Paweł budzi we mnie zaufanie”.

Odpowiednikiem męskim Kobiety-dziecka było za tamtych czasów Dziecko-piernik. Rzecz charakterystyczna, że o ile Kobieta-dziecko, teoretycznie, nie starzeje się nigdy, o tyle męskie Dziecko-piernik potrafi przekwitnąć w ciągu jednego sezonu.

W lokalach Szklarskiej Poręby pojawił się na przykład pewnej wiosny cudny blondas, z Gałczyńskim w jednej ręce i z kluczykami od motocykla „Harley” w drugiej. Dziewczyny mówiły na niego „Kaczątka”, szalały, piły, i jedna nawet truła się szamponem (mój Boże!). Te, którym udało się trafić do garsoniery Kaczątka, opowiadały, że wysoko pod sufitem wisiała tam mała, błękitna łódeczka. Z łódeczką wiązał się taki tekst: „Pomyśl, kochana, oto nasz mały, wierny stateczek. Nazwałem go, nigdy nie zgadniesz jak... (Kasia, Zuzia, Ela, Isia - itd.). Pojedziemy nim w wielką, daleką podróż. Czy chcesz tego, moja pani?” - Chcę, chcę, ty kretynie - piszczwały amatorki żeglugi podniebnej, a potem tęskniły jak głupie i smutno im się robiło na widok każdego kajaka.

I nagle proszę: jeszcze tej samej jesieni „były blondas” pojawił się w cukierni jakiś pomarszczony,, a jednocześnie jakby zaokrąglony, z siatką na motyle, z wózką, z teczką, z paczką, z siatką, z kostką margaryny, z receptą na herbatę z rumianku. Ohyda.

Kołchożnik

Prosty odbiornik radiowy, rodzaj pudełka wykończonego płótnem, odbierający tylko Warszawę Pierwszą, albo zgoła - wyłącznie program radiowęzła. Stosowany w hotelach robotniczych, fabrykach, świetlicach.

Komedianci

Była w Krakowie dziewczyna, nazywała się Ruta. W Rucie kochano się namiętnie i przyjaźniono się z nią. Któregoś dnia Ruta westchnęła, że brak jej w mieście, śniegu. Było przedwiośnie. Śnieg w śródmieściu Krakowa rzeczywiście już stopniał, ale na Błoniach było go pod dostatkiem.

I oto dwaj wielbicielowie Ruty, bodajże Piotr Skrzynecki z najlepszym swoim kolegą, wynajęli taksówkę i przywieźli dziewczynie śnieg spod miasta. Kiedy się zbudziła, miała pod drzwiami białą. Może nawet był z tego śniegu ułożony napis cudny: „Ruta”, ale tego już nie pamiętam.

Ziemowit Feddecki jeździł dla dziewczyn po orchidee do Nowego Dworu, a jeden pan z Oruni wyrzeźbił

sobie Kasię Karską z „Bim-Bomu” i z tą rzeźbą, jak z podręczną lalką, prowadzał się po mieście. Mój szef z „Głosu Wybrzeża”, Sławomir Sierecki, wymalował na ścianie swej kawalerskiej izdebki Juliette Greco naturalnej wielkości, i chcąc zapalić światło musiał przekręcać kontakt umieszczony w jej sercu, oczywiście.

Byliśmy potwornie, nieludzko sentymentalni, sentymentalnością nie do podrobienia. Ozdobna rzewność panowała między kobietami i mężczyznami, a także - między przyjaciółkami. Z moją najlepszą koleżanką, Ami Borowską, wymieniliśmy dziesiątki lalek, znaczków, rękawiczek i wstążeczek, a dorosły mężczyzna, który nie miał pluszowego misia, po prostu nie mógł się pokazać w towarzystwie. Witając się z dawno nie widzianymi przyjaciółmi padaliśmy na klęczki, a czekając pod oknem dziewczyny gwizdaliśmy „Strangers in the night”.

W przyjaźni męsko-męskiej także panowała ciut teatralna dobroć i czuły gest. Nasz kolega z STS-u, Andrzej Drawicz, widząc znajomego w potrzebie, przełamał grzebień na pół i po prostu podzielił się nim jak opłatkiem.

Ludzie pożyczali sobie palta, buty i pierwsze, wynajęte mieszkania. Papierosy, oczywiście, były wspólne, a bieda mieszała się ze swoistym fasonem, podlana była „czerwonym winem z majakowskiego powiatu”⁶ i paryską cyganerią. Na przykład Andrzej Piotrowski - zwany Piotrem - inny nasz kolega z STS-u, jadąc na studenckie zimowisko, spakował się w ten sposób: „Trybuna Ludu”, a w „Trybunie” bochenek chleba, szczotka do zębów, koszula i golenie.

Naszą biblią sentymentalną byli pokazywani w PIS-ie na Długiej „Komedianci” z Jean Louis Barrault. Do dziś pamiętam poświęcę księżycową zalewającą Jego ubogi pokoi, i rozchylony kołnierz białej koszuli. Po pierwszym obejrzeniu tego filmu dostałam silnej gorączki i długo w noc majaczyłam: „Guarance, Guarance”...

Z polskich filmów zapamiętałam tylko jedną scenę o gęstej, miłosnej temperaturze - słynną „grę w zapałki” z „Niewinnych czarodziei” (ach, to pełne niedomówień „I chciałabym, i boję się!”...).

Wspomniał mi niedawno Andrzej Wajda, że dobrze byłoby zrobić musical teatralny w stylu „retro”... właśnie ze scenariusza „Niewinnych czarodziei”. Czemu nie? Sprawdziłby się wówczas wiersz Wisławy Szymborskiej „Buffo”, i nie miałabym nic przeciwko temu:

*„Najpierw minie nasza miłość,
potem sto i dwieście lat,
potem znów będziemy razem,
komediantka i komediant,
ulubieńcy publiczności
odegrają nas w teatrze”...*

Książeczki dla dzieci

My wszyscy, pokolenie teatrzyków studenckich i jazzowych stodół, mieliśmy o wiele miększy start niż pokolenie „pryszczatych”. My, wchodząc w życie z marszu, czy nawet z zetempowskiego marszobiegu, nie zdążyliśmy sobie jeszcze zrobić krzywdy, a już padła komenda „spocznij” i można było sobie potęsknić. A oni?

...Pryszczaty, któremu ufam, wyznał mi kiedyś, że ile razy zamierza zatańczyć z dziewczyną, ogarnia go poczucie grzechu. Po prostu: wychowano ich w zetwuemowskim purytanizmie, w pryncypialności, w powadze. Każda płochość, nawet dla najmłodszego z nich, dla Witka Dąbrowskiego, kojarzyła się z drobnomieszczkańskim rozmemłaniem i z zaturą rewolucyjnej czujności. Lata mijały. Na wielkich stosach straconych złudzeń spłonęły stare wiary i wiersze. W męce niepokoju narodziły się nowe. Ale jedno zostało - najdawniejsze, najprostsze ludzkie odruchy! Na przykład: poczucie grzechu.

⁶ „Czerwone wino z majakowskiego powiatu” - cytata z Woroszyłskiego.

Bardzo dobrze to rozumiem. I w ogóle nieraz zastanawiam się nad tym, że koszty nawrócenia są tak wielkie, iż powstaje pytanie, czy w ogóle warto się nawracać? Wszystko zależy od tego, czy zmierzamy do Boga, czy do szczęścia?

Czy naprawdę warto w czterdziestym roku życia przejść zawał serca i rozliczać się mozolnie z każdym wierzchem i z każdą legitymacją, czy może prościej byłoby wziąć śmieszny posadę w radio Tirana i pić sobie wieczorem albańską wódkę w cienistej altance, zagryzając młodym, pachnącym orzeszkiem. Czy życie jest wspinaczką, czy beładną szamotaniną po płaskim? Czy ci, którzy płyną mozolnie do Kolchidy, nie spotkają się wszak w końcu z tymi, którzy spokojnie taplają się w bajorze wygody? Co się liczy w ostatecznym rachunku i czy liczy się ostateczny rachunek???

Pożartujmy sobie lepiej.

Chcę powiedzieć, jaką rolę odgrywały w czasie odwilży i nieco później sławne książeczki dla dzieci. Co pokolenie, to nowy idol, jak nie Miś Puchatek, to Mały książę. Jak nie Mały książę, to Muminek. Ale lećmy po kolei.

„Pryszczaci”, jeśli wierzyć ich rozliczeniowym wyznaniom, byli toporni w miłości i szorstcy w piesszocie. Toteż kiedy przyszło do intymnego „tête-à-tête”, radzi nieradzi musieli podierać się cudzym tekstem. Ich wybór padł na „Małego księcia”. Gdzieś, na dalekich obozowiskach Szczecinka lub na kursokonferencjach pod Łławą, kiedy rozgwieżdżone niebo prosiło o chwilę uwagi, zaszywali się z dziewczynami w zakamarku pod sosną i tuląc płową główkę długo szeptali o miłości księżycowego chłopca do obojętnej, niedobrej róży. Jeszcze dziś, kiedy starszy pan po małej wódcie narysuje mi na serwetce koślawy prostokącik i tajemniczym głosem zapyta: - „Co to takiego?” - ja w lot odpowiadam: - „Baranek oczywiście!”

Pokolenie zetempowskie rzuciło się dla odmiany na „Misia Puchatka”. Kawaler ówczesny, mnąc czerwony krawat lub niemiłosiernie depcząc po nogach w czas tańczącej wieczornicy, szeptał pannie do ucha tak: - „Las zawsze będzie stał na miejscu i każdy, kto lubi puchate misie, może do niego trafić i spotkać w nim wszystkich dobrych znajomych...”

Panna, jeżeli podła, wysłuchiwała wyznania, a potem, na zebraniu, obszczekała chłopaka za drobnomieszczkańskie odchylenia.

Zaś chłopak, jeżeli kochał, to przebaczył, a znam takich, co się nawet ożenili.

Z tym „językiem miłości” to straszny w tych czasach był kram. Pamiętam, dla potrzeb spektaklu „Niech no tylko zakwitną jabłonie” przeglądałam później całe stosy starych donosów. Jeden zaczynał się tak: - „Z całą stanowczością podtrzymuję, że towarzysz S. uwiódł mnie, choć zasadniczo nie wprowadził członka do pochwy”...

Skoro jednak Las będzie stał zawsze, wróćmy jeszcze na chwilę do tego wielkiego swata - Misia Puchatka oraz jego młodszych kolegów.

Oto bowiem następną falę strasznych zwierzątek stanowią w moich przynajmniej oczach - Muminki. Syndrom Muminka dotyczy już wprawdzie bardziej młodzieńca zbliżonego wiekiem do Nowej Fali niż typowego bohatera tej książki, warto jednak o nim wspomnieć. Mam bowiem miłą znajomą, której mało nie zamęczono Muminkami.

Otóż niewiasta ta, choć wybitnie przystojna, była niegdyś ogromnie chorowita. Po prostu wpadała z anginy w anginę. Jej wielbiciel, znany nadgorliwiec, godzinami przesiadywał w tak zwanych nogach jej tapczaniku i czytał na głos co? Oczywiście księgę o Muminkach. Zropaczona dziewczyna żyła tylko tym, że książka kiedyś się skończy. Niestety. Z roku na rok zaczęły pojawiać się dalsze tomy i końca nie było widać. Rada nierada, z ciężką gorączką, zwlokła się z łóżka i pognęła do pierwszego lepszego ogonka. Dziś, ogorzała na słońcu i wysmagana wiatrem, jest okazem zdrowia. Cóż, nie było wyjścia, musiała zaryzykować. Spytacie - co na to amant, czy bardzo rozpacztał? Otóż dokładnie nie wiadomo. Zniknął. ...Raz pewien Muminek spod Sopot - z gotówką gdzieś przepadł za mgłą. Dziś każdy kto znał go, ma kłopot - bo Muminki -skurwysynki straszne są.

PS. Muszę dodać, że jedna z opisanych powyżej chorób, mianowicie „choroba puchatkowa”, została u

mnie jedno przykre powikłanie: Nie mogę się Obejść bez Pisania Niektórych, Ważnych Słów Dużą Literą!
A co mają zrobić Małe Litery??

L

Legia. Basen Legii.

Jeszcze jako dziewczynka szkolna - zaczęłam pływać w Legii (później OWKS, później Legia). Nasz trener, człowiek świętej cierpliwości - Olek Czuperski - wiązał ze mną pewne nadzieje. Ba. Dziennikarz nawet jakiś, nie pozbawiony fantazji, przyplątał się któregoś dnia na trening i napisał artykuł pt. „Trenuje Osiecka, tytan pracy”. Po roku czy dwóch przestałam jednak robić postępy, i choć wszyscy dobrze chcieli - nic ze mnie nie wyszło.

W „Szpetnych czterdziestoletnich” nie chodzi nam jednak o losy udanych i nieudanych zawodniczek, tylko o basen Legii, jako zjawisko obyczajowe. O basen jako deptak (przepraszam) basen, jako kłębowski przeróżnych postaci i postaw.

Czytelnicy, którzy nie znają Legii warszawskiej, proszeni są o wzięcie kawałka papieru i ołówka. Tak. Teraz proszę przyciąć kartkę w ten sposób, aby pozostało nam coś w rodzaju kwadratu. Dobrze. Na kwadracie tym proszę narysować trzy chude, pionowe prostokąty. Teraz nad tym z prawej strony proszę napisać: „trybuny”, nad środkowym: „basen”, a nad lewym: „trawa”.

Dobrze. A teraz opowiem Państwu, jak wyglądało na Legii klasyczne roztasowanie zawodników (mam oczywiście na myśli zawody obyczajowo-towarzyskie).

Na trybunach (strona prawa) mamy dwa rodzaje typów: pierwszy - to klasyczny cepr (czy ceper?), człowiek, który przyszedł się po prostu poopalać i niczego nie rozumie. Leży sobie na wznak, chustka na twarzy, pod ręką teczka, w teczce bułka z serem, i już. Do obrazka tego nie ma co wracać.

Drugi typ - to reprezentacyjny okaz męski, po powrocie z podróży. Wrócił niedawno, w nic się na razie nie chce angażować, stoi na wzgórzu i lornetuje całe towarzystwo.

Schodzimy na dół: prostokąt drugi, czyli basen i jego obrzeże. Co rzuca się w oczy, to fakt, że przez całą długość basenu rozciągnięte są solidne sznury, zaznaczające tory. Tory przeznaczone dla zawodników są niemalże od rana do wieczora puste. A dlaczego to? A dlatego to, że zawodnicy nie chcą pływać z hołotą. Nie chcą i już. Pływa się o siódmej rano, czy jest trening, czy go nie ma. Także, nie muszą dodawać, osoby udające zawodników - przychodzą o siódmej rano. Drugi raz wchodzi się do wody wieczorem, około ósmej. Ponieważ jednak na te parę godzin nie warto wracać do domu, objamy się w szlafrokach, godzinami, po obrzeżu basenu.

Słowo „szlafrok” jest dla fasonu naszego niesłychanie ważne. Żadna szanująca się zawodniczka nie pokazała się bowiem na Legii w kostiumie. Choćby żar lał się z nieba, chodzącyśmy okutane po szyję grubymi frotami i zaznaczyłyśmy w ten sposób swój szczególny status oraz pogardę dla „reszty”. Najmilsza dziewczyna z tamtych czasów, Ola Byszewska (100 m stylem dowolnym, szwagierka Lenicy) - chyba tak nie robiła, ale już nie pamiętam. Do dobrego fasonu należało nie tylko ponure włączenie się w przemokniętym szlafroku, ale również wydawanie z siebie, od czasu do czasu, grucielczego kaszlu. („Trenuję przed olimpiadą, bez względu na stan zdrowia”).

Do najnajwiększego fasonu należało posiadanie zagranicznego, czarnego kostiumu z milanezu.

Oczywiście - pod szyję. Żadna z nas, choćby była zgrabna jak nie wiem co, nie wsadziła na siebie kostiumu bikini, boby wyglądała jak „te z trawy”, czyli jak idiotka. Szczytem szczytów był oczywiście kostium amerykański. Któregoś dnia, pamiętam, dostałyśmy „służbowo” kilkanaście węgierskich kostiumów, bardzo podobnych do tych, o których marzyłyśmy. Peszyła nas tylko metka, czyli firma. Najobrotniejsza z dziewczyn natychmiast oberwała ją, i na jej miejsce przyszyła nową, odprutą od jakiegoś amerykańskiego łaszka. Niestety, o zgrozo, kostium puszczał oczka! Dziewczyna stanęła na

słupku startowym ubrana, że tak powiem, w samą metkę.

Był to obrazek, jak na tamte lata, stanowczo zbyt awangardowy.

Wróćmy jednak do basenu właściwego. Wyglądał on, prócz pustych torów zarezerwowanych, jak scenka Leona Schillera pt. „Bielany”.

Na płytszym krańcu, tam gdzie napis „dla nie umiejących pływać” - baraszkowały stada drobnych wyrostków, tak zwanych szczawików. Obok - pan Czesiek udzielał pannie Jadzi lekcji pływania. Lekcja ta polegała przeważnie na tym, że pan Czesiek brał pannę Jadzię pod brzusek (zresztą - pozycja prawidłowa), a panna Jadzia darta się wniebogłosy: - „Panie Czesku, co pan wyprawia, ja mam łaskotki!” Środek basenu zajmowały zazwyczaj starsze panie w fantazyjnych czepkach (takich spod prysznicu) pływające w poprzek. Ludzie pływający w poprzek są zakałą każdego basenu. Nie mogę o tym pisać, bo się zaraz denerwuję.

Na głęboką wodę („Deep End”) docierały dzielne dziewczyny „z trawy”, które jednak chciały się wykąpać. Chłopcy z trawy nie wchodzili do wody nigdy... O tym jednak za chwilę.

Obecność pływającej dziewczyny nie dawała spokoju rozproszonym po całym basenie szczawikom, o numer większym od tych, którzy baraszkowali na płytkiej. Te większe szczawiki zabawiały się w ten sposób, że brały rozpęd i skakały ze słupków startowych pływaczkom na głowę. Bardzo to było śmieszne (i jest zresztą).

W górze, nad głęboką, wznosiła się trampolina (można dorysować, w rzucie oczywiście). Na trampolinie było pusto. Czasem zawieruszył się jakiś skoczek, który nawet między treningami żyć bez wieży nie może, a czasem - przyplątała się jakaś „nowa”. Nową można było poznać właśnie po tym, że gramoliła się z kocem, z koszykiem i z łańcuchem - na wieżę właśnie. Ledwo taka nowa wygodnie się rozłożyła, już się tam leciało i skakało się jej przez głowę do wody. Niech się oślica dowie, do czego jest wieża.

Tak przedstawiała się sytuacja na basenie. Przenieśmy się jednak na teren prostokąta prawego: na trawę. Oddzielmy strefę pierwszą, dolną. Tam, tuż u wylotu męskiej szatni, gromadziły się najbardziej bezpretensjonalne sikorki warszawskie, które po prostu chciały być poderwane. Wypożyczały sobie leżaczki, ścisnęły się w ciasne kupki, smarowały rączki, przykładały listki do nosków, i typtały sobie oczkiem to tu, to tam. Do wieczora na pewno ktoś się znalazł.

Druga strefa - prawie środkowa (licząc od dołu), to byli tacy sobie, ładni i nie za bogaci chłopcy warszawscy. Ci, jeśli mieli odrobinę wdzięku, wabili dziewczynę po prostu dobrym słowem.

Chłopak mówił na przykład tak:

- Hej, coś ostatnio nie przychodzi się na basen?...

A ona:

- Ja? Przecież byłam wczoraj.

- Niemożliwe. Ja bym od razu znalazł.

- Leżałam pod siatką.

- A, chyba że pod siatką.

I już znajomość zawarta. Trzeba było tylko znać i odpowiednio cieniować wchodzące wówczas na arenę słówko „hej”.

...Strefa trzecia była pustawa. Gdzieniegdzie tylko, jak bujne wyspy na oceanie, rozkładały się warszawskie królowe nocy. Taka Małdyta na przykład. Dorodna, silna niewiasta, nogi do nieba, olśniewające zęby, piersi jak pociski. (Dziś, rzecz jasna, zamężna w Mediolanie). Albo Iza. Piękna Iza. Warto było je znać, nawet będąc niewiastą, ponieważ Iza przynosiła na plażę kosz niebawiałych rozmiarów i o niebawiałej wprost zawartości: różne gatunki serów, kabanosy, ptifury rozmaite... Strach pomyśleć.

Warto dodać, że na Legii ani Iza, ani Małdyta nie pracowały właściwie. Odpoczywały leniwie, malując na czerwono paznokcie i denerwując niemożliwie cały drugi numer szczawików i tych wszystkich studentów, którzy przyszli na basen, „żeby się pouczyć”. Student, który uczy się na plaży, jest to specjalny typ studenta, szczególnie starannie natarty olejkami, wyposażony przez matkę w bułkę i

termos, i całkowicie, ostatecznie pozbawiony jakichkolwiek pieniędzy.

Student taki nie wchodzi do wody nigdy.

...W najtajniejszym zakątku „trawy”, w cieniu pod siatką (to znaczy - pod parkanem) rozłożyły się najważniejsze dziewczyny całego zgromadzenia: półboginki, piękności i samotnice. Były wśród nich te, które „chcą być same”, te, które „chcą przeczytać ciekawą książkę”, a także te, które wiedzą, że i tak będą poderwane, chociaż skryły się w cieniu. (To bardzo ważne, że w cieniu! Do dziś, jeśli spotkacie dojrzałą panią, która ni stąd, ni z owad palnie w towarzystwie: - „Nie noszę słońca” - będzie to znaczyło, że chodziła na Legię). Skład klasowy tych dziewczyn bywał (choć niekoniecznie) - nieco wyższy od dziewczyn spod szatni. Trafiały się rzeźbiarki z dobrych rodzin, bez żadnego makijażu, otulone w starą sukmanę stangreta, malarki, uszmkowane od rana na Kleopatrze (niektóre: żeby było śmieszniej) i studentki szkoły teatralnej, śliczne i zdrowe, prosto z malutkiego miasteczka.

O te dziewczyny rozpytywano gorączkowo we wszystkich męskich „strefach”.

- Była Magda?

- Jeszcze nie widziałem. Może leży pod siatką.

- No to lecę. Hej!

- Hej.

No, ale pora na ostatnią, choć kto wie, czy nie najważniejszą grupę plażowiczów: są to ludzie interesu i filmowcy. Ci czają się u szczytu lewego prostokąta, to znaczy na samym skraju trawy, a równolegle do słupków startowych. Stamtąd, leżąc na leżakach lub przechadzając się swobodnie, taksują pole bitwy. Jest tu i czarny Zygmunt (goździki, palemki, spora plantacja pod Łodzią), jest Karol zwany Caruso (krawaty na Targowej), jest reżyser Jerzy Gruza, jest aktor - Tadeusz Pluciński i wielu, wielu innych miłych ludzi. Nawet redaktor Radgowski z „Polityki”.

Panowie ci, dysponujący znacznie większą gotówką niż Wysmarowani Studenci i Luźni Chłopcy, nie mają jednak takiego łatwego podejścia do dziewczyn. Toteż kręcą się, zastanawiają, czy Kiksa na przykład się nie obrazi, a znów na Grażynę - czy ich stać, i trwa ta męka tak długo, aż samo życie nie poda im ręki. Czasem życie zawodzi i panowie uciekają się, nieśmiało, do pomocy Studenta. Student, jeżeli chytry, w lot orientuje się w sytuacji i nie tylko pomyślnie załatwia całą sprawę, ale jeszcze nauczy się o życiu więcej niż z przyniesionego na trawę podręcznika (który zresztą gubi w szatni).

Nad całą „trawą” unosi się oczywiście tłusta, lecz wspaniała, postać legendarnego „Wuja”.

„Wuj”, dziś już nieżyjący, był mi człowiekiem sympatycznym. Krążyły o nim plotki, od których włosy jeżyły się na głowie: że handluje narkotykami, że jest madonną siedmiu wywiadów (wuj! madonną!), że oszukuje w pokera, że jest zwyczajnym gangsterem, i tak dalej, i tak dalej. Dla naszej jednak opowieści jest ważne tylko to, że „Wuj” był człowiekiem przepotwornie majątnym. Poruszał się po Warszawie wściekle czerwonym mercedesem i robił przy tym tyle hałasu, co Benio Krzyk przy przejeździe przez Odessę. Miał wiernego sługę, którego lubił z całego serca i niczego nie był w stanie mu odmówić.

Któregoś dnia pożyczył owemu giermkowi słynnego mercedesa i pozwolił mu jechać na rajd (patrz: „Gaz”). Giermek wrócił w przewidzianym terminie i oświadczył: - „Byłem drugi”;

- A dlaczego to byłeś drugi? - spytał „Wuj” z ciekawości.

- Bo trzymałem kierownicę nogami - odpowiedział giermek, i, jak mówią dzisiejsze elegantki: - „Rzecz polegała na prawdzie”. Miły ten goryl lubił, w sposób szalenie bezpretensjonalny, pobłażnować sobie.

„Wuj” był znany z wielu powodów, ale dla mnie liczy się dziś i ten, że Warszawa była wtedy mała. Mało było jeszcze przedmiotów, mało było książek, mało było oryginalnych ludzi. Można powiedzieć: w każdym gatunku po dwa, trzy egzemplarze. Czasem - po jednym. Płynęliśmy przez odwilż, jak Arka Noego. Mała, ale dobrana menażeria. Gdzieś na świecie, w Londynie powiedzmy, jest takich „wujów” piętnastu w każdym kasynie.

Myśmy mieli jednego. Pamiętajcie: wszystkiego było po jednym. Jeden „Wuj”, jedna ciocia Kasia Karska, jeden Leopold Tyrmand.

„Wuj” miał wyobraźnię finansową bardzo śmiałą. Któregoś dnia, nie wiem już z jakiej przyczyny,

zwiedzaliśmy razem zamek w Czorsztynie.

- Ile to też może kosztować, takie cacko? - zaciekał się grzecznie.

...Czego „Wuj” nie miał, to szczerze mówiąc, nie miał urody. Był też jakiś dziwnie zasapany, a kiedy się lekko podniecił - zaczynał buceć. Robiło mu się to nawet przy najspokojniejszym slow-foksie.

Toteż „Wuj”, biedny, nigdy nie miał pewności czy nawet bardzo zgodna dziewczyna wytrzyma z nim np. do rana. Słynął więc z tego, że pod wieczór, u progu miłosnej nocy, ofiarowywał dziewczynie jeden pantofelek, natomiast z drugim... czekał.

PS. ...Nie widziałam „Wuja” przez całe lata. Kiedy w końcu spotkałam go w mieście, był zmieniony nie do poznania. Schudł. Wymęczył się. Chyba siedział. Chorował też.

- Wiesz, mam chęć zaszyć się w jakimś kącie i zestarzeć się z godnością - powiedział. Nie zdążył.

Ł

Łabędź

Do Października - symbol kiczu, złego smaku.

Po Październiku - symbol gustu awangardowego („Nie macie pojęcia, gdzie byłam! - Na bazarze! Kupiłam makatkę z łabędziem. Mówię wam: cu-dow-na!! Jest cały fioletowy, a w dziobie trzyma złote jabłko!”)

Łajka

W 1957 roku ta biedula łajka poleciała na księżyc. A raczej nie na księżyc, tylko po prostu w kosmos. Przeleciała się sputnikiem i skołowana wróciła na ziemię (czy nie wróciła??) Pamiętam, podniosła się wtedy wrzawa na tematy etyczne i etycznopodobne. Koła, które tę wrzawę podniosły, to koła wysoce wyspecjalizowane w podnoszeniu tego rodzaju wrzaw, a mianowicie rozmaite brytyjskie towarzystwa opieki nad zwierzętami! Wrażliwe Szkotki i Angielki postawiły śmiałe pytanie: czy można było i czy należało narażać życie Bogu ducha winnej psiny dla celów technicznego eksperymentu?

Mniej wrażliwi (lub: inaczej wrażliwi) Japończycy zaczęli w tym samym czasie sprzedawać bilety na przyszłe podróże kosmiczne, między innymi na Marsa.

Nikt oczywiście nie spytał słynnej Łajki, czy zyskała w czasie swego pobytu na niebiańskiej karuzeli jakąś nową, kosmiczną perspektywę, czy też może jej stosunek do miski codziennej stawy nie uległ najmniejszej zmianie??

Pytania tego, o ile wiemy, nawet w noc wigilijną nikt Łajce nie postawił, natomiast sprawę księżycowych podróży bardzo wzięli sobie do serca - kto? Polscy zakochani.

Miłosne parki, które mnożyły się jak grzyby po deszczu na każdym przeglądzie kabaretów studenckich, festiwalu i kiermaszu, a prawdę mówiąc - każdej wiosny - otóż te miłosne parki, spacerując po Placach Wolności i Skwerach Przyjaźni, zadawały sobie między innymi i takie dręczące pytanie: „Czy będziemy jeszcze kochać księżyc, kiedy da się złapać”?

*Księżyc zachodzi, a ziemia wschodzi,
wszystko to wiemy - nic nam nie szkodzi -
tylko gdy mysza piśnie na dachu,
- wtedy krzyknijemy z wielkiego strachu, oj dana!*

Byronowska pogoń za niemożliwym ustaje, i zapewne ustać musi w chwili, kiedy niemożliwe staje się możliwe. Jeśli chcemy, aby pogoń trwała nadal, musi zmienić znak, musi przetrwać się w pogoń za doskonaleniem możliwego lub za utratą...

A cóż mają począć ze sobą biedni lunatycy, skoro boska Luna zamieni się w stację przesiadkową służbowych, najczęściej, podróży??

...Kiedy w rok po Łajce zaczęli zapuszczać się w dale kosmiczne również i ludzie, opowiadano sobie w Krakowie taki dowcip:

Dwóch starszuchów przechadza się późnym wieczorem po AB. Patrzą na gwiazdy i gawędzą:

- A jednak, panie radco, ten Gagarin, nie ma co! Poleciał taki świat drogi - i wrócił! Wielka sława, wielkie nazwisko: Kapitan Gagarin!...

- Racja, mecenasie, racja. Ale proszę pomyśleć, iluż tam Sierżantów i Poruczników krąży bezimiennie!

Łódź

Pamiętam trzy oblicza miasta Łodzi, a właściwie trzy Łodzie: Łódź jako Manchester, Łódź jako Chicago i Łódź jako Hollywood.

Ta pierwsza, „robotnicza Łódź”, poraziła mnie przede wszystkim obrazem miasta starego. To bardzo ważne, bo jako warszawianka przyzwyczaiłam się, że wszystko w moim mieście było nowiutkie jak z igły, nawet zabytki. Widziałam otwarcie Trasy WZ i MDM-u, śledziłam szamotaninę z metrem. Ba, jeździłam, jak mnóstwo warszawskich dzieci, „powozić się” ruchomymi schodami i śpiewałam piosenki o Mariensztacie. Łódź, jak gigantyczny skansen, pokazała mi straszliwą twarz dziewiętnastowiecznego miasta pracy. Hale fabryczne jak z „Ziemi obiecanej”, krwistoczerwone bramy „zakładów pracy”, ziemiste twarze włóknienek wsiadających do zatłoczonych tramwajów, to był obraz miasta, o jakim nie miałam pojęcia.

W Łodzi wszędzie jeździło się tramwajem - do dalekiego Widzewa, na Bałuty i do akademika na Bystrzycką.

I było w tych tramwajach coś czułego, opiekuńczego. Chyba że się człowiek pół godziny, godzinę, ale wiedział, że w końcu wydobędzie się z upiornego centrum i ujrzy schludne domki i rzewne ogródki Pabianic. Ulga.

Łódzkie „Chicago” siedziało w robotniczej Łodzi jak baba w babie. Gęsty świat przestępczy, świat wielkich interesów i półświatek łódzki nie doczekały się swojego Nowakowskiego. Brycht pisał o mieście bez miłości, a autorzy piosenek po pierwszym szlagierze wyjeżdżali do Warszawy. Już po Tuwimie nikt Łodzi pięknie nie kochał. Ja opisałam jedną łódzką ulicę: Włókienniczą, dawniej Kamienną.

Kochankowie z ulicy Kamiennej tramwajem jeżdżą w podróż,

Kochankowie z ulicy Kamiennej boją się gliny i stróża,

kochankowie z ulicy Kamiennej...

Aż dnia pewnego biorą pochodnie,

w pochód ruszają brzydcy i głodni!

„My chcemy Julii! - wrzeszczą chłopaki -

dajcie nam Julię, zbiry, łajdaki!”

Idą i szumią, idą i krzyczą...

Amor szmaciany płynie ulicą!

Potem znów cicho, potem znów ciemno,

potem wracają znów na Kamienną.....

Łódzkie „grube ryby” przesiadywały głównie w restauracji „Malinowa” albo wynajmowały na stałe numer w „Grandzie” i stamtąd rozpościerały swoje macki aż do samego Ciechocinka. Szeroko rozpowszechniona była opinia, że w Łodzi można robić większe interesy i lepiej się za swoje pieniądze zabawić niż w Warszawie, gdzie różne kontrole nie dawały człowiekowi spokoju.

Klasyczny łódzki mafioso otoczony był zwykle pewną liczbą małych rybek do różnych usług, a poruszał się głównie nie tramwajem i nie samochodem, lecz taksówką. Taksówka z różnych powodów była wygodniejsza niż samochód, można było wypić swobodnie, można się było gdzieś zręcznie zaszyć i można było w tym lub owym wyręczyć się zaprzyjaźnionym kierowcą. Kierowca taki całymi dniami z wyłączonym licznikiem czekał pod „Malinową” albo tłukł się w jedną noc do Poznania i z powrotem.

Łódzcy bogacze byli pogodni, staroświeccy i hojni. Nieraz stawiali suto kolacje artystom, ale artysta taki musiał się za to nieźle napracować: albo żartować do białego rana, albo dać się bawić swoim kosztem, albo sprowadzić chętną dziewczynę z pobliskiej „Honoratki”.

Skromniejsi przedstawiciele łódzkiego „marginesu” bawili się po bramach. Kwitły tam różne zaimprovizowane kasyna, głównie „dziewiąty wał” i inne loteryjki. Karty do loteryjki przyklejało się do rozłożonej szeroko „Trybuny Ludu”, na wypadek gwałtownego podmuchu wiatru albo wizyty milicji. Łódzkie Hollywood, czyli wytwórnia filmowa, mieściło się przy słynnej ulicy Łąkowej. Zgrzebne nasze „atelier” nigdy nie zyskało blichtru i blasku salonów telewizyjnych na Woronicza, ale ściągało z całego kraju młode kobiety (akcja „Piękne dziewczęta na ekrany”) oraz małe bezczelne dziewczynki rade zagrać w „Awanturze o Basię”. Toteż w bufecie na Łąkowej od rana do wieczora wrzało życie.

W latach odwilży słyszało się jeszcze miarowy stukot oficerek Wandy Jakubowskiej, ale już nadciągało z daleka człapanie „Kaloszy szczęścia” Antoniego Bohdziewicza. Pochyleni nad małymi kawami ślęczeli nie zmęczeni jeszcze bohaterowie „Pokolenia” Wajdy, przewijali się pasażerowie „Autobusu” Rynkowskiego i pomykali poprzebierani za chłopów statyści ze „Szkiców węglem”.

Próbné zdjęcia do „Szkiców węglem” Bohdziewicza były jakimś istnym maratonem filmowym. Mój późniejszy profesor postanowił „przepróbować” chyba całą Polskę. Niedawno opowiadał mi Jerzy Gruza, który wówczas, jako młody chłopak, kręcił się po wytwórni, że kilka dialogów ze „Szkiców węglem” weszło do szkolnej klasyki (chodzi o szkołę filmową, oczywiście). Na przykład: „Oddaj konia, złodzieju, Antek nie będzie już waszym parobkiem!” Tekst ten”, artykułowany na przemian przez dostojnych aktorów teatrów Narodowych i Polskich, przez półdziewczyny z operetki i przez basy z opery - powodował u czeladzi filmowej paroksyzmy śmiechu. Pozostała gawiedź ze szkoły filmowej rozmawiała dialogami z filmu „Młodość Chopina”:

- Wyjeżdżasz?... Rozumiem: wyjeżdżasz...

Szkoła filmowa to osobny rozdział „Łódzkiego Hollywoodu”. Przyszłam do tej szkoły wkrótce po Październiku i spędziłam tam, na wydziale reżyserii, moje najszcześniejsze lata. Uczelnia ta, w atmosferze bardziej podobna do pracowni artystycznej niż do gigantycznej fabryki magistrów, jest dla mnie do dziś wzorem szkoły artystycznej. Przecież wiadomo, że sztuki nauczyć się nie można, ale można rozhuścić wyobraźnię, podsunąć jakąś książkę zaimponować własnymi dziełami, pokazać wspaniały obraz, czy chociażby nadętego jakiegoś bęcwała - wyśmiać. I to wszystko robiono z nami. Do dziś pamiętam uwagę profesora Bossaka o marnej mojej etiudce: „To jest dla mnie zbyt bezpretensjonalne, proszę pani”.

Studia dziennikarskie, które skończyłam przed przyjściem do szkoły filmowej, były jakieś ponure i nudno skowane lodami „obowiązującego programu”, i jeszcze bardziej obowiązującego myślenia (Patrz hasło: „Obiektywnie - subiektywnie”). W szkole filmowej, rozplomienionej Październikiem, panowała fantazja, swoboda i widzimisie, i to nie tylko profesorów, ale również studentów. Każdy opiekun roku prowadził swój kilkuosobowy oddziałek według własnej recepty i pomysłu. Ja na przykład byłam pod silnym wpływem profesora Jerzego Mierzejewskiego, malarza i teoretyka sztuki. Mierzejewski kazał nam rysować, malować, kleić kolaże, a przede wszystkim analizować każdy film jako dzieło sztuki plastycznej przede wszystkim.

- Na czym oparta jest „Cena strachu”, Osiecka?

- „Cena strachu” jest oparta na koncepcji koła, panie profesorze. Możemy to zaobserwować śledząc uważnie rytm kół ciężarówki sunących po błocie.

- Bardzo dobrze.

Pod wpływem profesora Mierzejewskiego nauczyliśmy się układać palce w swoistą lornetkę i przez nią obserwować wszystko, cały świat. - „Nieźle, tylko źle wykadrowane” - mówiliśmy patrząc na jakikolwiek żywy czy celuloidowy obrazek. Zaczęliśmy też używać z uporem maniaka zwrotu „plastyk ekranu”.

Czołowymi „plastykami ekranu” byli na przykład Sobociński, Leszczyński, Majewski, a przede wszystkim Skolimowski, który nie tylko pięknie „kadrował”, ale malował rozświetlone biało-złote obrazy, łagodne

jak „zupa nic”.

Na każdym roku było po siedem, osiem osób, w tym z reguły jedna kobieta i jeden Bułgar. Mój najbliższy kolega, Władek Ikonow, Bułgar właśnie, paradował w grubych okularach w rogowej oprawie, uśmiechał się nieprzytomnym uśmiechem pana Hulot, i mówił: „Wymień mi stu reżyserów amerykańskich bez zająknięcia”. Nazywał mnie: „Magnezja Ośmięcka”.

Władek należał do ścisłej awangardy szkoły, to znaczy przez pierwsze dwa lata wyznawał teorię, że aktor w filmie to jedynie „znak plastyczny”.

Któregoś dnia, pamiętam, oglądałam jego wczesną etiudę i wydawało mi się, że rozpoznaję w kątku ekranu znajomą twarz: -Włada - spytałam szeptem - czy to aby nie Samosiuk z pierwszego operatorskiego?

- Zwariowałaś? - odpowiedział Włada. - To nie żaden Samosiuk, tylko znak plastyczny.

Za moich czasów powstało w szkole niemało wybitnych filmów, jak „Ssaki” Polańskiego czy, przede wszystkim, doskonałe „Rondo” Janusza Majewskiego ze Sławomirem Mrożkiem w roli głównej, ale dla mnie, może dlatego, że poszłam w końcu w innym kierunku, uczelnia na Targowej była przede wszystkim jakąś wzorową szkołą przyjaźni między dorosłym a młodym artystą.

Choćby z tym „plastykiem ekranu”... Przecież nasi profesorowie, zwłaszcza „realiści”, jak Munk, Bossak, Wohl, Toeplitz - wiedzieli, że przeginamy pałkę i błązujemy. Ale pozwalali samemu wyjść z tego, nie wyciągali za uszy.

...Między łódzkim Chicago, Manchesterem i Hollywoodem związki nie były za moich czasów specjalnie silne. Filmowcy nie zapuszczali się z kamerą ani do „Malinowej”, ani na Widzew. Ciągłe się majstrowało przy jakichś filmach w sumie od życia dość dalekich, przy różnych symbolach i metaforach. Ciągłe się komuś dowodziło, że film jest sztuką i dlaczego. Słynne „schody” łódzkiej szkoły filmowej pamiętają dziesiątki takich dysput. Pamiętają też niestychane erotyczne przechwałki co śmielszych kolegów. Można śmiało powiedzieć, że taki A. K. czy W. S. należeli do erotycznej awangardy miasta Łodzi, a takie słowa jak „orgia” i „balet” nie schodziły im z ust. W poniedziałek rano pojawiali się na schodach jacyś dziwnie rozespani i przeciągali się jak syte lwy. Wstydlivi koledzy obserwowali ich zazdrośnie z różnych zakamarków i bezskutecznie próbowali sobie przyswoić nietrudną przecież pantomimę.

Ale w ogóle trzeba powiedzieć, że nasi koledzy, nawet ci mniej zabójczy, mieli w Łodzi duże powodzenie, bo najśliczniejsze nawet dziewczyny z „Honoratki” widziały w nich, już od pierwszego roku studiów, niepokonanego Pana Reżysera.

A jednak nie tylko dziewczyny łączyły szkołę z miastem. W miarę upływu lat studenci coraz chętniej wychodzili z kamerą poza bramę szkoły i kręcili się po ulicach, halach fabrycznych, szpitalach i więzieniach. Dziś mogę powiedzieć, że Łódź jest jednym z najsolidniej i najbardziej chyba namiętnie obfotografowanych miast Polski.

...Jest jednak jeszcze jedno, coś, o czym nigdy nie zapomnę: charakterystyczny zapach Łodzi. Zapach starej, piwnicznej marchwi, przedwojennego podwórza, fabrycznego komina, dworca i taniego piwa. Ten zapach przywozi na siebie każdy, kto przyjeżdża z Łodzi, bez względu na to, czy przybywa z Manchesteru, czy z Hollywood.

M

Manekin

Miła piwnica z wódką na warszawskiej Starówce (właściwie - z „bloody Mary”!) Do „Manekina” przychodzili intelektualiści, pijacy i dziewczyny. W niektórych przypadkach - była to ta sama osoba...

Taka Elżbieta Szaniawska - intelektualistka, pijaczka i dziewczyna.

Ozdobą „Manekina” był Olek Drożdżyński, autor sławnych później „Mądrości żydowskich”. Kiedy

tańczące pięćdziesiątki („swinging fifties”) przetaczały się przez Polskę, Olek był młodym człowiekiem ze stolicy. Miał jednak taki fason, że udawał Starego Żyda ze Lwowa. Cesał się w jakieś półpejsy, przewracał oczami i w ogóle dawał przedstawienie.

Któregoś dnia spotkałam go w „Manekinie”.

- Wiesz - powiada Olek - wracam właśnie z prowincji. Włóczyłem się po małych dziurach i wszędzie zaglądałem do księgarni: szukam swojej książki, nie mam egzemplarza nawet dla siebie I W Pińczowie przez chwilę miałem nadzieję: wchodzę do księgarni i pytam: „Są «Mądrości żydowskie»?” - Sprzedawca przyjrzał mi się uważnie i powiada: - „Wie pan, będę coś miał dla pana!” Gdzieś się skrył, poszperał i przyniósł mi książkę: „Judo dla wszystkich”.

Masy

Masy. Masy pracujące miast i wsi. Masy kroczące. Masy wszystkowiedzące. Wciąż te masy i masy. Zwariować można było z tymi masami. Człowiek w kółko się tymi masami podpierał, człowiek próbował znaleźć jakieś podejście, a one nic. Wstają rano, poobracają trochę te koła historii, poobracają, i na powrót walą się do barłogu. Jak się z nimi pokumać? Bóg raczy wiedzieć.

Skuszanka chciała dobrze. Wzięła teatr w Nowej Hucie, zakasała rękawy, zabrała się do roboty. Robi premierę za premierą, patrzy: frekwencja, psiakość, nie przychodzi. W barakach siedzą, wódkę piją, rozrabiają, gazetę czytają, a do teatru - ani się ruszą.

Wziął się tedy teatr na sposób i wystawił widowisko barwne, przejmujące, „dla ludzi” - „Księżniczkę Turandot”. Żeby było jeszcze przyjemniej, po przedstawieniu zorganizowano dyskusję z widownią. Część widzów oczywiście zdołała uciec, ale część, owszem, została, i rozpoczęła się ożywiona rozmowa. W pewnej chwili dociekliwy widz pyta:

- Jednego nie rozumiem; czemu artyści są niedokładnie przebrani, nie ze wszystkim? Przecież sztuka starodawna, w dalekich krajach się dzieje, a tu główny artysta - w zegarku po scenie paraduje?

Dyrektor Skuszanka już chce spieszyć z odpowiedzią, już prawa umowności wyjaśniać pragnie, ale widzi, że ktoś z sali zgłasza się na ochotnika, rad odpowiedzieć koledze,

Ochotnik, oczywiście, do głosu dopuszczony zostaje, i powiada:

- Rzec jest całkiem prosta. Gdyby artysta rzeczony zegarek w garderobie zostawił, naraziłby cenną rzecz na ukradzenie. A tak - ryzyko mniejsze, a inteligentna widownia w mig całą sprawę pojmuje.

Każda teoria jest względna.

W ogóle: czasy późniejsze wykazały, że prywatny producent sztuki znacznie lepiej „wyczuwał” masy pracujące niż państwowy.

Można zaryzykować twierdzenie, że kontakt z masą jest odwrotnie proporcjonalny do stopnia umasowienia producenta.

W latach siedemdziesiątych zaczęło się u nas na przykład szaleństwo „buttonów”, słynnych guziko-broszek z napisanym haselkiem („Kiss me, I am Polish”) itp. Dziś atrakcyjniej może brzmiałoby: „Kiss me, I am not Polish”.

No więc mój znajomy, Stanisław Tym, odwiedził kiedyś w „pawilonach” sklepik z „buttonami” i natknął się na znany mu skądś napis: „E = Mc²”.

Zaciekawiony tym Tym zapytuje kramarza:

- Panie, a co to takiego?

A kramarz:

- Wie pan, szczerze panu powiem, że pojęcia nie mam. Towar idzie jak woda. Dostawca byle co pisze, ludzie i tak kupią.

Maski, maseczki, zamaskowany

W roku pięćdziesiątym piątym i szóstym wielu ludzi zapragnęło zmienić skórę. Inni, czyści lub półczyści, umieścili się na balkonach i robili im „zyg, zyg, marchewka”.

Studenci i studentki, jak larwy na wiosnę, zrzucili przebrzydłe kokony, i wzbijali się w powietrze w postaci precudnych motyli. Słowo: „maska” i wszystkie jego pochodne („ha, zrzuciłeś maskę”, „zrzucasz maskę”, „zrzuć wreszcie maskę”) - weszło do słownika codzienności. W szatniach, obok czapek i parasoli, zawisły - maski. W przedstawieniach studenckich zaroilo się od rozmaitych „bali maskowych”, „maskarad” i tym podobnych metaforycznych przebieranek. Kończyły się one bądź totalnym zrzuceniem masek przez cały zespół, bądź włożeniem nowych masek, co natychmiast zostawało zdemaskowane przez Reżysera, Diabła czy innego, przebiegłego animatora całości. Pojawiły się też pierwsze „salony piękności”, a niedoceniane poprzednio prywatne kosmetyczki zaczęły cieszyć się powodzeniem jak przed wojną.

W jednym z takich salonów spotkałam panią, która za Stalina robiła, nie powiem co, a teraz spoczywała pod trzema maseczkami naraz: ziołową, poziomkową i elektryczną (?). Tak powiedziała.

Tamta odwilż różniła się od tej odwilży między innymi tym, że chętnie uciekano się do metafor.

Uprawiano herody polityczne. Przebierano adwersarza za diabła, turonia czy innego kaduka i dopiero walono mu w oczy, o co chodzi.

Za to różnice postaw były w tamtej odwilży bardziej oczywiste, walka między Dobrem a Złem - jaśniejsza. Oczywiście: była i Kontrrewolucja Pełzająca.

Jeden pan w Zalesiu Górnym odkrył, że jest kuzynem króla angielskiego, i zapragnął wyciągnąć z tego konsekwencje.

Na Krupówkach pewien staruszek oświadczył, że pragnąłby przyłączyć Zakopane i Nowy Targ do Moraw.

Na warszawskich ciuchach zaroilo się od żon dygnitarzy i ich córek. Rzesze niedowiarków chrzcili się, żeniły i bierzmowały na wyprzódki.

Teatr STS, do którego należałam, ostro odciął się od wszelkich „przejęć” i raz po raz występował w imieniu pryncypiów. „Socjalizm o ludzkiej twarzy - TAK, kontrrewolucja - NIE” - głosiło nasze nie pisane credo. Witold Dąbrowski w przejmującym, gorzkim songu nawoływał: „Towarzysze, czy w waszej krwi nie za mało czerwonych ciałek?”; ja czepiłam się „Poematu dla dorosłych” za czarnowidztwo; Abramów - potajemnych ślubów kościelnych.

Zdzierało się te maski i zdzierało. Dopiero teraz, całkiem niedawno, dzielny dyrektor teatru „Fraszka”, Henio Pijanowski, zwrócił się do mnie z propozycją dopisania nowej sztuki do starych masek. - „Życie jest pełne niuansów” - jak mawiał chłopak, na którym mi zależało. Co do mnie, to miałam z maskami jedną, mrozącą krew w żyłach przygodę.

Przyjechałam na parę dni do Krakowa i wybrałam się na „Wyzwolenie” Wyspiańskiego. Błada i zła („Biesy”), prosto z pociągu, siadłam w przestronnej łoży, sama, i przysnęłam. Rzecz działa się w Teatrze Słowackiego... Rozsiadłam się tedy wygodnie w fotelu i byłam już daleko od tego świata, kiedy nagle zbudziły mnie huk, wrzaski szalone, a nawet szarpanie za ramiona. Oczywiście, oczywiście: była to słynna scena z maskami. W ramach eksperymentów i ogólnie panującej awangardy, „maski” rozszalały się po całym teatrze i tarmosiły porządnych ludzi. Wyszłam z teatru z przenicowanym sumieniem i z dwoma oberwanymi guzikami.

Dziś wydaje mi się, że cała ta inscenizacja, skoro już musiała być aż taka wyzwolona, mogła pójść w zgoła innym, jeszcze bardziej rewolucyjnym kierunku: to Konrad, zgodnie z duchem czasu, powinien wystąpić w masce! Niechby szamotał się w mej straszliwie, aż do (właśnie) - „sceny z maskami”. Tu powinny osaczyć go... maski bez masek - ludzie o potwornych gołych twarzach... I oto Konrad, w męce, zrzuca starą maskę, pragnie wdziąć nową, a widziadła o gołych twarzach wyją: „Nie i nie, nie zgadzamy się, Konradzie!”

Chodzi o to, że ludzie w tamtych czasach wprawdzie zmieniali skórę, ale nie pozwalali na to, aby inni robili to samo. Mówili: „Ja, najszczerzej w świecie, przestałem wierzyć w to czy tamto. Ale u Józka, czy

Franka, to jest tylko heca”!

My - zmienialiśmy się w dobrej wierze, dla jasnej przyszłości własnej i narodu. Inni - zmieniali się dla hecy albo dla kariery.

Zatem etyka. Etyka zmiany.

Ta nieszczęsna etyka zmiany to problem dla tamtej odwilży ogromnie ważny, ale dla tej - już po prostu piramidalny. Zaczyna nawet nudzić.

Ważkość problemu poznaje się jednak między innymi po tym, że problem zaczyna nużyć. Nuży, ale jest. Pamiętam - wiele, wiele lat temu wybrałam się z panną T. D. na wódkę. Lokal, czego nikt nie mógł przewidzieć, okazał się lokalem z występami. I oto w skupionym świetle punkowca ukazał się na parkiecie zręcznie zamaskowany duet wokalnno-taneczny, a „On” zaśpiewał: „Powiedz, przepióreczko, co masz pod maseczką, powiedz mi”.

- Dziób ma, do jasnej cholery. Nie widzisz? - wrzasnęła nagle moja towarzyszka, najwidoczniej nasycona już problematyką.

*Ech, z tą etyką, z tą poetyką,
to straszny, kochani, jest kram,
a zwłaszcza, a zwłaszcza - dla dam...*

Pozwólcie jednak, że pociągnę wątek dalej: Latem 1957 roku, u wspólnych przyjaciół we Francji, poznałam Czesława Miłosza. Późny wieczór, kolacja, a potem długie, bardzo długie rozmowy. W pewnej chwili rozochocony, a może podrażniony, Miłosz przystąpił do półki z książkami i zaczął wyciągać stamtąd, jedną po drugiej, najbardziej skompromitowane i ośmieszone książki minionej epoki, najróżniejsze produkcyjniaki i zbiory wierszy pełne laurów. Miłosz, który znał te książki bardzo dobrze, z lotnością mistrza wybierał co smakowitsze kąski, i, oczywiście wśród wybuchów śmiechu - czytał na głos. Nie było to jednak wesołe widowisko. Chcieliśmy wszyscy, z Aktorem i Autorem na czele, żeby było wesołe, ale - nie było. Po pierwsze - Miłosz był zbyt gromki, zbyt jakby tytaniczny, zbyt grzmiący i nieświadomie wzniosły, aby wypadło to naprawdę śmiesznie. Nastąpiło zjawisko nadinterpretacji, jak wówczas, kiedy Ewa Demarczyk zaśpiewała „Serduszko pika w rytmie czacza”. Myślałam, że korki wywali.

Po drugie - w widowisku tym było wiele stłamszonej goryczy. Chciało się, żeby sprawa była prosta: ot, kilku socrealistów popisało jakieś głupoty, teraz uczyniło fikotek, i pstryk - sprawa znika. Zostaje tylko śmiech pusty.

Ale, rzecz jasna, te sprawy nie były takie proste, jak by się chciało, żeby były. I Miłosz sam doskonale o tym wiedział. Drugi przykład:

Również w tamtych latach, w Warszawie, poznałam pewną piękną i smutną panią, którą kochało wielu mężczyzn, ale jej zależało na kim innym, czy też była wdową - nie pamiętam. Jednym z najbardziej oddanych wielbicieli Pani był pewien poeta, bardzo aktywny w latach stalinowskich, a po Październiku - głęboko odmieniony. Poeta ten, czy może również prozaik, postanowił w dniu urodzin zrobić pięknej pani pewien wzruszający upominek - ofiarować jej swoją książkę z dawnych lat. Zanim jednak zabrał się do pakowania prezentu, zaczął go sam z uwagą oglądać. Wreszcie - zajrzał do środka. Godziny mijały, a on wciąż ślęczał nad swoim własnym tomem z innego czasu. Wziął do ręki ołówki i zaczął dopisywać do tekstu wykrzykniki i rozpaczliwe znaki zapytania. Nad ranem - zaczął pisać na marginesach.

Nazajutrz znajoma moja otrzymała w darze jedną z najtragiczniejszych książek epoki. Marginesy roją się od takich oto dopisków: „Jak ja mogłem?”, „Czy to naprawdę byłem ja?”, „Tak, jednak taki”, „No nie!”, „Czy potrafisz mi przebaczyć?”

Co tu dużo gadać:

Wielki pomnik bólu. Pomnik Zmiany.

...Prześledzić Zmianę, a tym bardziej opisać ją i objaśnić in statu nascendi, tak u siebie jak i u kogoś, jest potwornie, niewyraźalnie trudno. Taka prosta sprawa: Czy Zmiana jest z przodu czy z tyłu? To znaczy: Czy my, w wędrówce swojej, popychani przez wiatry i prądy, przywdziewamy wciąż nowe twarze, których

przedtem nie było, czy też my, od Bóg wie kiedy, od dzieciństwa może, już dawno te nowe twarze dźwigaliśmy, tylko prądy i wichry nie pozwalały nam ich odkryć? Wadziły, a nie- pomagały?... Inaczej: Czy dogrzebujemy się siebie, zrzucamy kolejne skorupy, czy też przeciwnie - rozrastamy się dookoła, przywdziewamy wciąż nowe skóry?? Chudniemy psychicznie, czy też puchniemy? I dlaczego? Przypadkiem, dla interesu, ze strachu, ze starości, z kontaktu z mądrymi ludźmi, popychani przez historię, mieleni w boskich młynach, bo ktoś tak chce, bo my tak chcemy, bo tak już jest?? I jeszcze jedno pytanie: czy Zmiana, w ogóle, istnieje?? Czy coś, co w pewnej skali jest Zmianą, w innej skali w ogóle istnieje?... Taki na przykład kameleon: niby to robi te swoje stare numery, przywdziewa rozmaite barwy, ale przecież... nie przestaje być kameleonem! Powiedzmy, że mamy w ogródku kameleona, i że od wczoraj do dzisiaj zmienił się z różowego na zielony. Wychodzimy do ogródka i kogóż to widzimy na drzewie: przecież to nasz stary znajomy, kameleon! Kameleon, żeby się naprawdę zmienić, musiałby przestać być kameleonem. Ale wówczas - wcale by go nie było. Istotą bowiem kameleona właściwego jest jego kameleonowość. A zatem zmienność, w przypadku kameleona, jest jego wartością stałą. Kameleon zmienny jest kameleonem stałym. Zmienność zatem jest lub bywa - stałością.

...I tylko w głębi, niczym wieczny płomyk, tli się nieład serca.

Molo

Molo sopockie jest śliczne. Co roku starannie odnawiane, ozdobione białymi balustradami i niezliczonymi zakamarkami (można skryć się w nich jak u olbrzyma w kieszeni), pachnące młodym drewnem, żywicą i solą - robi wrażenie świeżo wyciosanego okrętu Jana z Kolna, dopiero co rzuconego na wodę i gotowego do podróży.

Niestety, co tu dużo gadać, molo sopockie jest tylko wybiegiem, wypuszczoną w świat deską do prasowania - i to jest smutne. Tą smutną oczywistość pojawia się jednak w wyobraźni spacerowiczów nie zawsze, niekoniecznie. Wystarczy trochę słońca, ładna kobieta czy kolorowy balon, aby oddaliła się na chwilę i zatarała.

W naszych czasach spacerowicze składali się z kilku kategorii:

Po pierwsze: Ludzie z towarzystwa, powiedzmy - dostoyny anglista, profesor Helsztyński z synem, czy też nawet z dwoma synami, paradujący dumnie i kosmopolitycznie, wodzący po paniach okiem, które widziało Bosfor, stąpający po swojskich deskach stopą, która znała Gibraltar...

Dalej: Panowie i panie z okolicznych domów wczasowych i sanatoriów. Ci, przed wkroczeniem na molo, lubili usiąść przy herbacie albo na którejś z białych ławeczek poprzedzających „molo właściwe” i opowiadać, opowiadać, opowiadać. Kiedyś śledziłam dwóch starsuszków, literatów chyba albo może weteranów, którzy przepowiadali sobie w najdrobniejszych szczegółach historię Polski od lata 44 roku, podkreślając z wyrafinowaną szczerością swój w owej historii udział lub - w drastyczniejszych momentach - brak udziału. Starsze wczasowiczki, w chusteczkach tiulowych na głowie, także stulały się w parki, i tui, tui, tui - tui, tui, tui: „Mój syn mógłby... Mojego syna nie zrozumieli... Mój syn, gdyby tylko mnie posłuchał”... „Proszę pani, a ja? Co ja mam powiedzieć... Mój syn, proszę pani, gdyby nie wojna”... Wczasowiczki ludowe, tęższe i weselsze, turlały się przez molo w grupkach po sześć, po pięć, docierały do dobrze nasłonecznionych ławek, obnażały różowe staniki, wynurzały z pantofli umęczone stopy, dobywały z siatek oranżadę, kanapki, cukierki, przymykały oczy, odpoczywały... Dalej: Zakochani.

Przytuleni, albo troszeczkę obrażeni na siebie, staranni obserwatorzy statków majaczących na horyzoncie oraz meduz taplających się w zielonym cieniu mola, karmiciele kaczek i mew, milczkowie i gaduły (on rozprawia, ona słucha jak urzeczona albo ona tokuje, on walczy z wiatrem, zapala papierosa).

Dalej: Samotne dziewczyny, pomykające, unikające spojrzeń, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Dalej: Samotni chłopcy. Dalej: Oryginały (Słynnym oryginałem był na przykład niejaki pan Gabriel, właściciel angielskiego płaszcza berberiusza, podbitego podpinką w czerwonej kratę. Pan Gabriel przechadzał się po

molo niezwykle solidnym, wielbłądzim krokiem i miał minę, jakby się bał czegoś wylać. Tym czymś, czego bał się „wylać”, był jego sławny płaszcz. Płaszcz, starannie złożony, wypuczony podszewką do wierzchu - ach, ta podszewka - spoczywał wyzywająco na przedramieniu pana Gabriela i zdawał się wołać: „Oto jesteśmy, ja, pan Gabriel, ze swoim płaszczem, i ja, płaszcz, ze swoim panem Gabrielem!”

Osobną kategorię spacerowiczów stanowią, oczywiście, „miejscowi”. Ci, przede wszystkim - cenią się. Starannie wybierają czas, godzinę, a nawet porę roku: Nie pojawiają się na molo byle kiedy.

Po pierwsze - prawie nigdy nie pojawiają się na molo „w sezonie”. W sezonie bowiem, czyli w lecie po prostu, do honoru prawdziwej sopotczanki należy nie tylko niechodzenie na molo, ale nawet niechodzenie na plażę. Twarz ma być wymięta, blada, nie nosząca śladów opalenizny. Codzienny „szlak” prowadzić ma z pracy i do pracy, czasem do kina lub do zadymionej kawiarni. Kiedy przyjdzie urlop, należy wyjechać do tonącej w deszczu Bukowiny albo do znajomych mieszkających w Łodzi. Gdzieś w październiku, najwcześniej w końcu września wypada pojawić się na molo, i to najlepiej w jakiejś poważnej sprawie. Piękne dziewczyny sopockie, plastyczki, tkaczki, studentki Akademii Medycznej, prawie nigdy nie pojawiają się na molo, że tak powiem, z pustymi rękami. Dźwigają bochny chleba dla rozpasanych, zmijowato syczących łabędzi, wymachują psią smyczą, a niektóre, dla niepoznaki, niosą kompas lub sztalugi. Starsze, które po zakupach wyrzały na molo, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, pędzą po wybiegu jak zdyszani maratończycy, jeszcze i jeszcze, jakby tam na końcu dawali cytryny. Latem jednak, kiedy przybysze z innych miast rozpełzają się po molo, jak muchy po krzyżu, także i te panie, podobnie jak ich młodsze sąsiadki - wybierają inne, tajemne ścieżki.

Teraz chcę opowiedzieć coś ważnego:

Był w moim życiu czas, kiedy należałam w Sopocie do „miejskowych”, a w każdym razie do półmiejskowych. Byłam studentką, przechodziłam praktykę dziennikarską w „Głosie Wybrzeża”, mieszkałam przy ulicy Bieruta 39 .u nieludzko dobrej pani Banasiowej, zawodowo trzymałam się spółnicy mego szefa - Sławomira Siereckiego, a towarzysko objąłam się między młodymi. Byli tam początkujący malarze, jak Włodek Łajming i Tadeusz Chyła (tak, ten: cysarz późniejszy), byli rzeźbiarze jak Romeczek Freyer, mistrz teatrzyku „Co to”, były dziewczyny milkliwe i psotne, byli chłopcy z „Bim-Bomu”, ale przede wszystkim było mnóstwo nieznanymi, wspaniałymi ludźmi, których poznawało się w czasie długich, cierpliwych wieczorów, i z którymi wśród śmiechów i łez wtaczało się w noc, a potem, niczym uznojona, lecz i umajona lokomotywa - powoli i z namaszczeniem - zdobywało się stację Świt.

I otóż zdarzyło się właśnie, że pewnego razu, a było to latem pięćdziesiątego szóstego, roku, zdobywaliśmy Świt właśnie na molo.

Nie pamiętam, gdzie zaczął się ten wieczór. Może w ciasnym pokoiku sopockiego akademika, może na próbie w „Bim-Bomie”, a może w klubowej knajpie „Po schodkach”. To głupstwo. Wiem, że były jakieś idiotyczne, nocne wizyty u zaspanych ludzi, naleśniki u producenta sztucznych bursztynów, włóczęgi „do Orłowa i z powrotem”, nocne popijanie wina w opustoszałych plażowych koszach, i wreszcie, i nareszcie - świt, i wreszcie, i nareszcie - hasło: „molo”!

Wtoczyliśmy się na molo jakimś dziarskim pół polonezem, pół mazurem. Zgrani, rytmiczni, dogadani, „stańczeni” - stańczeni alkoholem, młodością i powagą poczynającego się świtu; trzymaliśmy się pod rękę i niczym radosny wąż wsiąkaliśmy w mgłę. Była bowiem tego ranka cieniutka, „muślinowa” mgła... Tańcząc wsączaliśmy się tedy w tę mgłę, a była ona tak zwodnicza: i tak - jak to z mgłami bywa - uparta i dokładna, że „czoło węża” nie widziało ogona, a ogon - czoła. Biegliśmy śpiewnie i pewnie, a żadna z dziewczyn nie miała na nogach szpilek, które kłując i zahaczając o szpary mola - wytrącałyby nas z rytmu. Tańczyliśmy i tańczyliśmy, i kresu naszej drogi nie było widać!...

I nagle śpiew, mocny i zalotny, tyleż patetyczny co błazeński, wyrwał nam się z ust. Oto co zaśpiewaliśmy:

*„Naprzód, młodzieży świata,
niech radosny połączy nas marsz,*

*sztyndar nad nami wzłata,
powstań z nami, chodź z nami i walcz”...*

Więc tak, więc tak! Taniec i śpiew, śpiew i śmiech, i z powagą, i z przewagą, i naprzód, i naprzód, i naprzód, młodzieży świata!...

Raptem, niespodziewanie, nagle... Nagle wynurzyło się przed nami - co? Antarktyda? Szczęśliwe jutro? Archipeląg ludzi odzyskanych? Ludzka twarz socjalizmu? Brzask? Aurora? Góra lodowa? Dzień zapłaty? Paryż? Ryż?

Ot nie! Przed nami, z mgły, i ze śpiewu, z domyśleń raczej niż z przemyśleń, z nie dokończonych przedstawień, z nie dożytych życiorysów, z nie dożłobionych rozmów, z nie rozwiązanych więzów, z nie dokochanych miłości, z półrozpiętych kajdan, z nie napisanych wierszy, z nie rozwiązanych zadań - wynurzył się, po prostu - koniec mola. Koniec deski do prasowania. Koniec wybiegu. Koniec jednego z niezliczonych polonezów polskich, koniec poloneza, którego tańczyło moje pokolenie. Dalej już była niedostępna, nie dla nas dostępna: czysta, daleka woda. Między nami i wodą; na szczycie drewnianego masztu, ozdobiony okrętową liną - unosił się dzwon. Jedno, co mogliśmy zrobić, to uderzyć w dzwon! Pamiętajcie jednak, że za użycie owego dzwonu grożą kary.

Grzywna i areszt. Grzywna. I areszt. Areszt i grzywna. Zatem nie poloneza tańczyliśmy, i nie mazura, ale rondo. Da capo al fine.

N

Najstarszy przy stoliku

Małego Janusza Minkiewicza (trzyletniego? czteroletniego?) - straszono Witkacym. Działo się to najpewniej w Petersburgu, w dawnym mieszkaniu jego rodziców. Z rzadka, a wyobrażam sobie, że było to pod wieczór, bywał tam - Witkiewicz. Postać jego, czy to z powodu czarnych wąsów, czy demonicznych rysów, czy osobliwego sposobu poruszania się - napawała małego Minia przerażeniem. Rodzice wykorzystywali to, i, jak sądzę, niejedna kasza manna została wciśnięta w chłopczyka tym sposobem: „Czekaj, czekaj, przyjdzie pan Witkiewicz, to zobaczysz!”

Matkę moją straszono już osobiście Minkiewiczem.

Nie pamiętam, żeby Janusz się kiedykolwiek spieszył. Żeby biegł na przykład. Nigdy. On kroczył powoli, na ogromnie długich nogach, jak spowolniały bocian w pościgu za senną żabą. Nie pamiętam też, żeby nerwowo łypał oczami albo żeby robił jakieś miny. Zazwyczaj spoglądał na człowieka uważnie, znad okularów, spoglądał olbrzymimi, niezwykle dobrymi oczami, i powolutku-rzucał dowcip. Ale dowcip ów był lotny jak strzała. Marian Hemar, którego poznałam ładne parę lat temu w Londynie, zwierzył mi się, że Minkiewicz jest jedynym polskim satyrykiem, któremu zazdrości. I rzeczywiście - komentarz polityczny, choć nie pisany, lecz mówiony, był wielką Minkiewicza specjalnością. Kiedy Mieczysław Rakowski wszedł do rządu, Minkiewicz rzekł krótko: „O jeden gabinet za wcześniej”.

Ale i dawniejsze, niekoniecznie polityczne, pointy Minkiewicza nie straciły blasku.

Taki choćby wieczór: Siedzieliśmy swego czasu w Spatifie i piliśmy wódkę. Był Adam Ważyk, Minio, no i ja. Ważyk, ożywiony, rozprawał o fleksji bułgarskiej. Jakoś koło północy przyłączył się do nas młody człowiek z Podkarpacia, cokolwiek zakompleksiony. Speszżyły go niuanse literatów i postanowił pochwalić się sobą, swoim. Jakoś tak mu wyszło, że zabrał się za Tatry. Za niebotyczne jakieś szlaki i sportowe wyczyny. Bardzo to się już robiło nużące, kiedy Minio spojrział nań po swojemu i rzekł: „Młody człowieku, z tematyki alpejskiej interesuje mnie wyłącznie Yeti”.

Przywykło się uważać Janusza Minkiewicza za „pisarza milczącego”. To fakt: od kilkunastu lat (od „Stańczyka” właściwie!) nie pisał satyry, żył głównie z przekładów. Nawet kiedy proszono go o wywiad, odpowiadał zwykle: „I tak tego nie wydrukujecie”. Satyra aluzyjna, mglista, taka, jaką uprawialiśmy w

STS-ie, czy początkowo w „Egidzie” - była mu obca. W gustach i nawykach satyrycznych pozostał wierny dawnym swoim szopkom. Tam nazywało się rzeczy i ludzi i po imieniu. („Bek, to po prostu rym męski” - pisał Słonimski).

Tak więc był Minkiewicz pisarzem nie piszącym. Ale czy był pisarzem milczącym?

Oczywiście - nie. Uważam, że tak jak Arystoteles oświecał swoich uczniów na spacerach, tak Janusz oświecał nas przy kieliszku wódki, a później - przy szklance herbaty. Nie mają racji ci, którzy przypisują mu wyłącznie stare dowcipy. Kiedy, swego czasu, padł któryś z zalotników Lody Hałamy, to słynne wówczas powiedzonko „pośliznął się na Lodzie” - przypisywano, oczywiście, Miniowi. Przypisywano mu również dowcipy cudze („Dziś flagi” - Swiatopełka Karpińskiego). No i słynny komentarz do któregoś ze wstrząsających filmów wojennych: „Ja to widziałem w kolorze!” Tymczasem był on również autorem point na wskroś nowoczesnych, czarnych jak najczarniejszy Kafka.

Pamiętam, w latach sześćdziesiątych, ogromnie często chodziliśmy na rozmaite msze i pogrzeby. Były to takie czasy, kiedy umierali głównie piękni dwudziestoltni. I oto po którejś z takich uroczystości staliśmy z Januszem przed kościołem Świętego Krzyża, i nie wiedząc, w którą pójść stronę, milczeliśmy z cicha.

Nagle Janusz powiedział: „Wiesz, kiedy umrzesz, wydaję twoje listy”. „Zwariowałaś?” „Skąd! To przecież wy umieracie, nie my”.

Tak. Powiadam więc, że mrówcza praca Minkiewicza, jako historyka obyczajów i jako artysty, nie polegała na tym, żeby pisać. I leż to ludzie ton papieru zapisali i nic z tego nie wynikało!... Jego praca polegała na tym, żeby z tych dwóch miast - z Warszawy przedwojennej i powojennej - skleić jedno miasto. I polegała też na tym, żeby nie pisząc - uczyć rozumu: to tak samo, jakby pisał. Gdzież jest dzisiaj, Mini, ten najmniejszy w świecie uniwersytet, ten najcelniejszy krótki kurs - Twój stolik kawiarniany?... Janusz Minkiewicz, w tych czasach, kiedyśmy się spotykali najczęściej, prowadził tryb życia pedanta: budził się koło jedenastej. W południe włączał telefon. Potem spacer po Krakowskim. Gazeta. Obiad u „Literatów”. Książka. Jeśli praca - to też - po południu. Wieczorem - nierzadko - kino. Później - co noc prawie - „Spatif”. Tam, w „Spatif”, było jego królestwo. „Jestem najstarszy przy stoliku” - powtarzał z upodobaniem. Swoiście też korzystał z owej roli. Nigdy na przykład nie pozwalał nam dotknąć swojej gazety, aż sam jej od deski do deski nie przeczytał. Nie pozwalał zajmować swego miejsca przy stole ani nie pozwalał się popychać na odwiecznej spatifowskiej kanapce (słynne: „Czy mogliby się państwo trochę ścieścić?”) Nie pozwalał też zabierać swego „menu”. Jego karta musiała czekać nań tak długo, aż On przyjdzie. Mimo to ludzie bezdomni, lub półbezdumni, ci wszyscy, którzy jedzą obiady klubowe lub nie spieszą się do domu, mieli w nim prawdziwego ojca, kochanka, brata, kolegę, bawidamka - no, kogo wolicie.

Oczywiście byliśmy snobami.

Kiedy w mieście zaczęli się pojawiać chłopy z akademika, Janusz rozglądał się niespokojnie: „Czy to ktoś z towarzystwa”? - popytywał. Pamiętam, któregoś dnia dostałam od kogoś takiego maskotkę czy figurkę po ciotce. Nazwijmy ofiarodawcę - „N”. Janusz włożył okulary, obejrzał cacko i wymruczał: „To dziwne. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że N. może mieć ciotkę”.

Nie oszukujmy się jednak. Nasz snobizm nie przypominał snobizmów mieszczańskich. Zbliżony był raczej do pychy wielkich rodzin linoskokczków cyrkowych lub sławnych klanów aktorskich. Snobizm mafii.

Wystarczy wspomnieć dwie cudne Skarżanki, dwóch Janczarów, niezliczonych Damiękich i Rapackich. Samych Kreczmarów mieliśmy kiedyś trójkę przy jednym stole.

Czym Janusz Minkiewicz wyróżniał się wśród tych wszystkich ludzi na pierwszy rzut oka? Otóż wyróżniał się tak zwaną prezencją. Pańskością. Wielkim stylem. Więc na koniec - taka opowieść:

Jak wiadomo, w czasie „tańczących pięćdziesiątek” pewni ludzie sporo pili. I wówczas to, na jakiś czas - kilku miesięcy, czy kilku lat - utarła się „na szlaku” taka moda, żeby na ostatnią godzinę nocy wpadać do „Melodii”, czyli dawnego „Paradis”. Szczególnie gustowała w tym artystka i szamanka - Barbara Wrzesińska. Nie było takiego wieczoru z Basią, który nie skończyłby się okrzykiem: Do „Melodii”, do „Melodii”! Barbarę otaczał, naturalnie, kłęb mężczyzn, a w tym kłębie, bywało, znajdował się i Janusz.

„Melodia” jednak, vel „Paradis”, była lokalem szemranym. I cięć tamtejszy, który znał się na ludziach, wolał wpuszczać swoje towarzystwo szemrane, a nie jakieś zbyt dostojne i pałacowe. Toteż kiedy Janusz, w najlepszych zamiarach, lądował pod „Melodią” jako część kłębku, nieoceniony ów cięć wpuszczał całą spoconą hałasną bez krawatów, a do Janusza mówił cicho, lecz zdecydowanie: „Pan Redaktor tu nie wejdzie. To nie jest miejsce dla Pana Redaktora”.

W ten sposób, ocalony od późnonocnego znoju, Pan Janusz Minkiewicz chwiejnym, lecz pełnym bocianiego dostojęństwa krokiem - wracał spokojnie do swej pieczary na Starówce. I znów budził się w południe, i znów pił cieką herbatę, i znów zjawiał się między nami.

I to jest właśnie to. To jest to, na co ja po cichu liczę: Stanie Janusz u wrót niebiańskiego paradyzu, a tam mądry święty Piotr powie mu: „Nie! Pan tu nie wejdzie. To nie jest miejsce dla Pana Redaktora”.

0

Obiektywnie - Subiektywnie

Ojciec mój, Wiktor Osiecki, pianista, zaczął swoją karierę od tego, że występował w „Casino de Paris” we Lwowie, a skończył na tym, że grał w sali „Canaletta” w „Victorii”. Nic więc dziwnego, że przez całe życie imponowali mu ludzie solidnie wykształceni i w ogóle tak zwani intelektualiści. „O,” ten i ten, to mądry człowiek, skończył dwa fakultety” - mawiał tata, i z podziwem wznosił oczy do nieba.

- A ty, ojciec? Ty przecież też jesteś wykształcony.

- Ich bin ein Klaviermeister - odpowiadał. Były to także jego ostatnie słowa przed śmiercią.

Tak czy owak, jeśli chodzi o studia, ojciec mógł być ze mnie zadowolony: ja również skończyłam dwa „fakultety”.

I wszystko byłoby w porządku; gdyby nie fakt, że jeden z tych „fakultetów” to był Wydział Dziennikarski Uniwersytetu Warszawskiego. Nie pisałam o tym, ponieważ wyniosłam stamtąd zdecydowanie złe, i jakieś tępe, mulące wspomnienie. Poziom studiów był marny, a stosunki tam panujące - potworne.

Profesura bała się młodzieży, i vice versa. Wśród studentów kwitło donosicielstwo. Może mam „skrzywioną optykę”, ale nie znoszę wszystkich kolegów i koleżanek z mojego roku, od A do Z (oprócz Hani Żurek, oczywiście, ale ona jest na „Ż”).

...Tedy nie pisałam o tym, gdyby nie fakt, że właśnie na dziennikarstwie zetknęłam się z obowiązującym wówczas żargonem filozoficznym (1952-1956), a do żargonu tego należały dwa szczególnie modne pojęcia: „obiektywnie” i „subiektywnie”. Mijały lata, wiele przestarzałych formułek upadło, a te dwa jakoś kursowały tu i tam, wynaturzone, bądź uproszczone, i wiele poczyniły biedy. O jednej z takich „bied” chcę tutaj opowiedzieć, na własnym przykładzie. Cierpliwości!

Otóż, ani kiedy byłam dzieckiem, ani kiedy byłam dorastającą dziewczyną, wcale nie zanosilo się na to, że zetknę się z osobliwym światem obiektywniaków i subiektywniaków. Przeciwnie - mój ojciec uważał, że zajmowanie się polityką i w ogóle - ideologią - jest dla dziecka równie niewskazane, co na przykład - picie wódki. Temu swojemu niezmiennemu przekonaniu ojciec nieraz dawał wyraz. Zapamiętałam szczególnie dobrze dwa jego niestychane wybuchy.

Raz, kiedy byłam jeszcze w szkole powszechnej, doszła do mego ojca plotka, że na lekcjach religii (bo była jeszcze u nas religia) - ksiądz katecheta bije dzieci gumką. To właściwie nie było bicie, tylko swoiste strzykanie. Teraz robi się to przeważnie na śpiewie. Tak czy owak, ojciec dostał furii. Wpadł do szkoły, złapał księdza za sutannę, i wrzeszczał: „Panie!... Panie kochany, co pan wyprawiał..! Ja panu zaraz pokażę!... No!”

Drugi raz taki wybuch nastąpił u ojca już za moich lat gimnazjalnych. Było to, o ile pamiętam, gdzieś w okolicy wojny koreańskiej. Któraś z nauczycielek poleciła mi przygotować prasówkę. Poszłam do kiosku, kupiłam „Trybunę” i raźnie zabrałam się do wycinania fotek. Wszystko, by było w porządku, gdyby nie to,

że ojciec wpadł do pokoju, dojrzał rozłożoną na moim biurku gazetę, i z miejsca wpadł w szał. Najpierw zwymyślał oczywiście mamę, a potem pognął do szkoły. „Kto pozwolił dzieciom czytać gazety... Ja się pytam - kto?... Wy je macie uczyć, a nie politykować mi tutaj... Ja wam wszystkim pokażę! No!” Tak krzyczał mój ojciec, na schodach, a potem znikł w czeluściach „pokoju nauczycielskiego”. Musiało to wzbudzić niejako zainteresowanie wśród pensjonarek, ponieważ jedynym mężczyzną, jakiego widywały, był woźny, pan Koperski, i czasami - fizyk i człowiek anielskiej dobroci - profesor Ehrenfeucht. No tak: Tata stawał na głowie, żebym nie zetknęła się z ideologią ani z żadnym prawdziwym dramatem. Kiedy miałam dwanaście lat, zabrał mnie na swój występ do „Kameralnej” (akompaniował wtedy cudownej, tajemniczej Wierze Gran); kiedy miałam trzynaście - kupił tapetę podrabianą pod Disneya i zapisał mnie na lekcje pływania, a kiedy miałam czternaście - próbował namówić mnie na szybowce. Bylebym tylko tych gazet nie czytała! Jedyna impreza w stylu „soc”, na którą zezwalał, choć nie pochwalał, to był „Wyścig Pokoju”.

Mimo to, jesienią 1952 roku, znalazłam się wśród studentów Wydziału Dziennikarstwa, „najbardziej upolitycznionego wydziału w kraju”.

Czym to uzasadnić? Pojęcia nie mam. Na pewno na decyzję moją wpłynęło przeczytane gdzieś zdanie Kischa: „Dziennikarstwo jest najlepszą szkołą dla pisarza”...

Zdanie to wzięłam, oczywiście, dosłownie. Poza tym naprawdę - chciałam pisać, a to za sprawą czarującej polonistki naszej, pani Różańskiej. Na koniec wreszcie uważałam się wtedy za osobę niesłuchanie lewicowych poglądów. Wybuchło to wtedy, kiedy lekcje nauki o społeczeństwie zaczęła prowadzić z nami profesor Bornholtzowa, osoba chyba do znacznie wyższych zadań predestynowana niż belfrowanie w szkole imienia Skłodowskiej-Curie. Pod jej wpływem rozkochałam się w naukach Owena i Saint-Simona. Także wczesny Marks robił wrażenie. Do dziś pamiętam, że na jakąś ankietę rozsyłaną na uczelni, odpowiedziałam krótko: „Jestem socjalistką utopijną”.

Niezwykłe też wrażenie robiła na mnie Wanda Odolska. Była to komentatorka radiowa obdarzona przejmującym głosem, głosem szorstkim i nie za głośnym, w którym kryła się tajona pasja. Gdyby śpiewała, mogłaby zostać Marleną Dietrich. Odolska nie śpiewała jednak, tylko prowadziła audycje radiowe na najbardziej drastyczne tematy, atakowała nawet księży i biskupów. Ja, nic prawie nie wiedząca o świecie, nie czytająca gazet, wyobrażałam sobie, że niewiasta ta nieprawdopodobnie ryzykuje rzucając się na potężne bastiony kleru, i, cała w płomieniach, wsłuchiwałam się w jej szorstki, natchniony odwagą głos. Po południu, kiedy ojciec po staremu nastawiał radio i kazał mi słuchać orkiestry Haralda z Katowic z jedyną naszą swingującą piosenkarką - Marią Koterbską (patrz: „A mój chłopiec”...), ja, nielegalnie, przekręcałam falę i upajałam się przemowami mojej bohaterki - Wandy Odolskiej.

- „Kim chciałabyś zostać?” - Wandą Odolską.

Tak więc przyszłam na dziennikarkę z nielichym bałaganem w głowie i z dobrymi stopniami z nauki o społeczeństwie. Miałam dobrych nauczycieli, ale nie zetknęłam się z wielkim nauczycielem ostrożności i pokory - ze strachem. Czy wierzycie mi? Jesienią 1952 roku nie znałam strachu.

Moi ówczesni koledzy z dziennikarstwa nie tak może byli obkuci z Owena i Saint-Simona, ale byli znacznie lepiej przygotowani do życia. Znali stosunki i umieli sobie nieźle radzić w codziennej rzeczywistości uczelnianej, pomiędzy wykładem, masówką a zebraniem.

Ja, już na pierwszym roku, zarejestrowałam kilka błahych wpadek, które zlekceważyłam, a na drugim roku zdarzyła mi się wpadka na cały regulator (1953).

Oto był u nas asystent, który prowadził jakieś szczególnie niepopularne ćwiczenia. Czy może lektorat to był? Nie pamiętam.

Nikomiu nie chciało się chodzić do niego po zaliczenia. I oto pewnego dnia jeden biegły w piśmie student doszedł do wniosku, że bez trudu potrafi podrobić podpis owego nieszczęsnego asystenta. Zaczęliśmy się po kolei zgłaszać po ten fałszywy podpis, aż cała rzecz wyszła na jaw, no i zaczęła się awantura. Nie chcę czegoś przekręcić, ale było nas, grzeszników, chyba z kilkadziesiąt osób. Rozszalała się komisja

dyscyplinarna. Wzywali nas, najpierw chyba grupkami, a potem pojedynczo, i zasypywali pytaniami: „Jak do tego doszło, dlaczego to zrobiłeś”, i tak dalej. Trwało to i trwało. Wreszcie, po jakimś czasie, liczba wzywanych zaczęła gwałtownie topnieć. Na całym roku gruchnęła wieść, że kto złoży dobrą samokrytykę, temu dadzą spokój. I rzeczywiście. Ludzie wywijali się jeden po drugim. Nawet sam nieszczęsny „podpisywacz” wykręcił się w końcu sianem. Podobno jego samokrytyka była doskonała! W końcu nas - „wichrzycieli” - została mała garstka. Zaczęłam się bać. Powiedziałam wszystko w domu. Moja matka też zaczęła się bać. Postanowiłam złożyć „dobrą” samokrytykę. Ba, ale jak to zrobić? Widocznie nic sprytnego nie przyszło mi do głowy (mściło się rozhecowane dzieciństwo) albo po prostu było już za późno. Ktoś na moim „fakultecie” przeprowadził następujące rozumowanie: Na Wydziale Dziennikarskim stał się, co tu dużo gadać, skandal. Skandal moralny i polityczny. Niemożliwe jest, aby aż tym naszych studentów pragnęło splamić honor najbardziej upolitycznionej placówki uniwersytetu. Zatem sprawa jest jasna: grasuje wśród nich ktoś, kto ustawicznie mąci i sieje ferment. Ktoś, komu zależy na tym, aby na naszej właśnie uczelni zdarzały się skandale...

No tak. Od słowa do słowa postanowiono wyłowić najgorszych mącicieli, wywalić ich z ZMP, a następnie złożyć wnioski do rektora o usunięcie ich z uczelni.

Pointa jest jasna: nolens volens wpakowałam się do najściślej ekstremy.

Na zebraniu, na którym wyrzucono mnie z ZMP, było ponad sto osób. Ludzie wstawali i przemawiali, niektórzy kompletnie bez sensu, myśląc mnie z innymi koleżankami. Dołożyli mi sporo: że jestem agentem radia BBC (nieprawda), że mamy w domu biały telefon (prawda; z ciuchów), że chodzę do kościoła (wtedy: nieprawda), że śmiałam się na masówce po śmierci Stalina (nieprawda).

...Kiedyś marzyłam o tym, żeby napisać książkę o tych czasach. Punktem kulminacyjnym owej powieści miało być wspomniane dopiero co zebranie. Pamiętam, że kiedy po latach przeczytałam „Żart” Kundery, dostałam ataku bezsilnej, zazdrości: że niby ja też, ja też tak mogłam, ja też tak chciałam, a tu figa z makiem.

Nieprawda. Nic nie mogłam. Bowiem „Żart” Kundery, to nie tylko powieść ze świetną atmosferą, dowcipem, okrucieństwem, i tak dalej, ale „Żart” to także, książka z bohaterem. Moja zaś powieść byłaby tragikomedią bez bohatera.

No bo tak: najpierw widziałam moich kolegów jako potwory, a siebie jako biedną, skrzywdzoną dziewczynę. Teraz zaś widzę to inaczej: moi koledzy - to gromada groźnie zdeformowanych dzieci, a ja - idiotka po prostu.

Nie będziemy przecie pisać tragedii o kalekach. A tym bardziej - komedii!...

Jeżeli dzisiaj wspominam, i to z takim przytupem, niesławne owo zebranie, to ze względu na zasygnalizowane w tytule zwroty: „obiektywnie” i „subiektywnie”.

Stała się mianowicie dziwna, czy też dosyć normalna rzecz. Na długim, trwającym do późnej nocy „zebraniu wyrzucającym” - zaczęłam się nagle łamać. Każde słowo tego rodzącego się załamania mam w pamiętniku, ale przykro mi to czytać. I nudno. Tak czy siak, zaczęłam się łamać. I, od słowa do słowa, postanowiłam popełnić samobójstwo. Wymyśliłam sobie bowiem taką oto konstrukcję:

- A może oni, moi koledzy, mają rację? Może ja naprawdę, obiektywnie, jestem wrogiem ludu? Cóż znaczy to, że ja gdzieś tam, w głębi duszy, jestem socjalistką utopijną i wielbicielek Wandy Odolskiej, skoro na zewnątrz wydzielałam z siebie jedynie ferment, męt i czarną farbę? Tak, taki Oni na pewno mają rację. Może ja i subiektywnie, chcę dobrze, ale obiektywnie jestem wrogiem ludu, i jako taki- powinnam zginąć?...

Zaczęłam rozmyślać o samobójstwie. Gaz? Okno?...

...Zebranie, jak powiadam, skończyło się późno. Podniósł się słynny „las rąk”, wyrzucili mnie, i byłam wolna. Wyszłam na Krakowskie. Pod gmachem, w taksówce, czekał mój ojciec. Licznik wybił zawrotną sumę. Ojciec pocałował mnie w rękę i powiedział ni w pięć, ni w dziewięć: „Dobry wieczór pani”. Pojechaliśmy do domu.

Dobry mój znajomy, inżynier Zbigniew Pszczołkowski, specjalista w dziedzinie miar i wag, zwykł wznosić

przy wódce następujący toast: „No to - dla większej jasności w sprawie”...

Zatem dla większej jasności w sprawie - do powyższej historyjki dodaję co następuje:

Za właściwy początek odwilży, tej odwilży mitochłonnej i mitotwórczej, która mnie interesuje, uważam rok 1954 i słynne wówczas Plenum KC pod hasłem „Troska o człowieka”. Za koniec tego okresu przyjmuję zamknięcie „Po Prostu”.

Robię jednak, jak w przypadku obiektywniaków i subiektywniaków - spore wycieczki w czasie. W tył i w przód. Po prostu pewnych rzeczy nie da się bez podróży w czasie opowiedzieć (może nawet żadnych rzeczy).

Jeśli chodzi o moje dalsze losy, to było tak: zgodnie z przewidywaniami mamy, zabrali mi indeks i złożyli wniosek o wyrzucenie mnie ze studiów. Sprawa jednak zaczęła się ślimaczyć i przeciągać, a ja, na wszelki wypadek, chodziłam dalej na zajęcia. Zimą pięćdziesiątego czwartego roku powietrze jakoś zelżało, zaczęło się mówić o ww. trosce o człowieka, dziekan Litwin wstawił się za mną do zetempowców, i zrobiono mi w końcu „sprawę rehabilitacyjną” w Sądzie Centralnym ZMP. Trwało to znowu godzinami, uwolniono mnie z zarzutu trockizmu (który notabene przedtem wcale nie padł), i oddano mi legitymację, indeks i tak dalej. Bardzo to wszystko przeżywałam, ale w końcu miałam osiemnaście lat, rany pogoiły się na mnie jak na wilku i już w kilkanaście miesięcy później występowałam w podwójnej roli „Królowej Szantrapy” i „Psa Fafika” - w pierwszej inscenizacji „Zielonej Gęsi” w Klubie Dziennikarzy.

Został mi z tego wszystkiego, żeby było śmieszniej, dyplom ukończenia Wydziału Filozoficznego UW („...W dziedzinie dziennikarstwa”). Na dyplom ten powołałam się tylko raz: kiedy pewien impresario z Zielonej Góry nie chciał mi zapłacić za piosenkę, roztupałam się płacziwie: „Pan mi nie może tego zrobić, ja jestem magistrem filozofii!”...

Został mi też niejaki... hm... brak wrażliwości na drobne fałszerstwa. Ile razy, po napisaniu nowej piosenki, dzwoni do mnie kompozytor i mówi: „Słuchaj, mam straszny kłopot, nie mam twojego podpisu na egzemplarzu dla Zaiksu” - ja odpowiadam bez namysłu: „A to machnijże za mnie! Nie znasz mojego podpisu, czy jak!”

Ja sama w takich sprawach nawet nie telefonuję, podpisy Seweryna Krajewskiego i Adama Sławińskiego znam na pamięć. Muszę to kiedyś poćwiczyć na czeku, kiedy znów będą robili prawdziwe pieniądze. Tak, tak. Zbyt sroga kara nieraz demoralizuje przestępcę, zamiast go uwznioślić. Czasem myślę, że gdybym miała odpowiednie maszyny i urządzenia, to spróbowałabym wyprodukować jakieś sztuczne sto złotych. Ot tak, na złość.

„Oparty o...”

Ni stąd, ni zowąd przestała się mówić „oparty na...”, a zaczęło się mówić „oparty o...”. Na przykład: A teraz - montaż scenek dramatycznych oparty o „Łażnię” Majakowskiego!

Dlaczego „na zakładzie”, ale „oparty o...”?

Zagadka życia!

Operacja na otwartym sercu

Chłopcy, którzy nie umieją tańczyć, budzą niepokój dziewczyn. Czegóż to obawiają się dziewczyny? Obawiają się demonów spod znaku ideologii.

Chłopiec, który nie tańczy i w żaden sposób nie pakuje z muzyką, podejrzany jest o to, że pakuje z polityką. Boimy się, że któregoś dnia pójdzie na wojnę albo zginie na nie gotowej jeszcze barykadzie, wołając w głąb głuchej nocy: „Niech żyje”... O dziewczynach, które nie tańczą, nie piszę, bo nic o nich nie wiem. Chcę natomiast opowiedzieć o Witku Dąbrowskim, naszym koledze i przyjacielu z teatru STS, chłopcu, który nie umiał tańczyć, ale za to „opił się czerwonym winem z Majakowskiego powiatu”.

Witek urodził się w roku 1933. Wychował się w niewielkim mieście na Pomorzu - Kwidzynie. Jednakże

Kwidzyn nie doczekał się od niego piosenki. Witka poetyckie oko sięgało dużo dalej, poza mury zmurszałego krzyżackiego zamku i siwą wodę wokół rzewnego promu. Witka lata szczenięce przypadły bowiem na „czas nagana”, i ten to nieszczęsny czas nagana miał napiętnować jego wczesne wiersze, i, prawdę mówiąc, całe życie. („Czas nagana tak dawno odszedł - w żółte karty ksiąg zapyłonych... Pokoleniu, co od nas młodsze, ani nocny spór zadymiony, ani palce na stali spustów”...)

Z dwoma wielkimi ludźmi tego świata Witek zetknął się za wcześnie: z Napoleonem i z Majakovskim. Stary obrazek przedstawiający Napoleona, podpisany „Vive l'empereur”, stał w dawnym mieszkaniu rodziców Witka, gdzieś na etażerze, i napawał chłopca mieszaniną strachu i nabożnego szacunku. Rycinę tę nieraz Witek wspominał w rozmowach z kolegami, a także, po latach, opisał ją w wierszu: „Z notat paryskich 1957”.

Z Majakovskim, jak każdy z nas, Witek zetknął się w szkole. Tylko że Witek nie był „każdym z nas”, nie błądował z dziewczynami, nie grał w piłkę na łąkach, nie tańczył na przystani „Elektryczności”. Toteż tego dnia, kiedy pierwszy raz padło w szkole słowo „Majakowski”, Witek może i położył się spać, ale nie usnął. Długo kręcił się po dusznym pokoiku, aż wreszcie wstał, otworzył sekretną szufladę i wyjął z niej kajecik pokryty równym, pochyłym pismem. Były to Witka szkolne wiersze. Otworzył je na pierwszej stronie, chwilę poczytał, a następnie - energiczną, czarną krechę przekreślił. Na dole kartki napisał: „Nieważne”.

Nie wiem, czy starannie opowiadam tę dawną historię. Być może ludzie bliżsi mu niż ja znają ją lepiej. Ja jednak uważam ją za wydarzenie symboliczne, i to nie tylko dla całego życia poety, ale i dla całej gromady jego rówieśników, którzy pewnej nocy wstali z łóżka i zabili własny wiersz, list, obraz, wszystko jedno co.

Oto bowiem tamtego dnia, a właściwie - tamtej nocy, młody chłopaczek, poeta, Witek Dąbrowski, zaparł się swojego wiersza i wybrał wiersz cudzy. Zaczął się pierwszy akt operacji na otwartym sercu, tym tragiczniejszej, że dokonanej na sercu własnym.

Witek był nieprawdopodobnie utalentowany. Po obszarach języka podróżował jak kartograf. Czuł pejzaż, jak mało kto. Znał wagę symbolu, nigdy go nie nadużywał. Był w nim mistyk i realista („Z szczęściu desek żywicznych zbili mój stół, w szczęściu deskach zesuną w piaszczysty dół”). Czytał wiersze łańskich poetów, był za pan brat z Brechtem, a mity polskie znał na pamięć. Mimo to przegrał swoją pierwszą rundę, i to z kim? Z tym zwalistym mężczyzną o ciężkiej szczęce, który przez całe życie bał się pójść do dentysty. Czy to dobrze? - „Dobrze”! Drugą rundę, jak sędzę, Witek przegrał w Nieborowie (1948)! Chłopak miał kilkanaście lat, pisał dobrze, był drukowany. Ktoś wpadł na pomysł, żeby zaprosić to dziecko na zjazd pisarzy do Nieborowa. I oto znalazł się tam, szczupły, zielonooki, miętoszący w wiecznie spoconych dłoniach drugi już brulion chłopięcych wierszy.

Witek był urodzonym lirykiem. Gdyby w stosownej chwili, wracając z podwórkowego meczu, zziąjany i rozbawiony - zrzucił na ziemię nieszczęsny obrazek Napoleona, gdyby w zagapieniu, po majowej schadzce, nie odrobił lekcji z Majakovskiego, gdyby nie przekreślił swoich szkolnych wierszy - być może nigdy nie zaproszono by go do Nieborowa, i być może los oszczędziłby mu drugiej rundy.

Witka wiersze ówczesne były jednak już dość „postępowe” i dość zgrabne, aby zwrócić na siebie uwagę dorosłych kolegów.

Na pierwszym bodajże roku studiów, czy w szkole jeszcze, Witold pisał: „Kto umie serce nieść pod wiatr i dróg wybranych raz nie zmienia, kto dniom idącym patrzy w twarz i ostro widzi kształt marzenia, kto siłę zna, rosnącą w nas, kto w szturmów czas nie szuka cienia - kto podjął pieśń codziennych walk - ten jest z mojego pokolenia”.

Starsi koledzy, najślawniejsi spośród „pryszczatych”, ich kibice i przyjaciele, z otwartymi ramionami przyjęli młodego, który wraz z nimi pragnął „podjąć pieśń codziennych walk”. Autor tomiku „Słowa na co dzień” - Andrzej Mandalian, odniósł się do Witka z niezwykłą serdecznością. Także Wiktor Woroszyński, jako już w pewnym sensie mistrz i klasyk, bezbłędnie wyczuł w chłopcu przyszłego barda poezji partyjnej. On - odpowiedział gorącą, płomienną wzajemnością. Z wypiekami na policzkach czytał po nocach

wiersze starszych braci. Weźmy na przykład to:

*„Strzelaj,
towarzyszko «Auroro»,
niech pękają historii daty,
przestawiamy ziemię na tory
dyktatury proletariatu”.*

Albo to:

*„Gdzie budowa z kopyta rwie,
wielkie piece dech biorą w płuca –
tylko tutaj na pewno się wie,
że to jednak jest rewolucja”.*

Czy to nie porywające? Nie - niezwykle? Nie - inne niż wszystko, co było dotąd?

A to? A to? A tamto?!

A w dodatku, materia, z jakiej to było zrobione: gazeta, plakat, ulotka! A postaci, cóż za postaci rewelacyjne, nie wpuszczane dotąd na salony poezji („Notuj, majorze, notuj, szukaj, majorze, nici - żadna brunatna hołota nie powstrzyma naszego życia”). ...A te pejzaże, dotąd przez poezję odtrącane, te huty, te budowy! Pekiny, Koree...

Chłopiec czytał i robiło mu się gorąco. I stało się to, co się może nie musiało stać: oto, czego nie dokonał Majakowski, dokonali „Pryszczaci”, a czego nie dokonali „Pryszczaci”, chłopiec dokonał sam: już nie szkolnym papuciem, ale solidnym „butem zetempowca nastąpił na gardło własnego wiersza.

Kto był z Witkiem w teatrze studenckim w latach 54-57, ten na pewno pamięta, że było dwóch Witków. Jeden pisał prześliczne piosenki i wiersze, a drugi układał kamienne strofy. Piosenki Witka były jak młode dziewczęta, które nagle rozpuściły ciasno splecione warkocze i hasają sobie swobodnie.

„Księżyc burym niedźwiedziem z mokrych traw się gramoli, wakacyjnie po łąkach się błąka” ... - pisał Witek ku ucieście studenckiej publiczności i ku radości muzyków, których cieszyła potoczysta, płynna strofa.

Ale tuż obok Witka Pierwszego, prawdę mówiąc, w tym samym pokoju, przy tej samej maszynie „Olivetti”, siedział Witek Drugi, spychał kolegę ze stołka, i kazał mu pisać inaczej, partyjnie i po męsku. Dla Witka Wewnętrznego, dla tego człowieka, który tkwi jeszcze głębiej, pod poetą, ta ustawiczna walka dwóch strof, niczym walka dwóch wiar, musiała być prawdziwą udręką. Nieraz, bywało, modlił się żarliwie o śmierć tej pierwszej, „nieposłusznej” strofy:

*„Ty mi sylaby wierszy połam,
i podepcz je, i na nich stań...
Niechby się stało, o co wołam
czułymi kadencjami zdań...”*

Witoldowi Dąbrowskiemu nigdy nie udało się zabić w sobie liryka. Ale robił, co mógł. Wprowadził do codziennego języka STS-owców słowo „agitka” i słowo „teatr-gazeta”. Sam, niemal w każdym przedstawieniu, wychodził przed kurtynę, i jak przystało na ascetę - bez żadnej inscenizacji albo muzyki - deklamował wiersze. Zgarbiony, w czarnym swetrze z wyłożonym kołnierzykiem, niczym wieczny uczeń swoich mistrzów, mówił wiersze o dzielnych milicjantkach walczących ze spekulacją i o czerwonych ciałkach krwi, których mamy za mało. Deklamował z przejęciem, z tłumionym nerwowym przydechem, a w sposobie artykulacji próbował naśladować nagranie Majakowskiego, które słyszeliśmy w Moskwie. Recytując używał chętnie słowa „my”, zwracał się do publiczności w imieniu wszystkich Jazonów świata, w imieniu komunistów, i w imieniu swego rocznika. Delektował się słowem „pokolenie”. Zazdrościł starszym i nie ufał młodszym. „Rozgaworzonych chłopców z rocznika pięćdziesiąt matki obwozą w wózkach po cichych alejach” - pisał w roku 51, ani przeczuwając, jaką rolę odegrają te roczniki w dwadzieścia i trzydzieści lat później.

Witek, jako poeta, bardzo cierpiał. Można dziś powiedzieć, że wielkie autorytety Majakowskiego i

„Pryszczatych” zbyt wcześnie dobrały się do jego młodej duszy. Może rację miał mój ojciec sądząc, że nie należy tak nachalnie majstrować przy młodych?

Ba, z drugiej strony, przy kim z nas nie majstrują za młodu? Odchodzi przecież przy nas ta straszna robota, zwana pedagogiką, i od internatów angielskich do szkół Makarenki ćwiczą nas baty wychowania. Do tego dochodzą jeszcze hormony, wojna, polityka i cała reszta. Młodość jest potwornie ciężkim przypadkiem i chyba nie ma nikogo, kto by z tego wyszedł bez powikłań.

Osobowość

Tego jeszcze w „swingujących pięćdziesiątkach” nie było. Po jednej stronie mówiło się „dusza”, po drugiej - „jednostka”.

P

Pan

Niektóre nowe słowa przyniesione przez rewolucję słabo zaszczepiły się w polszczyźnie. O tyle, o ile przyjęły się zwroty „towarzysz” i „towarzyszu”, ale już na przykład z „towarzyszką” było gorzej. „No i jak, zadowolona jesteście, towarzysko?” - wciąż brzmiało topornie i nieco sztucznie. W NRD panuje podobno sympatyczny obyczaj: wszyscy członkowie partii mówią sobie per ty. U nas zwyczaj ten jest całkowicie nieznany. Krąży tylko pogłoska, że Adam Hanuszkiewicz każe się „tykać” wszystkim swoim pracownikom, ale w moim odczuciu ma to zgoła niedemokratyczny oddźwięk, przeciwnie - przydaje artyście atrybuty boskie. Przypomina mi to bardziej angielski zaimek „theu”, którym zwracamy się do Boga („Boski Adam”), niż niemieckie swojskie „du” (Dusiek, Dusia).

Na temat formy „wy”, która tak niezręcznie odbywała swój staż w polszczyźnie, krążyły w 56 roku niezliczone żarty i żarciki. Jeden był taki: W czasie jakiejś kursokonferencji, gdzieś w malowniczej nadmorskiej okolicy, dwoje działaczy zapłonęło ku sobie gwałtowną namiętnością. Było to prawdziwe „coup de foudre”, więc bez słowa poszli do łóżka. W chwili kiedy akt miłosny zbliżał się do zenitu, dziewczyna poczuła, że ma kochankowi coś niezwykle ważnego do zakomunikowania. Wydukała tedy: „Towarzyszu, możecie nie uważać”...

Czy chcę przez to powiedzieć, że język nie zdemokratyzował się? Nie, nie chcę tego powiedzieć, wprost przeciwnie. Bowiem kiedy zwrot „wy” kulał okropnie, zwrot „pan” - panoszył się i obejmował coraz to nowe tereny. Zwłaszcza wieś rzuciła się na „panowanie” jak wilk na winogrona. Nie mówimy już: „No jak tam, gospodarzu, obrodziło wam żyto?”, ale „Obrodziło panu żyto, panie Kwiatkowski?”... Nie mówimy: „Niech Celina poda teraz herbatę”, tylko „Pani Celino, pani będzie łaskawa podać herbatę”. Nie mówimy: „Ależ Marcysia przez zimę wyładniała!”, tylko: „Wyładniała pani przez zimę, pani Marcysiu”.

Uwaga: Przy okazji zaniknął gdzieś zwyczaj zwracania się do panien per „panno”. Może i nie bez powodu. Forma „pan” tak przylgnęła do zawodu rolnika i do zawodów pokrewnych, że stosujemy ją nawet w tak zwanej rozmowie „za oczami”. Nie obowiązuje nas to jednak w stosunku do osób innego zawodu lub stanu.

Powiadamy więc: - „Był pan Kwiatkowski, powiedział, że jutro przywiezie nawóz”.

Albo: - „Była pani Kowalska, obiecała nam gęś”.

Być może w tym solennym „panowaniu” brzmi nuta przesądnego prześlągiwania pani Kowalskiej i żebrania u pana Kwiatkowskiego, od których przecież jesteśmy uzależnieni.

W stosunku do innych sfer możemy sobie pozwolić, jak wspomniałam, na formy swobodniejsze.

Powiemy więc:

- Była Radziwiłłowa, mówiła, że Tonio zbiera kalkomanie. Lub:

- Był Harasymowicz, obiecał mi zadedykować swój nowy tomik.

Po roku 56, kiedy na dobre, poprzez radio i telewizję, zaczęła się szerzyć kultura masowa, przyjęła się też obyczaj łączenia zwrotu „pan” lub „pani” z imieniem, i to w stosunku do osób całkowicie obcych.

Na przykład (do piosenkarki): „Pani Marylu, jeśli wolno mi tak powiedzieć, jak pani się czuje w naszej miejscowości”?

Albo (do stuletniej staruszki): „Pani Genowefo, słyszeliśmy, że jest pani żywą kroniką swojego miasta”...

Lub też (do artysty estradowego): „Panie Janeczku, podobno jak pan coś powie, to boki zrywać!”

Pod formą tą, dziś już niemal obowiązującą, kryje się cały melanż obyczajowo-socjologiczny: połączenie naturalnego skrępowania (przecież to obcy człowiek), wymuszonej swobody (przecież to dwudziesty wiek) i drobnomieszczańskiej przytulności (Gemütlichkeit). Ale co robić, niech już tak będzie, skoro jest. Prawda, pani czytelniczko?

Pan Antoni

Są ludzie, którzy umieją nosić frak, i ludzie, którzy fraka nosić nie umieją. Prężą się i gną w wymyślne sposoby, a frak wisi na nich, jak wisiał. Podobnie rzecz ma się z honorem Polaków. Są ludzie, którym Bóg powierzył honor Polaków, oni go przyjęli, a jakże, ale nosić go nie umieją; leży na nich (że skorzystam ze skarbnicy słownej Wielkiego Językoznawcy) - jak siodło na krowie.

Słonimski z pewnością należał do tych, którym Bóg powierzył honor Polaków. I z pewnością umiał go nosić (choć sam o sobie mawiał skromnie - „Bóg mi powierzył humor Polaków”). Słonimski „robił w godności”. Nawet poza oczami nie mówiło się o nim np. Antek czy Słoń, tylko „Pan Antoni” (i to nie w tym poufałym „radiowym” stylu). Pan Antoni był figurą wielkiego formatu dla mojego pokolenia. Był niedościgłym mistrzem moralności. Był dyrygentem w sprawach sumienia. Pomyślcie, jak czysto brzmiał Jego głos, skoro przebijał nieustannie przez natręctwo oficjalności, przez krzykliwość nowoczesności i przez własne nasze: „Ja! Ja! Ja!”

Słonimski, jeśli dobrze pamiętam, nie wszystkich nas porywał jako poeta. Brak mu było tego szaleństwa słów i kolorów, którym porażał Tuwim, brak mu było czaru Gałczyńskiego, brak mu było nawet tej pewnej wiślaności, w której „robił” Broniewski. No a z awangardą wadził się jak uparte dziecko: Nie i nie! To nieważne. To wszystko nieważne. Dla mnie Pan Antoni byłby wielkim poetą, nawet gdyby nie napisał ani jednego wiersza. Był on bowiem poetą w działaniu. Był Don Kichotem politycznym. Stawiał na wartości pozornie przegrane, takie jak moralność, grał na strunie pozornie przetartej, takiej jak wierność, głosił hasła pozornie przebrzmiałe, takie jak prawda. Słonimski wysoko nosił głowę. Pamiętam, zetknęłam się z nim kiedyś w pensjonacie ZAIKS -u w Sopocie, na stryżku. Na stryżek ten chodziło się wtedy, kiedy chciało się coś przeprosować. Jedynym bowiem meblem, który tam stał, była wygodna „ogólnodostępna” deska do prasowania (tym razem prawdziwa, nie metaforyczna), no i, oczywiście, żelazko. Pan Antoni nierzadko tam się pokazywał. Wysoki i szczupły, o czaszce podobnej z tyłu do głowy orła, przyodziany w strój w stylu „informal”, lekko pochylony nad deską, prasował sobie chustki do nosa i angielskie koszule. Wykonywał swą pracę bez pośpiechu, a gdy natrafił na wdzięcznego słuchacza, chętnie perorował. Wygłaszał całe tyrady. Opowiadał „pozejmowane” felietony. Żartował. Wspominał. Daj nam Boże w naszym gronie choć jednego znajomego, który na trybunie bądź kazalnicy prezentowałby się tak, jak prezentował się Pan Antoni przy desce do prasowania!

...Z wiekiem Pan Antoni robił się kruchy i przezroczysty.

Ubywało w nim krwi i siły, ale nie ubywało w nim godności. Wyciągał wszystkie konsekwencje z tego, że dano mu być człowiekiem. Nigdy o tym nie zapominał. Zaś bycie Wspaniałym Człowiekiem ułatwiało mu niejako bycie Wspaniałym Polakiem. To cecha wielkości nie taka znowu częsta, bowiem rzadko nam się zdarza zapominać, że jesteśmy Polakami, natomiast zdarza nam się zapominać, że jesteśmy ludźmi. A zwłaszcza: że inni ludzie są ludźmi. No i to komplikuje całą sprawę.

Październik

*Bukiety wtenczas, jak wiadomo,
z czerwonych plotło się goździków.
Ojczyźnie naszej, krytej słomą,
nigdy nie dosyć Październików.
Przynajmniej raz na pokolenie
narodom feta się należy –
dudnienie bębnów, trąb trąbienie
i darcie szarpi dla żołnierzy.
Myśmy to mieli, nam to dali,
to do nas się uśmiechnął Bóg!
Ja, kiedy przyszłam, jeszcze grali,
ja, kiedy przyszłam, śpiewał róg.
Wyjrzały święte słowa z szuflad,
w sercach zakwitły amaranty,
tonęły prędko na dnie kufła
słowa wytartej propagandy.
Chłopa zbudzili, by brał ziemię,
kotchozowego zmiotli stracha,
i nowe nam wschodziło plemię
od Toeplitza do Himmilsbacha.
Myśmy to mieli, nam to dali,
to do nas się uśmiechnął Bóg!
Ja, kiedy przyszłam, jeszcze grali,
ja, kiedy przyszłam, śpiewał róg.
Nasze dziewczyny, jeszcze w pękach,
a każda już - Emilia Plater.
Co nam Bardotka, co Ordonka,
gdy woła nas - Ojczyzna. Mater!
A nasi chłopcy - te Witosy,
te komendanty, kaznodzieje...
Jakże to cudnie lwieją włosy,
kiedy kto chłopcu da nadzieję.
Myśmy to mieli, nam to dali,
to do nas się uśmiechnął Bóg!
Ja, kiedy przyszłam, jeszcze grali,
ja, kiedy przyszłam, śpiewał róg.
Ja - wychowana bez historii,
pomiędzy Marksem i matczyskiem,
ja nie wiedziałam, co tak boli,
gdy agitator idzie rżyskiem...
I nagle patrzcie - parlamenty,
O demokracji dyskusyje...
- Kto ich nauczył, Panie święty,
jak to w człowieku długo żyje!
Myśmy to mieli, nam to dali,
to do nas się uśmiechnął Bóg!
Ja, kiedy przyszłam, jeszcze grali,*

*ja, kiedy przyszłam, śpiewał róg.
Bukiety wtenczas, jak wiadomo,
z czerwonych plotło się goździków.
Jeszcze mi dzisiaj w oczach słono,
kiedy się nagłe budzę - w krzyku.*

Plastyczką być

Można było być malarką, ale nie być plastyczką. Można było być plastyczką, a nie być malarką. Można było wreszcie być malarką i plastyczką w jednej osobie. To znaczy: malować do południa, a po południu - uprawiać (prywatnie) pewien styl.

Chodzą mi po głowie takie dziewczyny, jak: Kalina Godlewska, Krystyna Cierniak, Barbara Jonacher, Teresa Zygadlewicz - z Warszawy... Hanka Fedorowicz, Ela Chwalibóg, Teresa Pągowska - z Gdańska... Krysia Zachwałowicz, Lidia Skarżyńska, Roma Ligocka - z Krakowa.

O ile, jako się rzekło, malarka z rana malowała - u Cybisa, u Eibischa, u siebie samej - gdzie ją los rzucił - o tyle resztę dnia niemal bez reszty wypełniała sobie wynajdywaniem, przerabianiem, a przede wszystkim farbowaniem ciuchów.

Umiejętne korzystanie z nielicznych farbiarni chemicznych, a także farbowanie własnoręczne - plastyczki miały w małym palcu. Były mistrzyniami farbowania. Gdyby nie to - nie miałyby co włożyć na grzbiet.

Najważniejszą bodajże sprawą były spódnice. Otóż żadna z tych, które były dostępne na rynku, nie miała prawa zawisnąć ha plastyczce.. Ich jaskrawe socrealistyczne kolory, ceglasta czerwień, kapuściana zieleń lub prześcieradłowa biel, obrażały po prostu gust, światopogląd i duszę plastyczki: były nie do przyjęcia.

Należało zatem spódnicę kupioną na rynku najpierw wypruć z paska, pozbawić fałd, plis, czy innych zaszepek, słowem doprowadzić do pożądanego kształtu luźnego wora, a następnie tak długo moczyć, prać i miętosić w rozmaitych cieczach i wywarach, aż zmaltretowany łachman osiągał upragniony bury, brunatny, siny lub czarniawy kolor. Dopiero w czymś takim plastyczka mogła pokazać się na ulicy.

Oczywiście przed wyjściem na ulicę, plastyczka musiała się jeszcze odrobinę potargać, na ramię zarzucić worek po kartoflach, a na boscie nogi wzuć „trumniaki”.

Trumniaki robiło się tak: za parę złotych (mój Boże) kupowało się tenisówki, nożyczkami wycinało się z nich „część sznurowaną” (przypominało to drylowanie jabłek), a następnie tak uformowane czótenka farbowało się na sinoczarny (patrz - spódnica) kolor.

„Plastyczką być” - było bardzo wytwornie. Co do mnie, to ich świat, zwłaszcza świat Akademii, imponował mi nieprzytomnie. Ponieważ jednak o malowaniu jako takim nie miałam co marzyć, natomiast pruć, ciąć i farbować - nie bardzo mi się chciało - udawałam sobie czasami plastyczkę w inny sposób: lubiłam się przejść po ulicy z obrazem.

W czasach, kiedy pomieszkowałam na Wybrzeżu, gdzie odległości, jak wiadomo, są olbrzymie, byłam nieocenionym wprost rodzajem tragarza: można mnie było wsadzić do kolejki w Gdańsku z gigantycznym płótnem i odebrać gdzieś na peryferiach Chyloni, w niezłym nawet stanie. W ten sposób obraz przedostawał się z miejsca na miejsce jak cenny narkotyk - „na muła” (na mulicę), a i panienka była zadowolona.

Malarze lubią osoby, które się koło nich kręcą. Dostałam więc w tych czasach parę pięknych obrazów od Janka Banuchy, Włodzimierza Łajminga, a nawet od Franka Starowieyskiego („Poemat fibicha przy kolacji Kicha”).

(Uwaga: fibichowanie występuje tu jako czasownik, a Kich - jako nazwisko).

Mówiąc o malarzach płci męskiej, należy koniecznie zapisać, że słowo „plastyk” nie odnosiło się do nich w tym stopniu, co „plastyczka” do kobiety. Jakoś w ogóle jeszcze tego słowa nie było. Rozpanoszyło się dopiero w latach sześćdziesiątych i, z grubsza rzecz biorąc, oznaczało kogoś, kto utrzymuje się z robienia i sprzedawania różnych ładnych drobiazków. Natomiast za czasów „odwilży” - malarz, to był malarz. I

kropka.

Do wyglądu zewnętrznego malarz przywiązywał znacznie mniejszą uwagę niż plastyczka. Tyle że włókt się za nim nieprawdopodobnej długości szal, podobny do spranego chodnika. Albo na głowie, niby to przypadkiem, sterczał melonik z fioletową falbanką.

Dlaczego malarze mówią to, co mówią, albo robią to, co robią, tego nikt nie wie. Malarze porozumiewają się ze światem za pomocą ultradźwięków. My od biedy możemy powiedzieć, dlaczego ich kapelusze albo broszki wydają nam się ekstrawaganckie, ale oni nie potrafią opisać, jaką straszliwą nawałnicą jest dla nich nasz świat.

Malarz wchodzący do urzędu cierpi katusze już od progę. Wałą się na niego obrzydliwe bryły biurek, wstrętne dosłowności krzesłek (trzeba je ukrzesłować, aby je odkrzesłować), agresywne zwały zadów i łokci, nieznośne kubaturki szklanek i wałków od maszyn.

Malarze są najbardziej samotną grupą na świecie, i najbardziej wciąż obrażaną, bo ludzie nie wiedząc czemu wciąż udają, że rozumieją malarzy. Urzędnicy na przykład w naszych młodych czasach zaczęli się wdzięczyc do malarzy. Polegało to m. in. Na tym, że w kółko, z wielką uprzejmością powtarzali, iż rozumieją zwrot „malarstwo abstrakcyjne”. Nieprawda, nie rozumieli go! Dla malarzy malarstwo abstrakcyjne - to cały świat bardzo konkretnych przeżyć i przeczuc. Dla urzędników natomiast samo słowo „abstrakcyjny” oznacza... „o niczym”, czyli nic.

Pewna dziewczyna powiedziała mi kiedyś: - „Wiesz, odchodzę od Genia, on wciąż rozmawia ze mną na tematy abstrakcyjne, po prostu czuję, że mnie nie kocha”. Otóż to.

Drugą nieuprzejmością, stale przez ludzi czynioną malarzom, jest mówienie o kolorach. Do publiczności bowiem dotarła informacja, że obraz nie musi przedstawiać cioci Ziuty jak żywej, natomiast nie dotarła jeszcze druga informacja, co mianowicie obraz ma przedstawiać, a jeżeli w ogóle nie musi niczego przedstawiać, no to jak to właściwie jest, do licha, z tymi obrazami?

I ludzie ubrdali sobie na własną rękę, że obraz ma przedstawiać... kolory. I chcąc być uprzejmi mówią: „Och, Mistrzu, to naprawdę piękne! Naprawdę przejmujące zestawienie kolorów”. Tyle ma ten komplement sensu co zwrot: „Och, cudne połączenie przysłówków”.

Trzeci sposób, w jaki ludzie stale obrażają malarzy, to opowiadanie żartów o malarzach. To znaczy: powtarzanie pewnych rzeczy, które malarz powiedział na serio - jako żarty.

Na przykład: swego czasu Adam Pawlikowski załatwił malarzowi, Edziowi Krasieńskiemu, chałturę: była to okładka w piśmie „Polonia”. Edzio pracował solidnie, złożył projekt na czas, ale wrócił z redakcji załamany: rysunku nie przyjęli. Więc Adam:

Co się stało, Edziu, coś ty im tam namalował?

Edzio: - Górala namalowałem. Przepięknie.

Adam: - No to czegoś chcą?

Edzio: - Ale, Adasiu, ty nic nie wiesz! Ten góral był nagi.

...Pierwszym malarzem w moim życiu był Jasio Banucha. Ja byłem jeszcze w szkole średniej, Jasio studiował na pierwszym roku Akademii. „Odwilż” dopiero czaiła się po kątach. Spotkaliśmy się w Domu Harcerza na Kępie. On prowadził z dziećmi zajęcia plastyczne, a ja chyba - sportowe: w.f.

Włóczyliśmy się nad Wisłą i Janek opowiadał mi o sztuce. Był, oczywiście, pod silnym wpływem żabojadów: pił pod Cezanne'a, śmiał się pod Colas Breugnona, płakał pod Rouaulta. Cenił z profesorów Eibischa, a kiedy skończył 21 lat, popłynął barką do NRD i chyba jeszcze dalej.

Janek nie był piękny. Był krótkowzroczny jak nietoperz, leciutko się jękał, a na widok jakiegokolwiek piękności lub śmieszności oblewał się rumieńcem jak panna. Twarz Jasia (mama moja mówiła o nim: „Jasio Malarzyna”) była dość szeroka, ozdobiona mocno wystającymi kośćmi policzkowymi. I otóż ów słynny rumieniec Banuchy miał to do siebie, że obsiadał Jasiowi głównie te kości, i nie posuwał się dalej! Mocno zarumieniony Janek przypominał zatem modną dziś lalkę amerykańską, tak zwanego paszczaka. Z opisu tego chyba dość jasno wynika, że Jaś nie wchodził w życie dziewczyn jako Humphrey Bogart, ani jako Zły Chłopiec (model Jerzego Skolimowskiego), tylko jako (nie mniej popularny) - Korepetytor.

Wchodził jednak ochoczo i z niemałym powodzeniem. Wzrok jego, zmacony przez nietoperzowatość, rumieniec i alkohol, potrafił wypatrzeć pojętną uczennicę i na zebraniu, i w kościele, i - o zgrozo - w gimnazjum żeńskim. Kiedyś zgadałam się z Elą Czyżewską, że i ona brała Cezanne'a u Banuchy. Co robić, jak coś jest dobre, to sobie to ludzie wydzierają!...

Wybuch artystyczny Jasiowego pokolenia, jak na polskie wybuchy przystało, wystąpił już w „Arsenale”. Cała wystawa zrobiona była na zasadzie „na złość babci uszy odmrozę”. „Babcią” nazwałabym podstarzałą muzę socrealistów: paletę o optymistycznych, jaskrawych barwach, z dwojgiem wnucząt w tle: Kielnią i Młotem.

Malarze „Arsenału”, z Celnikiem na czele, kanonadą talentów wbili się w landrynę Starego. Postawili na rozpacz, bunt i gniew: na prawdę. Na prawo do własnego świata.

Co się z nimi później porobiło? Ba! Pointę dopisało życie. Inną dla każdego, dla każdego - inną.

Przedwojna

Chcę opowiedzieć o kilku ludziach, którzy w swojej pracy artystycznej czy w sposobie bycia zachowali, bądź odtworzyli, przedwojenny styl i smak. Dziś powiedzielibyśmy: styl retro.

Ale najpierw wyznam, że razi mnie słowo „retro”, kiedy próbuję je odnieść do polskich spraw. No bo tak: styl retro zakłada pewną patynkę, omszałość, totalną nieaktualność, która dlatego właśnie wzrusza i bawi, że wyszła z użycia. Powiedzmy: dorożka, orient-ekspres, pacholek do butów.

Natomiast u nas wszystko od początku postawiono na głowie: zaraz po wojnie, na skutek wulkaniczności przemian politycznych, pewne żywe jeszcze symbole minionej epoki gwałtem przerobiono na retro. Człowieka myślącego jakimikolwiek kategoriami zaczerpniętymi z dwudziestolecia międzywojennego wrzucano do propagandowego kociołka, z którego wynurzał się w przebraniu Augusta Bęcwałskiego lub w innym kostiumie z szopki. Jeśli przejrzeć teksty satyryczne z drugiej połowy lat czterdziestych, to pełno tam zidiociałych starych ciotek, zbankrutowanych kawiarnianych ministrów i sklerotycznych eks-posiadaczy ziemskich. Nieszczęsny biały koń generała Andersa był wówczas chyba najbardziej wyszydzonym zwierzęciem w Europie. Opowiadał mi swego czasu Franciszek Starowieyski, że kiedy zapragnął namalować w ASP wielkie paneau pt. „Powrót generała Andersa do Polski”, musiał zastosować potwornie drapieżną groteskę, żeby przebić się przez grono profesorskie. Nawet koń na tym obrazie był kartem reakcji.

Pech chciał, że cała ta poetyka Augusta Bęcwałskiego i różne inne tego rodzaju figle, to było retro siłowe, retro sztuczne, i całkowicie ludziom obce. Ludzie się jeszcze z poważnych spraw tamtych czasów nie otrząsnęli, przeciwnie - pewne kwestie uważali za całkiem aktualne, a nawet palące, i chętnie opowiedzieliby o nich swoim dzieciom lub rozwinęli je nawet, gdyby nie strach po prostu.

Tak więc przedwojna, zaraz po wojnie, nie była jeszcze retro, była przeszłością. Bliską i ważną przeszłością, wciśniętą w pozorne retro.

Inaczej w czasie odwilży.

Były to czasy, kiedy oczy większości ludzi, i młodych, i starszych, zwróciły się ku przyszłości, a przyszłość tę niemal wszyscy widzieli jako socjalizm o ludzkiej twarzy. Przedwojna przestała być krwawiącą raną i poważną kontrpropozycją. Zaczęła nabierać patyny i miłego wdzięku niktącego malowidła.

I właśnie wtedy nadeszła właściwa chwila na retro. Można było, bez szkody dla nikogo, przez krótkie parę lat pobawić się, potęsknić i pośmiać „na dawną nutę”.

Pojawiły się dziesiątki młodych i starych artystów, którzy wciągnęli do swego repertuaru „złote przeboje dwudziestolecia”. Sempoliński przypomniał Chaplina, Alina Janowska - Marlenę Dietrich. Repatriował się Lopek Krukowski i Petersburski, pojawił się - wśród młodych - nostalgiczny „Cyrk Tralabomba”

Afanasjewa, ja zasiadłam do kołażu-giganta „o tym, jak się dawni Polacy nosili”, a młode panny zdające do szkoły teatralnej śpiewały „Ta mała piła dziś” - i zdawały egzaminy.

Z tych najmłodszych mistrzynią stylu retro była Barbara Rylska.

Rylska nie była amatorką, przeszła przez jakiś zespół taneczny (czy nie „Malwy”?), przez szkołę teatralną i przez STS, ale jeżeli chodzi o kabaret dwudziestolecia, niczego jej tam nie nauczyli. W tej dziedzinie była po prostu od dziecka, od kołyski - gotowa. Pytałam ją kiedyś: - „Baśka, skąd ty to wszystko wiesz?” A ona: - „Nie wiem, skąd wiem! Może matka mi coś śpiewała, może jakieś nuty stare w domu były. Nie wiem”...

Tak czy owak, młodziutka Barbara Rylska była od stóp do głów „z epoki”: począwszy od czarnej figlarnej grzywki, poprzez charakterystyczny, wysoki, a z chrypką, timbre głosu, poprzez zalotność subretki z jaśniepańskiego dworu aż po lumpowską drapieżność z piosenki „Giczołami sobie kiwam” - była Rylska wielką niespodzianką naszego współczesnego - choć tak niewspółczesnego - kabaretu (ale tak to z polską przeszłością bywa: nigdy nie mamy jej dość, i wracamy po nią, choćbyśmy już ujechali kawał drogi. Widocznie jest nam do czegoś, potrzebna).

Drugim mistrzem stylu retro, który mi na myśl przychodzi, jest operator filmowy, Mieczysław Jahoda. Nie uprawia on tego stylu w swojej pracy zawodowej, natomiast, jeżeli się go słucha w towarzystwie, ma się wrażenie, że człowiek siedzi u Lourse'a, a nie na dworcu Łódź Fabryczna. Sposób opowiadania dwudziestoparoletniego (w czasie odwilży) Mietka Jahody, jego artykulacja, uśmiech, wszystko to w sposób mistrzowski tkwiło w przedwojnie, a nawet - o zgrozo - w przed-przed-wojnie. Kiedyś jechałam z Jahodą do Krościenka czy do Nowego Targu. Mijaliśmy miasteczka i kurorty znane mu z najwcześniejszego dzieciństwa, bo on z Galicji. I nagle Mietek mówi: - „Chcesz, opowiem ci, jak wyglądał tu przed pierwszą wojną obiór królowej motopompy”...

I opowiadał.

Kiedy myślą o takich zjawiskach, jak Baśka Rylska czy Jahodą, dochodzą do wniosku, że historia jest jak dziadek do orzechów. Nie wszystko miażdży z jednakową siłą. Jedne „okruchy dziejów” wypadają z metalowej paszczy zmielone na miazgę, a inne - wytaczają się w całkiem niezłej formie, w kształcie orzechowej łódeczki. Niektóre wątki, niektóre nitki nie rwą się tak bezlitośnie jak inne. Tacy ludzie, jak Baśka i Mietek, są jak żywe, nie uszkodzone paczki, przesyłki z przeszłości, z dobrze czytelnym adresem: „Potomni!”

A dalej dopisek: „Uwaga, kryształ”.

Skoro mowa o przedwojennych ludziach, jedna jeszcze wdzięczna postać ożywa mi w wyobraźni: Hanna Skarżanka.

Czarnooka i czarnobrewa, dziewczyna z Wileńszczyzny. Szlachcianka. Muza artystów i poetów.

Uciesznica i cierpiętnica.

Z opowiadań Janusza Minkiewicza pamiętam jej najwcześniejszą młodość - „chmurną i durną”. Z własnych, niezapomnianych wspomnień odtwarzam Hankę późniejszą: tę narkotyczną i liryczną, która śpiewała w „Szpaku” słynną „Szafirową romancę”, tę dramatyczną i posępną, która (z jakimże taktem!) grała w moich „Jabłoniach” na pół oszalałą matkę zaginionego syna, i wreszcie tę melancholijną panią, którą całkiem niedawno spotkałam... w Domu Kultury na Mokotowie.

Natknęliśmy się na siebie przypadkiem, ot, uczestniczyliśmy w jury jednej z niezliczonych młodzieżowych imprez. I nagle Hanka ożywiła się. Zamiast odfajkować robotę, stawiać cenzurki i popijać kawę z fusami, zaczęła opowiadać o swojej pracy z młodymi, i o tym, jak uczyła ich recytować ballady Mickiewicza.

I nie wiem czemu (nie wiem czemu wtedy) sztuka Hanny Skarżanki ułożyła mi się w jakąś przejmującą całość, pozazdrościłam tym dzieciom, które od niej uczą się Mickiewicza, bo przecież to jest trochę tak, jakby wpadła do nich osobiście Świtezianka i wytłumaczyła mgłę, dalekość i tajemnicę. (A przy tym - z jaką dykcją!)

Śmiecie się, śmiecie, a przecież historia nasza jakże rzadko układa się w takie zwarte, sensowne wątki... Znacznie częściej nie układa się w nic. Jest abrakadabrą. Coś się zbiera, coś się nakłada, ale jest to jakby łańcuch następujących po sobie śmierci klinicznych i reanimacji. Umieramy, a następnie rodzimy się znowu, ale pod nowym adresem i nazwiskiem, z nową „personalną ankieta” i jakże często - z zanikiem

pamięci.

Ci ludzie, którzy przechowali coś (cokolwiek) są na wagę złota.

Pewien chłopak z moich roczników, Julek Pilpel, przechował na przykład... poczucie humoru.

Julek był niewysoki, włosy miał kręcone jak wielkanocny baranek i ubierał się byle jak. Na większe okazje jednak wkładał nieprawdopodobny garnitur w kolorze wściekłej sałaty i koszulę świeżo nakrochmaloną, koloru różowego. Niebawem się też czasem nadymał. Na co dzień jednak należał Julek do tak zwanych „Ludzi zdolnych do wszystkiego”. Żeby mieć jakieś zaczepienie, pracował w Teatrze Żydowskim jako aktor, a w wolnych chwilach (których miał mnóstwo) - komponował piosenki. Jego melodie były śliczne. Gdyby wkładał w to zajęcie więcej energii i gdyby choć trochę pochodził za interesami, byłby dziś sławny i bogaty. Julek bimbał sobie jednak na „organizacyjną stronę” tej roboty i używał swego talentu głównie do zabawiania towarzystwa. Czasem, kiedy zdarzyło nam się we wspólnym gronie siedzieć w lokalu z muzyką Julek z uporem maniaka przyłączał się do orkiestry albo po prostu strącał ze stołka zdumionego pianistę i do rana wygrywał przypadkowym słuchaczom swoje rzewne melodyjki.

Julek w domu telefonu nie miał, więc kiedy go chciałam złapać, dzwoniłam do biura, czyli do teatru.

Przez kilka lat ciągnęliśmy ten sam dialog: - Dzień dobry panu, czy to Teatr Żydowski? - W samej rzeczy... - A są bilety? - Są. - W jakiej cenie? - Pani przyjdzie, porozmawiamy...

Żart szmoncesowy, bardzo już rzadki w naszym pokoleniu, miałam zresztą i ja za skórą: ojciec przywiózł go ze Lwowa. Tak więc w tym przypadku - trafił swój na swego. Ale Julek był w tym czasie doskonały, a ja grałam drugie skrzypce.

A propos skrzypce: zrobiliśmy z Julkiem jedną wspólną piosenkę do STS-u. Ku mojemu zdumieniu Julek potraktował sprawę niesłychanie serio: zaczął wpadać na próby i strofować artystkę oraz reżysera, Jerzego Markuszewskiego, czego Jerzy Markuszewski strasznie nie lubił.

Na domiar złego „Markusz”, niczego nie przeczuwając, zmienił nam w numerze jeden akord czy zgoła - jeden dźwięk. Myślałam, że mój kompozytor jakoś to przełknie, ale - otóż nie!

Pewnego popołudnia, na jakąś bardzo już ważną próbę, Julek wtoczył się do teatru w swoim jadowym garniturze i bez słowa zasiadł na balkoniku między cenzorami, żonami artystów itp. Kiedy piosenkarka, zgodnie z poleceniem reżysera „wzięła” nieszczęsną nutę, Julek ryknął z balkonu na cały głos: „Mówiłem, że cis!”

Zadrżałam. Próbę przerwano, a reżyser Markuszewski ukazał się w całej swojej krasie na scenie i grząc, i miotając błyskawice, ukazał Julkowi swoje słynne „białe oczy”, przed którymi trzęsło się całe Leszno i okolica. Resztką przytomności pojmowałam, że jeśli Julek natychmiast nie wyjdzie, teatr nasz, a wraz z nim całe nasze myślenie i jego kolosalna przyszłość - runą.

Oczywiście - Julek wyszedł. Przedtem jednak odwrócił się w drzwiach i powiedział: „O co chodzi? Ja tylko mówię, że cis”.

Mijały lata. Powoli dwudziestolecie jako retro wyczerpało się: jeszcze nakręcono „Nikodema Dyzmę”, jeszcze Magda Stebnicka zrobiła zgrabne przedstawienie piosenkowe w Krakowie, ale widać było, że sprawa traci rozpęd i że, na przykład, mody damskiej z tego nie będzie. Tymczasem, po raz wtóry, wraca do nas dwudziestolecie międzywojenne... w tonacji serio: okazuje się, że pewne myśli pomyślane wtedy trzeba koniecznie domyśleć do końca, pewne postaci - przypomnieć, pewne supły - rozsypać, pewne legendy - wydobyć z cienia. Trzeba porozumieć się co do Piłsudskiego, rozgryźć Witosa, rzucić snop światła na Sikorskiego. Trzeba wznowić setki nie wydawanych książek i odpowiedzieć dzieciom na dziesiątki pytań zatrzymanych w pół słowa.

Okazuje się, że pewne symbole odłożyliśmy do szuflad zbyt wcześnie. Zbyt gorliwie odwiesiliśmy kostiumy. Pochopnie pochowaliśmy na pół jeszcze żywych krewnych.

A więc dwudziestolecie międzywojenne jest znowu na serio... A to co serio - nie jest retro. To, co serio, da się bowiem jeszcze jakoś użyć, natomiast retro - da się użyć tylko jako retro. Taki charleston na przykład!...

Inaczej natomiast przedstawiają się w świadomości, zwłaszcza młodych, wczesne lata pięćdziesiąte.

Najwzniejsza część tamtej liturgii jest już martwa: trudno sobie dziś wyobrazić przodownika pracy w dawnym guście, matronę nadającą dziecku imię Bierut. uczennicę zwalczającą analfabetyzm na wsi, poetę nawołującego do zakładania spółdzielni produkcyjnych, studentkę opłakującą śmierć przywódcy, córkę demaskującą ojca jako wroga ludu - i tak dalej, i tak dalej.

Natomiast (uwaga, uwaga!) epoka wczesnych lat pięćdziesiątych zaczyna powolutku funkcjonować jako... retro. Oto dziewczynka szkolna przychodzi do mnie pożyczyć koszulę zetempowską (bo potrzebna jej do teatryku), oto moja koleżanka Ola próbuje urządzić prywatkę w starym stylu (zdarte płyty na 78 obrotów, „Szła dziewczeczka”), oto telewizja pokazuje zgrabny program piosenkowy z Józkiem Nowakiem, który ze łzą w oku przypomną „Przygodę na Mariensztacie” i podróż „osiemnastką” - itd., itp. I teraz, patrzcie, co się dzieje: „Budujemy nowy dom” jest retro, a „Czerwone maki” - nie są. „rozkułaczanie wsi” jest retro, a Witos nie jest, parowóz dziejów jest ciut retro, a Kasztanka nie jest... „Timur i jego drużyna” są retro, a „Kamienie na szaniec” - nie są.

No i bądź tu mądry!

Wniosek z tego taki, że nie tylko ułomny człowiek może pomylić daty. Daty same mogą się mylić!

Pojedynek

W naszych czasach odbywał się nie tylko pojedynek nowego ze starym, a potem - starego z nowym (tub odwrotnie)-.. Gdzieś bodajże w roku 1955 odbył się także prawdziwy, autentyczny pojedynek... dwóch zetempowców o śliczną hrabiankę. Rzecz działa się, oczywiście, w Krakowie.

Zenon Wiktorczyk napisał o tym balladę do „Szpaka”. Szkoda jednakże, że nie nakręcono filmu!

Pyzica

Pyzica to nuda, beznadzieja, brak perspektyw, międlenie kółko tego samego, jałowizną. Czasownik: pyzić się. Zapyziały - imiesłów czasu dokonanego.

R

Różne żony

Było w modzie, a jakże, przywożenie sobie cudzoziemskich żon: ze stypendiów, z wakacyjnych wyjazdów na winogrona i truskawki i z „delegacji”.

Amerykanki były rozpuszczone, Francuzki - pracowite jak myszki, Szwajcarki uczyły się polskiego, a wszystkie były bez przerwy zachwycone: Warszawą, zielenią, kolorem nieba, pieczywem, a przede wszystkim swoimi polskimi mężami. Nie tylko swoimi, zresztą.

Rosyjskie żony były przeważnie gruzińskimi księżniczkami. a ich życiorysy tak bogate, że nie powstydziałaby się ich sama księżniczka Dżawacha. Życiorysy te, opowiadane z wilgotnymi oczami, przy kieliszku domowego absyntu, miały moc czarodziejskich ziół: po pierwsze - zmieniały się lekko w zależności od słuchacza, a po drugie - obfitowały w taką masę przygód, że można było nimi napełnić wyobraźnię Agaty Christie, Karola Maya i Czarskiej jednocześnie. Roiło się tam od zaginionych klejnotów i sygnetów, pozamienianych dzieci, utraconych i odzyskanych nazwisk, kochanków półzasztyletowanych z miłości, nie dopowiedzianych szpiegów, złych ludzi, nieszczęśliwych kobiet, nieznanych poetów rozmawiających ze Stalinem, winogron, wróżek, miłości gwałtownej jak trzęsienie ziemi i oczywiście zdrady, zdrady i jeszcze raz zdrady! W ogóle - w tym momencie, kiedy Amerykanka zaczyna mówić o tajemniczej chorobie nowotworowej, o której właściwie oprócz ciebie nie zamierza powiedzieć nikomu, księżniczka mówi o zdradzie! Bez też w takiej rozmowie nie obejdzie się, albo ty będziesz płakał(a), albo

ona!

Ulubionym przedmiotem naszej cywilizacji był dla księżniczek telefon. Przy nim spędzały długie godziny snując z koleżankami plany obyczajowe na popołudnie i na wieczór, wobec których strategia bitwy pod Borodino była partyjką domina rozegraną przez parę gapowatych sześciolatek. W romansie z mężczyzną księżniczki były drapieżne i namiętne jak lwice. Niejedno męskie serce, a co gorsza - niejedna męska kariera wyglądały po takiej przygodzie jak rozgrzebana inwestycja lat siedemdziesiątych. W przyjaźni z kobietą księżniczki były trochę niebezpieczne, bo zwierając się obficie - wyciągały również na zwierzenia, a potem niemożliwie roznosiły po mieście, i, jak to się mówi „nie temu, komu trzeba”. No ale dobra zabawa musi kosztować. Poza tym księżniczki pracowały czasem, i to w instytucjach o doniosłym państwowym znaczeniu, (prasa, wyższe uczelnie, telewizja, agencje rozmaite i ajencje), a także, co było wzruszające, na rocznicę Rewolucji Październikowej lubiły jeździć do Moskwy na paradę albo przynajmniej urządzić w domu huczne przyjęcie z toastami. Na przyjęciach takich piło się zupełnie na serio „za naszą i waszą”, miętosilo się w drżącej dłoni czerwony goździk i oglądało zdjęcia księżniczki z jej czasów pionierskich. Pamiętam w każdym razie, że występ mojego brata na jednej z takich uroczystości okazał się całkowitym niewypałem. Był to mianowicie stary toast warszawski: „No to wypijmy zdrowie naszych dam, bo jak nasze damy będą zdrowe, to i my będziemy zdrowi”.

„...Ech, waszi palcy pachnut ładonom - i w głazach bliestit pieczal - niczewo uże nie nada nam, niczewo uże nie žal”...

...Jest atoli pewna rosyjska żona, dla której posiadam wiele sympatii i czułości, która prezentuje się całkowicie odmiennie od opisanego typu: to Natasza Putrament.

Przede wszystkim jest to niewiasta skromna. Po drugie - prowadzi nie słodkie, a przeciwnie - gorzkie życie. Jerzy Putrament, człowiek kapryśny, trudny i wybuchowy, wymaga od małżonki nieustającej gotowości, przypomina niczym nie zabezpieczoną bombę, która przy lada jakim niefortunnym ruchu może zmieść siebie, ciebie i całą okolicę.

Gromadka moich przyjaciół z teatru STS zetknęła się z Putramentem na Mazurach, w ukochanych naszych Krzyżach. Przez wiele lat spędzaliśmy Wakacje nad jednym jeziorem i przy jednym stole, aż połączyła nas swoista Hass-Liebe: On uważał nas za hałaśliwych i nieodpowiedzialnych wyrostków, kopał nasze zwierzęta pod stołem i obrażał, hucząc i sycząc, nasze dziewczyny. My uważaliśmy go za politycznego szalawitę, a groźnej jego postawy rozsierzonego żubra - baliśmy się trochę. A jednak lubiliśmy się chyba, a co do mnie, to lubiłam Nataszę Putrament. Dzielna ta niewiasta towarzyszyła mężowi jak cień. Chroniła go przed światem i chroniła świat przed nim.

Putrament był doskonałym wędkarzem. Jego łódź, sławna „Rapanuja”, na całe dni zniknęła na jeziorze. Pod wieczór, z głębi siwej wody, rozlegał się wściekły szum i ryk: to nadciągał, na swoim silniku „Moskwa”, Jerzy Putrament! Po chwili do ryku silnika dołączał się donośny, męski głos: „Natasza!”... Głos niósł się po trzcinach i szuwarach, trzmielce unosiły się w powietrze, a stada kaczek mdlały na serce. Biedna pani Natasza, ulewa nie ulewa, upań nie upań, na dźwięk tego głosu podrywała się jak żołnierz i kłusowała ku jezioru! Co wieczór, wyprężona i pokorna, przyjmowała powrót „Rapanui” jak komunię. A potem, długo w noc, oprawiała złowrogie, wilcze pyski szczupaków, patrzyła w zamglone ostatnią mgłą rybie oczy, i, kto wie, może myślała o żółtym pólku kukurydzy albo o złotych oczach jakiegoś dobrego chłopca, o którym nikomu nie powie. Po latach, kiedy Putrament bardzo chorował, ale wciąż jeszcze łowił, Natasza dźwigała go od jeziora na ramionach, jak dziecko, albo raczej tak jak wiejskie kobiety niosą wiadra wody ze studni. Natasza jest bardzo silna.

Chociaż, kto wie? Na Jeziorze Nidzkim Putrament wciąż jest królem połowów. Więc dopiero czas to wszystko policzyć. Czas, ten największy kontroler; pisarstwo takie jak moje, to jest dopiero księgowość... Natasza też ma zdolności literackie: „Wie pani - powiada - kiedyś przedstawili nas MaoTse-tungowi. No, nie wiem, czy jeszcze był żywy, ale miał bardzo dziwną rękę: tłuśną, dużą rękę tęgiej kobiety. Nigdy nie zapomnę tej ręki”.

Referat

Słowo „referat” było w latach pięćdziesiątych znacznie częściej używane niż dziś. Od referatu ślubów i narodzin, poprzez referat zatrudnienia, aż do referatu zgonów, miał z tym człowiek do czynienia. Oczywiście w głowie mojej tkwią do dziś referaty szkolne i studenckie, takie jak „Wędrowniki ryb” i „Puszkin na zesłaniu”, a także referaty sławnych osób, które miały coś wspólnego z moim życiem. Pamiętam na przykład, nawet nieźle referat Przybosia wygłoszony na zjeździe młodych poetów w Poznaniu w 1957 czy 58 roku: każdy z nas spodziewał się, że Przyboś powie coś aktualnego, tymczasem on tkwił po uszy w starych sporach ze „Skamandrem” i myśmy go wszyscy trochę drażnili z tego powodu, że rymowaliśmy, żartowaliśmy i cytowaliśmy Tuwima z pamięci. Toteż referat Przybosiowy cały był jakiś staroawangardowy, i na nas, z tychże pozycji, obrażony. Pamiętam, że było tam coś złego o Grochowiaku, który „jak wy wszyscy poddaje się urokowi tego tekściarza kabaretowego, Gałczyńskiego”. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, to nawet „coś w tym było” ale patrząc z tamtej perspektywy, to... nie było na to rady Przez Gałczyńskiego trzeba było przejść. Każdemu z nas zostało z tej podróży trochę rozchełstania poetyckiego i trochę naprawdę pięknych wierszy w sercu. Ale nie przejść przez to wcale, to tak jakby się nie miało dzieciństwa. Prawda?

Julian Przyboś- nie budził też we mnie zaufania jako człowiek. Ciągle nam stawiał jakieś stopnie („Obrazowanie - trójka” - mówił jako juror konkursu poetyckiego), proponowała miłość do techniki, która nam się źle kojarzyła, a poza tym był nieduży i zarozumiały. Kojarzył mi się z wierszykiem Tuwima pt. „Pycha”: - „Chodzi Pycha, nadyma się, pod boki, ważna, trzyma się. - Wzrostu w Pysze łokieć i ćwierć. A czapka na niej Jak żerdź”.

Z poznańskiego zjazdu poetów zapamiętałam też osobliwe wrażenie, jakie zrobili na mnie poeci z całego kraju zgromadzeni w ogonku po obiad. W ogóle, sam fakt, że mieliśmy numerki na wyżywienie, jakoś mnie szokował, wydawał mi się kłócić z zapisanym w wyobraźni obrazem poety jako istoty osobnej, mieszkającej w baszcie.

No tak, wszystko to może były przeżycia niebagatelne, ale jednak najważniejszym referatem, jaki kojarzy mi się z naszą pierwszą młodością, był tajny referat Chruszczowa z 1956 roku.

Ten wieczór „referatowy” pamiętam tak drobiazgowo, że mogłabym chyba odtworzyć zapach kurzu w ciasnej salce i opisać natężenie światła. Było to w nocy właściwie. Siedzieliśmy w gronie kolegów, na opustoszałej widowni teatralnej STS-u i słuchaliśmy referatu. Czytał go nam Witek Dąbrowski.

Było nas na sali kilkanaścioro. Niektórzy z nas już od trzech lat robili teatr studencki. Teatr ten, jak sądzę, był najbardziej lewicowym teatrem studenckim w Polsce i chyba najbardziej „osadzonym” w polityce.

Mimo to, jestem przekonana, odbieraliśmy referat bardzo rozmaicie.

Weźmy choćby nasze krótkie życiorysy... Nikt z nas nie pochodził z rodziny prawdziwie radykalnej. O sobie nie mam co mówić, bo do naszego domu, jeśli nawet polityka zawitała w formie zabłąkanej gazety, to ojciec nieubłaganie wyrzucał ją do śmieci. Rodzice Andrzeja Jareckiego, których dobrze znaliśmy i kochaliśmy, i którzy nieraz zapraszali nas do sosnowego ogródka w Radości, wychowali synów w duchu polskim, rodem z Żeromskiego. Zatem w niechęci do pychy, prywaty i sobiepaństwa, ale także - z dala od rewolucyjnej tyraliery. Postępowo, ale kulturalnie. Mama naszego reżysera, Jurka Markuszewskiego, którą także znaliśmy i bardzo lubiliśmy, przekazała synowi coś w rodzaju tradycji robotniczo-andrusowskiej, tu i ówdzie zabarwionej wprawdzie na czerwono, ale częściej paradującej z mandoliną w ręce niż z „naganem”. Chyba że w Powstanie, to co innego. Matka Wojtka Solarza, pani Zofia Solarzowa, która prawdopodobnie większy wpływ wywarła na mnie niż na swojego syna, była przed wojną sławną działaczką chłopską, współpracowniczką Osterwy i uczennicą Gandhiego, więc jasne, że dom Wojtkowy był zielonego, nie zaś czerwonego koloru. Najbardziej bliski klasycznemu socjalizmowi był na pewno dom Jarka Abramowa, był to bowiem dom Igora Newerlego, autora „Pamiętki z Celulozy”, i pani Barbary Abramow-Newerly, której również tradycja rewolucyjna, pepeesowska, była bliska. Był to jednak swoisty, poczciwy i ufny socjalizm z Żoliborza: Jarek wyniósł z niego adres w bardzo starej spółdzielni mieszkaniowej na Krasieńskiego i dłuższy pobyt w postępowym przedszkolu, które zyskało

sobie przezwisko „Czerwonych krasnali”.

No więc my wszyscy, z tymi życiorysami, i z odrobiną własnych już charakterów, i z plikiem przez siebie zapisanych już kartek, dwudziestolatki przeważnie, zesłaliśmy się pewnej nocy 56 roku w teatrze, ponieważ Witek Dąbrowski, jedyny partyjny, obiecał nam przeczytać na głos referat Chruszczowa. Mieliśmy wtedy na widowni takie małe, brązowe krzeselka, ozdobione wąską, migdałową szparą na oparciu. Chodziło o to, żeby wygodnie było je nosić, były to bowiem krzeselka składane, całkiem odpowiednie dla teatralnych celów, tylko strasznie małe, jak dla dzieci. Były też jakoś dziwnie świecące. Pamiętam, że jako studentka szkoły filmowej kręciłam kiedyś film o STS-ie, i miałam straszny kłopot z ustawieniem kamery (nie ja właściwie, lecz operator, Daniel Szczechura): puste krzeselka puszczały jakieś niepokojące, nieuchwytnie „bliki”, rozbiegające się niczym „zajączki” po całej sali.

Także wtedy, tej nocy poświęconej życiu, działalności i śmierci Józefa Stalina, bezradnie obserwowałam rozbiegane po sali „zajączki”: przecież nieliczne tylko krzesła były zajęte, a ja, udręczona, próbowałam zająć oczy byle czym.

Udręka moja była pochodną udręki Witka. Nie należałam do ludzi, którzy przeżyli swego czasu śmierć Stalina jako tragedię osobistą. Prawdę mówiąc - nikt na sali nie należał do tych ludzi. Nikt, oprócz Witka. To samo, jeżeli chodzi o życie Stalina. Nie należałam do ludzi, którymi rewelacje Chruszczowa wstrząsnęły do dna, do środka. Wielka łycha informacji nie sięgnęła nawet tej czarnej mazi, tej warstwy, w której rodzi się obłęd, wiara, nadzieja czy miłość. Prawdę mówiąc - nikt na sali nie był poruszony do trzewi. Nikt, oprócz Witka.

Moi koledzy byli socjalistami. Kolejne korekty przynoszone przez rzeczywistość przyjmowali z entuzjazmem. Niektóre zgłaszali sami. Ale wielki tas kart odchodzący gdzieś na górze hierarchii politycznej nie był ich pasją. Po prostu: nikt na tej sali nie był fanatykiem, nikt, oprócz Witka. Ja sama byłam w tych czasach jak mały sklepik fotograficzny. Mam na myśli takie małe warsztaty, w których robi się zdjęcia ślubne i przyjmuje klisze do wywołania, ale na obróbkę nie ma się środków i narzędzi. Filmy pakuje się tedy w małe paczuski i wysyła się do centrali do wywołania. Tam, dzięki stosownym maszynom i płynom, odbywają się procesy chemiczne.

No więc taka ja byłam. Robiłam już zdjęcia ślubne, a nawet grupowe („Okularnicy”), nie miałam jednak pojęcia o wielkich procesach - chemii, fizyki i polityki. Wszystko, co wiedziałam o wielkim tyglu, wiedziałam od Witka.

Co czuł czytając na głos referat Chruszczowa? Czy zazdrościł, że nie jest nim? Czy wstydził się za swojego boga? Czy może marzył, żeby wszystko urwało się nagle, jak koszmar senny, i żeby nagle się okazało, że to nieprawda... Że to nie było tak?...

Głos Witka łamał się, usta pierzchły. Kilka razy zapalał papierosa. Było już późno, chciałam zadzwonić do domu, ale bałam się wstać. I znów: bezradne powłóczenie oczami po świecących krzeselkach, i znów ten biedny, dumny głos naszego Majakowskiego.

A może nie mam racji? - myślałam (chyba). - Może on cierpi mniej niż ja myślę, że on cierpi? Przecież jakoś sobie radzi...

To prawda. Witek radził sobie. Od pięćdziesiątego piątego już roku, a na pewno od wydarzeń poznańskich w czerwcu roku 1956 pogodził się z myślą, że lokomotywa dziejów będzie się jeszcze nie raz i nie dwa płątać po bocznych torach. Nie znalazł jednak dla nowych spraw - nowego tonu. Wciąż wierzył, czy też chciał wierzyć, że plakatowy krzyk, jak fanfarrowa pobudka, potrafi poderwać ludzkie serca. Wciąż dławił w sobie naturalnego poetę, tłamsił człowieka i poniewierał chłopca. Kaleczył swoje wiersze bez żadnej litości. Wzerał się w architekturę polskiej strofki marszowym, postmajakowskim „schodkiem” i przepisywał z gazet słowa, których ludzie nienawidzili. Chciał porywać tłumy, a te tłumy, kiedy potrzebowały wiersza, sięgały po czysty kryształek Herberta, po okrucieństwo piosenki, po piórko żartu. A Witek, choć minęła straszna noc referatowa, choć minęło lato i jesień, wciąż nakazywał sobie pisać tak:

*„Towarzysze w rolnictwie,
towarzysze w przemyśle,*

*płomieniami komuny zapalił się czas,
i
z najcięższych doświadczeń
z najtrudniejszych przemysłów
wydźwignęła się w Partii linia mas”.*
*I dalej:
„Będzie razem
wolność i chleb
Towarzyszu,
anarchię
oburącz -
za krtani
Prowokacji -
ukręcaj teb”.*

Zgadnijcie, jaka data figuruje pod tym wierszem: 19 października 1956 roku: trwało jeszcze ósme plenum.

Nie spotykałam Witka w tych latach, kiedy opuścił STS, ale sądzę, że jego droga do własnych, szczerych wierszy była drogą przez mękę. Najpierw musiał zniechęcić wszystkich niebotycznych sterników, którym się poddał. Potem musiał zniechęcić siebie. Potem musiał nauczyć się bać. I wreszcie, niemal na samym końcu, musiał przełamać strach. Jedyne, czego nie przełamał do końca, to podwójność. Wciąż nowe kostiumy, gorsety, szaty poetyckie. Te słowa greckie i łacińskie, te Kolchidy, te jakieś rymy „pananorwidowe” i pycha, godna kolumny korynckiej. Witold, podobnie jak „Pryszczaci”, miał skłonność do pozy heroicznej. Przecież nie na darmo przezwano jednego z jego starszych kolegów: „Nadmandalian patosu”. A on sam, jakże był nieznośnie nieszczerzy, kiedy objając się bez grosza, jako młody chłopak, po Paryżu, pisał: „Być może tak się właśnie czuli - zrodzeni w Romie i Apulii - ...legionów rzymskich konsulowie”.

Jacyśmy tam konsulowie w tych latach byli! Gromadka szczeniaków, podróżników za dwa soldy...

No nic. Daleko miałeś do tej Twojej Kolchidy, przez ciernie miałeś, przez mękę miałeś, przez kłamstwo miałeś, przez chorobę miałeś, przez pomyłkę miałeś, ale przecież doptynąłeś w końcu do swoich natchnionych wierszy. Nie doptynąłeś do wierszy szczęśliwych. Ale czy musimy?

...Dalszych losów trzeciego bohatera naszego wieczoru - Nikity Chruszczowa - nie opisuję, ponieważ wszyscy je znają. „To już się tak rymuje: «Łez» i «Pere-Lachaise», to już się tak rymuje - los i barykada, nawzajem krew się rymuje i złamany bez, z pierwszą siwizną rymuje się zdrada”.

„Rzeszowskie i Kieleckie”

Postawa chłodnego profesjonalizmu była naszemu pokoleniu w zasadzie obca. Mało kto marzył, żeby zostać kiedyś, ot, solidnym fachowcem i przyzwoicie zarabiać. Każdy plótł coś o powołaniu, o wspólnocie, o jakichś wartościach nadrzędnych. Toteż mieliśmy straszny kram z wydobyciem, się, na przykład, z „ruchu studenckiego” i wtoczeniem się, na przykład, w wybrany przez nas uprzednio zawód farmaceuty. „Czyż jestem pigularzem??” - zadawał sobie Jurt to samo pytanie mój kolega, Staszek Mireński.

Także Zbyszkowi Cybulskiemu było ciężko przeistoczyć się w „normalnego” aktora. Ktoś - kto zaczynał od „głosu pokolenia”, od „Bim-Bomu” i „Popiołu i diamentu” - miał nagle przeistoczyć się w szwedzkiego zamglonego kochanka?? Jakże to tak??

Zbyszek marniał i markotniał. Pił. Kiedy jednak gdzieś we wrocławskim barku filmowców napotykał spojrzenie kogoś z nas, kogoś ze starej gwardii, unosił się lekko na łokciu i chrypiał namiętnie: „Starenia. Słuchaj. Ja jestem odpowiedzialny za Rzeszowskie i Kieleckie, słyszysz? Rozumiesz? Jestem

odpowiedzialny za Rzeszowskie. I Kieleckie”.
Tak mówił. I był. Wszyscy byliśmy. Chcieliśmy być.

S

Siódmy kolor czerwieni

Właściwie wszyscy w naszym świecie uważaliśmy się za lewicę. Nie było między nami zasadniczych różnic w kolorze upierzenia, były natomiast znaczne różnice pomiędzy odcieniami. Co gorsza, odcienie te „gryzły się” nieraz w sposób dla mnie niezbyt zrozumiały. Byłam w tych czasach oślicą, więc nic dziwnego, że się traciłam, ale to uczucie pomieszania z poplątaniem było chyba dość powszechne, skoro jeden z programów STS-u nosił nawet tytuł „Siódmy kolor czerwieni”.

Albo taka sprawa jak kontakt naszego teatryku z redakcją „Po Prostu”: nie wiem, może mnie pamięć zawodzi, ale wydaje mi się, że żyliśmy z nimi jak pies z kotem, wzajemnie uważaliśmy się za schizmę.

Ktoregoś dnia posłano mnie z STS-u do redakcji „Po Prostu” z zaproszeniem na przedstawienie.

Wspięłam się na słynne schody na Mokotowskiej pachnące przedwojenną zgrzybiałą czynszówką i zapukałam do Redaktora. Redaktor spojrzął na nasze bilety średnio życzliwie i co do ewentualnego przyjścia na przedstawienie nie powiedział ani tak, ani nie. Zaczęłam coś bąkać, na temat wspaniałości naszego spektaklu, dosyć zresztą bezczelnie, i wciąż czekałam na odpowiedź. Pamiętam, że użyłam w stosunku do zachwalanego przedstawienia - przymiotnika „atrakcyjne”.

Redaktor przycałił się politycznie za okularami i powiedział: - Każda kontrrewolucja jest atrakcyjna! Nie znaczy to, że był między nami mur. Przeciwnie: my pisywaliśmy do nich teksty, oni kręcili się po naszym bufeciku. Ale prawdziwej przyjaźni czy współdziałania nie było. Dziś, kiedy popatrzyłam na to z bardzo już dalekiego dystansu, przyszło mi na myśl, że była w tym wszystkim szczypta zwykłej ludzkiej zazdrości: „Po Prostu” było od pewnego czasu fenomenem na światową skalę, my - skazani byliśmy na lokalność. Oni wybierali się robić w wielkiej polityce, my - w teatrze po prostu.

Co do mnie, to nie łączy mnie z redakcją na Mokotowskiej żadne intensywniejsze wspomnienie.

Artykuły, którymi napawaliśmy się „na bieżąco”, zblakły wobec innych, nowszych sensacji. Talent Bratkowskiej, którą podziwiałam, rozwinął się w nieoczekiwanym kierunku, z Emilii Plater stała się fachową siłą ekstraklasy. Eligiusz Lasota jest miłym panem. Opłynęliśmy Przyładek Dobrej Nadziei, rozeszliśmy się po domach.

Mimo to przyjmuję datę zamknięcia „Po Prostu” za koniec naszej młodości.

Szlak

Tradycyjny „szlak” warszawski zaczynał się, dajmy na to w lokalu „Czytelnika” na Wiejskiej i przez plac Trzech Krzyży Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście prowadził prosto na Rynek Starego Miasta, do „Fukiera”, do Klubu Księgarza albo po prostu - na ławeczkę.

Oczywiście nie każdy „robił” cały szlak. Student mógł skręcić do pałacu Kazimierzowskiego albo do gmachu Geografii, a plastyk mógł się zgubić w jakiejś przydrożnej „Desie”. Ja jednak chcę przypomnieć kogoś, kto dzień w dzień, niczym Golgotę, przechodził cały szlak od początku do końca: Andrzeja Dobosza.

Andrzej Dobosz był w tych latach młodzieńcem nie tylko popularnym i lubianym, ale również „raczkującym luminarzem kultury” (określenie Jerzego Pomianowskiego).

Pisywał mianowicie do pism literackich ekscentryczne, efektowne i niezwykle pracochłonne teksty. Największego huku narobił reportaż, który relacjonował pobyt Andrzeja w szkole. Nie były to jednak jakieś tam stare wspominki, tylko całkiem aktualny raport pisany z dnia na dzień. Autor bowiem

wykorzystał swój chłopczkowaty wygląd i wstąpił jako uczeń do jedenastej klasy. Co tam zobaczył - uczciwie opisał. Opis lekcji polskiego robił wrażenie wstrząsające i wołał o pomstę do nieba.

Nade wszystko jednak Dobosz lubił szlak i swój wizerunek na szlaku. Po latach, kiedyśmy się spotkali przypadkowo w Paryżu, szepnął mi na ucho: „Słuchaj, czy ja tu już jestem postacią?” Trudno mi było odpowiedzieć na to pytanie tam, ale tu odpowiedź była prosta: „Oczywiście”.

Andrzej Dobosz odrabiał swoją wędrówkę bez względu na pogodę, co na pewno szkodziło jego wątłemu zdrowiu. Któregoś dnia wyznał wspólnej naszej przyjaciółce, Krysi Burkowej: „Słuchaj, przecież to nie ma sensu, Nowy Świat koniecznie trzeba zadaszyć”.

Mnie zaś, spotkany oczywiście na szlaku, opowiedział kiedyś taką historię: „Wiesz, mam rodziców, którzy bardzo mnie kochają, czytają to, co piszę, ale wyczuwają we mnie lenia i wałkonia. Toteż ja, żeby ich nie urazić, od lat udaję, że mam posadę - solidną, urzędową pracę. Codziennie wychodzę z domu przed ósmą i wracam o czwartej. Wszystko jest w porządku, ale sama rozumiesz: cały dzień na nogach”.

Nie wiem, czy to prawda. Tak czy siak szlak Dobosza, czyli wariant-gigant wyglądał mniej więcej tak: początek na Rynku Starego Miasta (kierunek odwrotny od podanego na początku, bo Andrzej - z Żoliborza). Tu: pomoc staruszkom w sprzedawaniu kwiatów. Krakowskie Przedmieście: przechadzka, „Dziekanka”, małe wino, pogawędka ze studentami. Nowy Świat: księgarnie, antykwariaty, „Desa”. W „Desie” - wspólne ze Starowieyskim znęcanie się nad ekspedientkami: „To jest, miła pani, chiński zegarek z drugiego wieku, niesłusznie panie tu piszą: Niemcy, robota współczesna”. Dalej: skręt w ulicę Foksal, kawiarenka „PIW-u”. Kontrola książek na ladzie u pani Blanki, rozmowa z przygodnym poetą o przemianach fasonów obuwia u duchowieństwa. Barbara Majewska, historia sztuki, wspomnienia z Żoliborza (dzieciństwo). Dalej plac Trzech Krzyży, magnolia, spacer z dziewczyną. No i kościół, redakcja i spać.

Może to już ostatni Dobosz w Warszawie, tego się nie spotyka prawie... Chociaż ostatnich rzeczy w bród - ostatni Dobosz, to cud! (Piosenka z STS-u, stara bardzo!)

Ś

Śluby mazurskie (rożnowskie, helskie, lanckorońskie)

„Tajemnicze Ogrody” poty pozostają Tajemniczymi Ogradami, póki jesteśmy mniejsi od traw. Później stają się normalnymi działkami, ogródkami, skwerami i wczasowiskami.

Mazury ogromnie długo pozostawały dla mnie i dla garstki moich przyjaciół Tajemniczym Ogradem. Wciąż znajdowało się tam jakieś ziele, jakiś krzew, jakąś dorodną sosnę królewską, która była od nas wyższa i ważniejsza.

Wchodzenie w Tajemniczy Ogród polega jednak zawsze na powolnym W-tajemniczeniu się aż do zupełnego Od-tajemniczenia. Posłuchajcie:

Mój pierwszy krok w stronę Mazur był bardzo prosty: Przeczytałam „Archipelag ludzi odzyskanych” - jeszcze w szkole chyba - i zachwyciłam się nim. Smak wielkiej przygody, odkrywanie nowych lądów, zapach wakacji i szczypta propagandy - wszystko to przemówiło mi do wyobraźni jak rzadko która książka. Nawet dziś, po latach, bliższe mi są tropy Newerlego niż tropy Smętka. To było pierwsze wtajemniczenie!

Pod koniec studiów, pięknym latem 1955 roku przyjechałam na Mazury z moją przyjaciółką Hanią Żurek i popłynęłyśmy sobie wypożyczonym w PTTK kajakiem z Niegocina przez Jagodne i Mikołajki - do Rucianego i z powrotem. Przez całą drogę było tak cichutko, że gdybyśmy wzięły ze sobą zaspanego słowika - nie obudziłby się. W noc świętojańską uplotłyśmy wianek i puściłyśmy ze świeczką na jezioro Bełdany. Popłynął i nie zgaś aż do samego świtu.

To było drugie wtajemniczenie mazurskie, takie na „dotyk”. Doznanie, którego się nie zapomina:

głaskanie rozgrzanego osiołka. Pocałunek złożony na zamszowej rękawiczce.

Po raz trzeci przywieźli mnie na Mazury przyjaciele z teatru STS: Jarek Abramów i Andrzej Jarecki.

Była wczesna wiosna, prawie jeszcze zima 56 roku. Wysiedliśmy z pociągu w Rucianem i brnęliśmy przez pola, „na skróty” do Krutyni. Andrzej Jarecki był mistrzem w chodzeniu na skróty, nigdy nie poplątał leśnych ścieżek, przesiek ani ledwo widocznych miedz. Szliśmy wtedy do Karola Małka. Szliśmy do Karola, który był legendą, przez Mazury, które były legendą. Na polach leżała twarda lutowa gruda.

Marzłam. Byłam przejęta. Bardzo! Chłopcy rozmawiali o Karolu.

Karol Małek był bohaterem ludowym. Był też bohaterem tragicznym. Mógł być zostać bohaterem sagi, a został bohaterem kilku artykułów.

Stało się tak:

Karol od dzieciństwa walczył o polskość Prus Wschodnich. Lata okupacji nie przepłoszyły go. Raz po raz jego butny głos dobywał się z podziemia. Wydawało się, że nie zna strachu. Hitlerowcy wyznaczyli za jego głowę nieprawdopodobnie wysoką nagrodę. Nie znalazł się jednak „szczęśliwy znalazca”. Karol przeżył wojnę.

Nastała Polska Ludowa. Wydawało się, że człowiek taki jak Karol będzie dla niej bezcennym skarbem - działacz ludowy z krwi i kości, trybun przemawiający wspaniałą mieszaniną mazurskiej gwary i żarliwego politycznego żargonu, człowiek głęboko doświadczony, o sercu bez reszty oddanym sprawie mazurskiej i o dłoniach ciepłych, wielkich, przypominających buty chleba.

Władza nasza nie przyjęła jednak wyciągniętego ku niej bochna, a nawet, w latach stalinowskich, poszła z Karolem na udry. Mimo to (a to „mimo to” uważam bodaj za najważniejsze w całej historii) Karol Małek nigdy nie zjełczał, nie zaczął się smutno psuć od środka, jak to się nieraz dzieje z odrąconymi politykami. Kiedy go poznałam, ukochany jego uniwersytet ludowy już nie istniał. Karol żył sobie w malutkiej Krutyni, u boku pani Małkowej, niewiasty wielkiej dobroci, i zawsze było można w ich domu liczyć na kęs chleba, szklanek wódki, pieśń i kawałek prawdy.

I to było nasze trzecie wtajemniczenie. Zostawiało ono smak jednego z cudowniejszych grzechów: grzechu samodzielnego myślenia.

Skoro wreszcie o grzechach mowa, trzeba koniecznie zapisać, że Mazury były w owym czasie także olbrzymią, zielonooką, pełną natchnionych szeptów, poślubną i bezślubną - sypialnią.

To tam przyjeżdżaliśmy z pierwszymi dziewczynami i chłopcami, i tam, obok chichoczącej w duchu szyszki, obok oniemiałej sowy, obok zdumionej sarny szeptaaliśmy swoje pierwsze „nigdy” i „zawsze”, i tam przysięgaliśmy, że do końca życia będziemy wierni zagubionej w puszczy stacji Karwicy. Chcieliśmy pozostać wierni pierwszej zdobytej dziewczynie, pierwszej śmiałej myśli, pierwszej złowionej rybce. Zdradziliśmy je wszystkie.

Teraz mnie pytają, czy mam domek na Mazurach. Nie mam.

Jest na Mazurach, w pobliżu wsi Krzyże, taka droga leśna, na której panuje wieczny mrok i półmrok. Chwilami światło zieleni się tam witrażowo, chwilami zaś gęstnieje do wrzosu. Jeśli jednak cierpliwie tamtędy wędrujesz, doznajesz olśnienia: oto mrok rozpryskuje się nagle i droga wybucha olbrzymią, świetlistą polaną.

Ktoś z nas, może Ziemowit Feddecki, może Olga Lipińska, może Andrzej Jarecki, nazwał ten szlak - drogą do jasności.

Otóż wszystkie nasze dawne podróże na Mazury miały charakter rytualny, to były drogi do jasności, wyprawy po nieznanne. Najpierw było to tajemnicze Nieznane, potem już tylko kochane Nieznane, a potem - nie ma o czym mówić. -

*Zabierz mnie stąd na litość boską,
bo to już nie są te Mazury,
gdzie się jeździło kochać wiosną
i powracało w czas purpury...*

Kiedyś nie wiedzieliśmy o sobie nic: my o Mazurach, ani Mazury o nas. Dziś naczelnik poczty w Karwicy,

pan Krysiak, wie więcej o naszych drogach i bezdrożach do jasności niż rodzone nasze matki i siostry. Całkiem inaczej postępowali artyści krakowscy. Oni nie jeździli po nieznane. Jeździli po znane. Dokąd jeździli? Na południe sobie jeździli: do Rożnowa, do Rabki, do Tęczynka, do Lanckorony, w resztki Karpat. Czegóż oni tam szukali? Wszystkiego, co znajome, tam szukali: świątków oswojonych jak domowe zwierzęta, cerkiewek pijanych od historii, diabłów beskidzkich, herodów sądeckich, fujarek podhalańskich, pań tetmajerowskich, a przede wszystkim - Hucuła szukali oni. A czyż nie mieli oni Hucuła owego w bliższym pobliżu? Mieli go, rzecz jasna! Gdzież go mieli? A w sobie go nosili, pod sercem, w kieszeni, czy jak komu wygodniej było. Czemuż więc go szukali? A bo lubili go szukać i basta. W moim mniemaniu każdy Krakus podszyty jest Hucułem, od Wyspiańskiego do Wiesia Dymnego, od Rydla do Harasymowicza, od Modrzejewskiej do Zachwatowicz Krystyny, od Boya do Warchała, wszyscy oni podszyci są Hucułem! Sam lajkonik i Wisława Szymborska, i Litwin (ha, ha), i Adam Włodek, i Lidia i Jerzy Skarżyński, i prof. Błoński, i prof. Flaszen - wszystko to, wszystko podszyte Hucułem! Wystarczy spojrzeć, jak oni kozuch na grzbiecie noszą, jak diabelsko oczami po nocy strzygą, jak wiersze na maszynach do szycia piszą, jak do dziupli swobodnie sobie włożą i wyłożą, jakie instrumenty, diabły i widły po domach trzymają, jak mową swoją szwargoczą, ciągle przez samo „ha” oraz „t” przedniozębowe, jak gorzałkę na gorąco piją, jak grosz za siebie rzucają (a grosz wraca), jak saniami, kiedy trzeba, powożą! Taki Lem: też pół-Hucuł, chociaż uczony. Hasiór ich wszystkich w malarstwie wydał, to się go strzegą!

PS.

Karwica Mazurska

*Wiosną, w puszczy, na stacji
stoi chłopak i czeka,
a dziewczyna bez racji
nie powraca z daleka.*

Karwica Mazurska, Karwica!

*Stoi chłopak i duma,
to na pieńku przysiadzie.
Las się nad nim rozszumiał,
pociąg mknie za pociągiem.*

Karwica Mazurska, Karwica!

*Mówią mu dąb i sosna:
Chłopie, ucieka wiosna.
W ramionach zatok
smutki zatop!
Przemija, przemija lato.
Mówią mu buk i jodła:
jesień nadchodzi podła.
Szum powstaje wśród koron:
uciekaj na jezioro!
A on stoi i duma,
jakby nic nie rozumiał.*

Karwica Mazurska, Karwica!

*Nie czekał do jesieni,
na jezioro uciekł.
Pogrążył się w zieleni,
poszukał uciech.
Poszukał uciech,
pociec w przyrodzie.*

Zapomniał o powrocie.

Karwica Mazurska, Karwica!

zatopił się cały w smutnej, zielonej wodzie.

Andrzej Jarecki (STS)

Śmiech

Było niegdyś kilka gatunków śmiechu w Polsce. Do najosobliwszych należał śmiech Andrzeja Dobosza. O Doboszu nagadałam się już wprawdzie w rozdziałiku pt. „Szlak”, ale do słynnego śmiechu jego wypadła jeszcze wrócić. Śmiech ten objawiał się w niedługich, lecz i niekrótkich, głośnych i zaskakujących napadach. Zaczynał się od nagłego szczenięcia szakala i przechodził w cierpliwe pianie donośnego koguta. Jeśli Dobosz szczególnie był rozbawiony, napady mogły się powtórzyć jeden za drugim. Ze względu na ów (historyczny dziś) rodzaj śmiechu zapraszaliśmy Dobosza na wszystkie możliwe studenckie premiery i gale teatralne. Wiedzieliśmy, jak trudno jest rozbawić ociężałą publiczność rozmaitych „prasówek”, i że jeśli nie uczynią tego nasze pointy, to zawsze możemy liczyć na Dobosza. Bardzo efektywnym śmiechem dysponowali także tytani ówczesnej krytyki teatralnej: Jan Kott i Jerzy Pomianowski. O ile Kott pisał solidnie i przeciągle, o tyle Pomianowski pohukiwał krótkimi, myśliwskimi hejnałami. Z kobiet - zabawnie śmiała się Ariadna Bohdziewiczowa. Był to tak zwany „śmiech perlisty”, ale w kontralcie, nie w sopranie, więc miły. Janusz Minkiewicz, który nie śmiał się nigdy, twierdził wprawdzie, że Ariadna śmieje się w ten sposób, iż widać jej cały żołądek, ale jakoś nikomu to nie przeszkadzało. Należała do kategorii „panna, madonna, legenda tych lat” i mogła się śmiać, jak jej się żywnie podobało!

W ogromnie interesujący sposób śmiał - się również Ziemowit Feddecki, tłumacz, poeta i facecjonista, obdarowany swego czasu przez Gałczyńskiego rozkoszną dedykacją: „Ziemkowi, harfie mojego życia”... Otóż pan Ziemek, śmiejąc się, przymykał lekko oczy, wysuwał górną szczękę i het, gdzieś z głębi płuc, dobywał skamlące syczenie, niczym żmija ugodzona w serce. Śmiech pana Ziemka (mój ulubiony) łatwo był jednak do zagłuszenia. Wystarczyło, że odezwała się na przykład koloraturka Anki Prucnal albo radosne rzenie Jerzego Markuszewskiego!

Organ, którym dysponowała Anka, należał do tak zwanych „amatorskich”, czyli kontrowersyjnych. Jedni twierdzili, że Anka śmieje się kaskadycznie przy brydżu, i że zostanie któregoś dnia zastrzelona w czasie licytacji, inni szaleli za nią, i szaleją dotąd. Szczegółów nie znam, bo z aktoreczki STS-u, wiotkiej jak wielkanocna brzoza zamieniła się w skąpaną w czarnym świetle demonkę piosenki paryskiej. W ogóle wszystkie dziewczyny, przewijające się niegdyś przez teatry studenckie, albo wychodziły za mąż, albo wyjeżdżały za granicę. Anka zrobiła nam jedno i drugie.

Wracając jednak do kwestii śmiechu: gdyby z samych wymienionych tu osób zestawić niewielką orkiestrę, to mielibyśmy dudy Markuszewskiego w basach, pisk Kotta w klarnetach, pohukiwanie Pomianowskiego w drewnie, jęki Dobosza wśród saksofonów, Ariadnę jako triangel, a Ankę (niech jej będzie) jako pierwsze skrzypce.

Nie byłaby to jednak cała prawda o epoce, ponieważ to nie jednostki tworzą historię, lecz masy. Masy kabaretowe zaś były wówczas niezdyscyplinowane i dysponowały nie jedną, ale kilkoma rodzajami reakcji.

Wielki teoretyk i praktyk ówczesnego kabaretu, Henio Malecha, odróżniał następujące odruchy u publiczności: Sik. Szmerek. Brawko. I wyciszenie.

Ta „formuła Malechy” dotyczy zresztą nie tylko lat pięćdziesiątych. Ja w każdym razie, pisząc piosenkę do kabaretu, zawsze, także i dziś, z góry pragnę ustalić (wpierw sama ze sobą), do czego właściwie zmierzam: czy piszę na sik, na szmerek, na brawko, czy na wyciszenie. („Aleśmy ich wyciszyli”)!...

Typowe natomiast dla lat odwilży były dwa specyficzne gatunki śmiechu: tak zwany „śmiech przez łyż”, rodem z teatru „Bim-Bom”, i coś, co nazwałabym „śmiechem porozumienia”. Był to śmiech cichutki,

szemrzący niczym brzęczenie osy, a wywołany przez niezliczone wówczas żarty wypowiedane z tak zwanym „przymrużeniem oka”. Maniera ta, której dziś nie cierpię, była wtedy, kto wie, czy nie konieczna, ba - przy niektórych tematach - jedyna! Celował w tym Kazimierz Rudzki. Mógł milczeć, mógł okiem nawet nie mrugnąć, a publiczność i tak wiedziała, o czym on tak milczy i na jaki temat on tak nie mrugając - mruga.

I jeszcze jeden śmiech z tamtych lat brzmi do dziś w moim sercu: nie śmiech to właściwie, lecz chichot! Cichutki, szczęśliwy, odrobinę drażniący chichot Konrada Swinarskiego...

Konrad nie śmiał się w ten sposób z cudzych dowcipów ani tym bardziej - z własnych. To nie był śmiech z czegoś. To był śmiech do czegoś: do własnych utajonych myśli.

Opowiadał na przykład Konrad jakąś scenkę albo pomysł, albo zamysł. I nagle pod tym zamysłem, lub pomysłem, prostym i oczywistym, podczas mówienia jawił się Konradowi drugi i trzeci zamysł i pomysł, nie tak już łatwy lub gotowy do wyjawienia rozmówcy... I do tego drugiego, nagle postrzeżonego obrazu lub pomysłu, utajonego na razie - lecz przecież tylko na razie - śmiał się Konrad owym kocim wewnętrznym chichotem.

Śmiech ten był w równej mierze zdarzeniem intelektualnym, co biologicznym, był jak pomruki niemowlęcia, tokowanie dziewczyny, wrzask geniusza zanurzonego w wannie.

Konrad nie robił ze sobą ceregieli. Nie rozmawiał z ludźmi przez łańcuch. Pukałeś, to wpuszczał cię do środka. Po wejściu jednak w lot orientowałeś się że znajdujesz się zaledwie u progu olbrzymiego, ciemnego wnętrza i że mimo dobrej woli gospodarza być może uda ci się zwiedzić tylko dwa, trzy pomieszczenia, a do najdalszych pokoi nie dobrniesz nigdy. Co do mnie - to nie dotarłam u Konrada dalej niż do kuchni. Tam warzyliśmy piosenki do telewizji i do „Pana Ardena”, do „Ptaków” i do „Mahagonny”, tam, w tej niby-kuchni wypiliśmy kilka wódek i opowiedzieliśmy sobie kilka historii z życia. Wszystko jednak, co się tyczy głębszej sfery Konrada, wiem ze śmiechu jego.

Konrad był jak wędkarz, który łowi jednocześnie na dwie wędkę. Mniejsze rybki, powierzchniowe, rzucał przydrożnemu kotu, a te drugie, głębinowe, chował dla siebie (na razie). Pośrodku zaś, między rybą wierzchnią a spodnią, w wirach i zakolach nieznamomej nam wody, rodził się śmiech Konrada. A raczej: uśmiech do nowej myśli.

Pamiętam, natknęłam się kiedyś na Konrada w Krakowie. Pracował nad „Nie-boską komedią”.

- Mówię ci - chichotał - nie masz pojęcia, co wymyśliłem: pornograficzny pochód! Mówię ci: orgia, czysta pornografia! - ...I znów chichot.

Chodziło Konradowi, oczywiście, o scenę Wielkiej Przegranej. Oto arystokraci, pokonani przez lud, w konwulsyjnym, orgiastycznym tańcu upiorów, odchodzą na śmierć...

Ale dlaczego chichot? A dlatego, że wówczas scena ta nie była jeszcze gotowa. Dlatego, że Konrad, rozmawiając z przydrożną znajomą, rzucał jej tylko szkic - jak rybkę kotu. Sam jednak, pod płaskim określeniem „pornograficzny pochód” dostrzegał już wewnętrznym okiem płas żywych aktorów, a pod płasem aktorów - płas postaci, a pod płasem postaci - płas historii, a pod płasem historii - płas gwiazd i wreszcie centralny płas Tego-Czego-Nie-Wiemy, a czego bardzo się chcemy dowiedzieć (albo: kogo się chcemy dowiedzieć).

...I cieszył się Konrad, że tak głęboko sięga jego druga wędkę, i śmiał się z radości, cichutko.

Świnia

W połowie lat pięćdziesiątych słowo „świnia” - jako obelga - nikogo już nie szokowało; słowo „świnia” - jako kotlet - jeszcze nikogo nie szokowało. Przeciwnie - schaboszczak był daniem tanim i popularnym. Natomiast w książce Bohdana Czeszki pt. „Pokolenie” występuje pewna Bogu ducha winna świnia, która prześladowa mnie przez te wszystkie lata.

Oto jeden z bohaterów książki, młody chłopaczek, ma ciotkę. Ciotka ta zaś hoduje w piwnicy świnikę. Pewnego dnia, kiedy zwierzak wydaje się ciotce odpowiednio już utuczony, zwraca się ona z prośbą do

chłopaka: - Zabij mi ową świnkę, ja nie dam rady.

Chłopak, pewny siebie, mocuje się najpierw ze świnią w piwnicy, a potem, wśród szamotaniny - daje się jej powlec na podwórze... Powiadam „daje się jej powlec”, ponieważ świnią uwiązana jest na sznurze, a „sznur ten - niewiadomym sposobem - oplata się nagle wokół niedoszłego poskromiciela... I oto zamieniają się role: Kat staje się ofiarą. Ofiara - katem. Chłopakowi brakuje już tchu, traci inicjatywę, natomiast silna jak tur świnią wlecze go i wlecze, i wlecze dookoła podwórza!

Co za straszliwy wir! Cóż to za iście „pokoleniowa” sprawa!

Ileż to razy bowiem porywaliśmy się na różne hydry i zmyry, ale nie tylko nie zdołaliśmy im tba urwać, ale jeszcze one - nam!...

Jeszcze one - nami!...

T

Tango. W tango!

Ani shimmy, ani fokstrot, ani nawet charleston nie zrobiły w dwudziestoleciu międzywojennym takiej prawdziwej, ludowej kariery jak tango. To ono, tajemnicze tango odbyło u nas imponującą wędrówkę przez klasy, warstwy i dzielnice: Ze śródmiejskich „szkół tańca” i lśniących parkietów „Adrii” potoczyło się do knajp Czerniakowa, spelunek Annapola, i na łódki na Pragę. Powróciło stamtąd lekko pijane i z trochę ciężką głową, w stroju Czarnej Małki, z podbitym okiem, i pojawiło się z powrotem na parkietach. I mogło się zdarzyć, że śliczna panna Ada, wracając nad ranem z dansingu lub chwiejnym gestem podając pokojówce palto - nagle zanuciła z cicha „nasze tango andrusowskie na dwa pas, nasze tango andrusowskie”...

Tango dzielnie przetrwało okupację - choćby w formie podawanej z ust do ust ballady ludowej - i wzięło udział w Odbudowie i Wielkiej Migracji („Tango Szaber, panowie, Tango Szaber” ...), za stalinizmu ukrywało się u Fogga i u Marty Mirskiej, aż w końcu, w latach pięćdziesiątych, wybuchło wielkim, i niestety ostatnim fajerwerkiem.

Trzech wspaniałych artystów ludowego tanga, trzech przybyszów z trzech różnych zakątków kulturalnych, z trzech różnych zagłębi muzycznych pojawiło się nagle na arenie, zabłysło, po czym nieomal jednocześnie zostało zatłuczonych przez naszą nieocenioną krytykę: Jarema Stępowski sprzed wojny, Stanisław Grzesiuk z Czerniakowa, i Bogdan Łazuka ze szkoły teatralnej.

Stępowski wniósł do ludowego tanga - precyzję i typowo warszawskie, krawieckie wykończenie, charakterystyczne dla zawodowych sztukmistrzów.

Grzesiuk utrwalił w tangu ludowym to, co bodaj w nim najważniejsze: pełne godności spowolnienie. Dostojeństwo.

Jest w nim rytm kroków ludzi doświadczonych i nigdzie się nie spieszących, przeciwstawiony jakby fertycznemu drobieniu frajerów. Grzesiuk, kiedy go poznałam w czerniakowskiej „Sielance”, był już poważnie chory, skarżył się, że głos mu nie brzmi. To prawda, w późniejszych swoich latach Grzesiuk bardziej recytował niż śpiewał, ale było w tym, niczym w bluesowych recytacjach starzejącego się Armstronga, to co najważniejsze: wsłuchanie się w duszę ludzi, o których mu chodzi. Ludziom tym zaś chodziło o ochronę sponiewieranej dumy, o obronę przed frajerstwem i przemocą, o prawo do własnego świata „na dole”. Grzesiuk w piosence, niczym Marek Nowakowski w prozie, podchodził do tego świata z wielką delikatnością, nikomu siebie nie narzucał ani niczego nie narzucał sobie. Nie starał się być katem, bandytą ani Czarną Małką: „Bez błędnie referował”.

Łazuka nadał ludowemu tangu elegancję i dowcip. Poczynił pewne skróty i przywrócił mu argentyńską zmysłowość.

Niestety: wszyscy ci wspaniali artyści zostali ustrzeleni z jednej grubej rury, która zwie się: „walka o

czystość folkloru”.

O matko! „Walke” tę uważam za jeden z naszych najstraszliwszych bzików. Daj nam, Boże, po pierwsze, dbać tak o czystość sumienia, jak o czystość folkloru. Po drugie, dbanie o czystość folkloru miejskiego w ogóle nie ma sensu, ponieważ folklor ten z natury swojej jest wymieszany. Po trzecie, dbanie o czystość folkloru estradowego podwójnie nie ma sensu, ponieważ nikt nie wie, co to jest. Dlaczego na przykład Stępowski ma być szmirusem, a jakiś wygolony goguś wyjący „Powróćisz tu” albo elegantka o urodzie recydywistki - mają szmirusami nie być?? „Gdzie to jest napisane?” - jak mawiał mój tata... Po czwarte, wszelkie dbanie o czystość wykraczające poza mycie zębów itp. - wydaje mi się podejrzanе.

Tak więc wielki wybuch tanga ludowego w końcu lat pięćdziesiątych - skończył się marnie. Grzesiuk po dłuższej chorobie zmarł, a pozostali artyści zostali zepchnięci na margines. Trochę też sami się zepchnęli. Ludowe tango zleksykałizowało się, strywializowało, i trwa u nas tylko w zwrocie: „Pójść w tango”. Czy to nie smutne?

Teren. Trasa.

Artyści estrady, muzycy, a nawet dziennikarze i literaci sporo czasu spędzają w drodze. Zapoznają się z życiem lub uprawiają tak zwaną chałturę. To już zależy kto, co i gdzie. Słowo „chałtura”, według pewnego bardzo starego słownika, pochodzi z rosyjskiego i oznacza „spełnienie powinności duszpasterskiej w cudzej parafii”. Jednak, jak na moje ucho, słowo „teren” i „trasa” brzmią barwniej i niosą ze sobą więcej znaczeń.

Słowo „trasa” lub „jechać w teren”, „być w terenie”, pochodzi z lat grubo jeszcze przedodwilżowych i wywodzi się z archipelagu wyrazów urzędowych, jak klub-kawiarnia, czy podomka. Artyści z pokolenia mojego ojca - Stefcia Górka, Mira Grelichowska, Marysia Chmurkowska, Lopek Krukowski - przed wojną powiedzieliby: „jadę na koncerty”, w latach pięćdziesiątych: „jadę w teren”, zaś w latach późniejszych - znów - „jadę na koncerty” albo „mam występ”. Na temat tych koncertów w terenie napisano niejedno. Jest na przykład prawdziwa perełka - książka Stefanii Grodzieńskiej „Wspomnienia chałturzystki”, nad którą swego czasu ryczałam ze śmiechu i płakałam ze wzruszenia... Ale nie o to chodzi. Grodzieńska opisuje koncerty pełne blasku i rozmachu, a ja mam na myśli zgrzebne i rzewne występy w małych dziurach. Pisząc te słowa, patrzę na zdarty i wysłużony akordeon mojego ojca. Ten opowiedziałby niejedno, i barwniej niż ja! Jest przede wszystkim tak poobijany, jakby spędził te lata w czołgu, a nie w wytwornej ciężarówce.

Tak, od ciężarówki zacznijmy:

Artyści, wcześniej rano zbierali się pod gmachem „Artosu” (ówczesna „Estrada”) i gramolili się do ciężarówki. Tam zajmowali miejsca na solidnie przymocowanych ławeczkach. Było ich pięcioro sześcioro, siedmioro. Przeważnie śpiewaczka i śpiewak, żartowniś jakiś, pan z „Artosu”, no i oczywiście akompaniator, powiedzmy mój tata.

Ciężarówka grzechotała i terkotała, wiał wiatr, śpiewaczka traciła głos, łykała świeże jajka, żartowniś robił dowcipne komentarze, pod Płockiem łąpało się gumę - śmiesznie było. Pod wieczór dojeżdżało się do jakiejś remizy czy szkoły, malowało się oczy w pokoju nauczycielskim bądź na podwórzu, i voila - gong, światło, frenet! Oczywiście sala nie ogrzana, szyby wybite, instrumentu brak. Ten to właśnie (przeważnie) brak fortepianu, lub choćby lichego pianinka, spowodował, że ojciec jeździł ogromnie często z akordeonem. Zresztą potrafił grać na harmonii nawet jazzowe kawałki, a do tego bardzo zabawnie wyglądał z akordeonem: szpakowaty, trochę nawet dostojny pan, z, bądź co bądź, harmoszką. ...Pisząc te słowa, wystawiłam akordeon mojego ojca na środek pokoju, bo chciałam spojrzeć, jak mocno jest poobijany. Teraz leży tam jak starawy, czarny pies i słucha, jak piszę.

Występy w terenie miały przeważnie okolicznościowy charakter: a to rocznica jakaś polityczna, a to” urodziny dostojnika, a to znowu pierwszy maja.

Nie sposób było przygotować się do każdego występu oddzielnie. Przypominam więc sobie, że ojciec

wynalazł jakąś starą mało oklepaną suitę, Noskova bodajże, i grywał ją pod najrozmaitszymi tytułami. A to „Suita rewolucyjna”, a to „Oda na cześć”, a to „Pieśń pochwalna” - i tak dalej.

Kiedy w modę weszły tematy ludowe, ojciec długo nie mógł wymyślić wystrzałowego jakiegoś tytułu. Kręcił się z kąta w kąt i zaglądał do książek. A trzeba tu dodać, że ojciec, zanim poszedł do konserwatorium, skończył gimnazjum austriackie we Lwowie (to długa historia) i o żadnej ludowości nie miał pojęcia.

Tak więc, zmęczony poszukiwaniami, zwrócił się o radę do mnie.

- Podpowiedz mi - prosi - jakiś polski obyczaj. Coś wesołego żeby było.

- Oczepiny - odrzekłam bez sensu.

Już po chwili dzwonił ojciec do Tadeusza Kwiecińskiego, doskonałego skrzypka i kompozytora piosenki „Zwróć mi moje listy”, i chrypiał zadowolony.

- Tadeusz, słuchaj. Jest tytuł: „Otzipin”. To będziemy grali. W A-dur mi to zrobisz.... Jak to nie rozumiesz?

Ty nie wiesz, jak się to pisze?? Już ci mówię: o, te, cet, i, pe, i, n... Cos znowu nie rozumiesz?

... Szczęk odkładania słuchawki. I do mnie:

- On mówi, że tego w ogóle nie ma. Też wymyśliłaś

Wyjazdy w teren” nie trwały, na szczęście, długo. Starsi artyści zaczęli znowu, jak mówiłam, „jeździć na koncerty”, a wśród młodych pojawiło się słowo „trasa” („jesteśmy w trasie”, „jedziemy w trasę”).

„Teren” pozostał w słownictwie urzędników, w parodiach oczywiście (te parodie!), no i, jak by tu powiedzieć, - zleksykalizował się.

Znałam na przykład swego czasu pewną miłą lolitkę, która prowadziła dosyć nieustabilizowany tryb życia, a zarobki jej nie pochodziły z jednego źródła. W każdym razie łatwiej ją było wówczas spotkać na Mazurach, a dzisiaj w Nepalu, niż pod wskazanym adresem.

Któregoś dnia dzwonię do niej, czekam, telefon przyjmuje koleżanka:

- Dzień dobry, czy jest Ewa?

- O nie, Ewuni nie ma. Jest w terenie. Proszę: szczególny przykład leksykalizacji słowa. ...To tyle.

Jeśli zaś idzie o słowo „trasa” i jego pochodne, to zostało ono wprowadzone w obieg przez piosenkarzy w stylu „pop”. Ludzie ci, znacznie ruchliwsi od starszych kolegów, dysponujący szybszymi pojazdami, a także kolejami i samolotami - mają także absolutnie odmienny stosunek do „trasy” niż tamci do „terenu” czy „koncertu”.

O ile Stefcia Górka bezbłędnie odróżnia Kujawy od Podtatrza, a nawet potrafi stamtąd przywieźć ciekawą historyjkę, bądź kogutka z jarmarku, to już Maryla Rodowicz, na skutek obłądnego tempa podróży, niezbyt dokładnie wie, gdzie się aktualnie znajduje.

Pamiętam, że pewna młoda piosenkarka zadzwoniła do mnie kiedyś z daleka, słabo było słyszeć, więc spytałam:

- Skąd dzwonicz?

- Z trasy.

- Ale z jakiego miasta?

- Poczekaj, to się zapytam... Nie odkładaj słuchawki. (Szum, latanina, wreszcie ten sam głos): - Perkusista był na dole i pytał portiera. Jesteśmy w Szczecinie.

...Nie muszę dodawać, że zmieniają się nie tylko rzeczowniki („teren”, „trasa”), ale zmieniają się także i czasowniki. Na miejsce „występujemy” wchodzi „gramy” (na przykład „gramy koncert”), a na miejsce „gramy” - wchodzi „robimy”.

Gdyby ktoś spytał dziś Sojkę, z kim występował na ostatnim Jazz Jamboree, ten odpowiedziałby: „Robiłem z Wojtkiem Karolakiem”. I byłaby to odpowiedź prawidłowa.

„Tralabomba” (cyrk)

Na cyrku „Tralabomba” śmiałam się tak strasznie, że mnie połamało. Złożyłam się jak scyzoryk. Cierpliwa

moja koleżanka, Zosia Góralczyk, z którą zajmowałam wspólny kawałek podłogi, dotoczyła mnie dzielnie do szatni, a tam musiała mnie rozkładać i rozginać - kawałek po kawałku jak domek fiński mylnie sklecony przez szaleńca.

Poszło mi głównie o następujący obraz:

Na środku cyrkowej sceny pojawił się (czy też był tam od początku) - fortepian. Przy fortepianie zasiadł Mistrz - Janusz Hajdun. Na znak dany przez Dyrektora - Mistrz przyjął pozę patetyczną, i z fortepianu jęły dobywać się dostojne akordy Etiudy rewolucyjnej. Ale nagle, o Matko Boska, okazało się, że cały fortepian przyozdobiony jest girlandą świecących żarówek! I oto żarówki owe zaczęły uczestniczyć w występie: przy każdym mocniejszym uderzeniu zapalały się, przy słabszym - mrugały, przy pianissimie gasły. A więc ile razy Chopin robił bum, to i one - trum trum, ile razy Chopin - myk, to one - pstryk. I tak dalej.

Nie posądzam siebie, dwudziestoletniej, o szczególny dar wydobywania trzecich i czwartych podtekstów, ale przypuszczam, że i w moim, i w cudzym śmiechu było wówczas, coś więcej niż reakcja na nieprzeparty komizm scenki. To była jakaś cudowna Wielka Pauza. To była przerwa w nieustannym bogoojczyńnianym napięciu, w którym żyjemy przecież od kołyski do śmierci. To było małe kieszonkowe „Wyzwolenie” („Odkryłem, że Wyspiański miał syfa!” - rżał mi kiedyś w ucho, szczęśliwy, Konrad Swinarski). To był teledysk dla Gombrowicza. Zabawa na jedno golenie dla Dygata. Chwilka oddechu dla pokolenia, które zaczynało z marszu, a kończy - w kontredansie.

Jerzy Afanasjew, twórca, dyrektor i aktor cyrku „Tralabomba”, malarz, poeta i filmowiec, wkrótce po triumfalnym pochodzie swego teatru zmarkotniał jakoś i posiwiał wewnątrz. Nabrał też, jako nadrealista, męczącego zwyczaju wrzucania dwóch fiołków do jednego barszczu. Być może w życiu Jerzego Afanasjewa było za dużo poezji. Wiadomo przecież, że ogień można gasić ogniem! Tymczasem już sam adres mieli Afanasjewowie peszący: mieszkali w wieży...

*...Mieszkał na wieży pełnej ptaków,
zimą lub wiosną miał anginę,
- wróżył z powietrza i ze znaków,
przepiękną kochał kolombinę...*

Może krzywdzę Afanasjewa, ale wydaje mi się, że w jego twórczości tym mniej jest poezji, im więcej poetyczności, tym mniej koloru, im więcej barwników. Wszystko przez tę nieszczęsną wieżę! (A jeszcze Bałtyk, a jeszcze mewy, a jeszcze łabędzie z przymarzniętymi do lodu łapami - wściec się można z zachwyty!)

Odwrotnie stało się z Białoszewskim: poeta ten ze zwykłej przeprowadzki do bloków potrafił wycisnąć gęstą esencję poezji i nie wiedzieć kiedy, zgrzytliwą windą wzbic się na metafizyczną wieżę. Mieszkając w bloku od-blokował się i powolutku u-wieżył. Afanasjew zaś za-blokował się przykro.

Ale co tam. Życie przed nami. Młodość może nas jeszcze dopaść jak katar - kataryniarzy. PS.:

*...Nie jesteś pierwszy nieszczęśliwy,
przed tobą, w czasie, po tobie
miliony,
małpiliony
takich...*

Miron Białoszewski „Taniec na błędach ubezdźwięcznionych”

U

Ubu król

Nie podoba mi się sztuka Jarry'ego pt. „Ubu król”. Sztuka ta zyskała sobie u nas renomę klasyki a

rebours. Widzom i recenzentom „Ubu króla” zdarza się krytykować tę lub ową jego inscenizację, samo jednak dzieło wychodzi zazwyczaj z takiej kąpieli cało. Ja natomiast „Uba” nie lubię, ponieważ zalatuje mi on strachem.

„Ubu” jest jedną z bardziej krwiożerczych satyr na władzę, ale ma w sobie coś z agresywności rozzłoszczonego psa, który jedną stroną gryzie, a drugą stroną puszcza bąki. Znana to sprawa, że panika wzmagą agresję, i odwrotnie. Fakt zaś, że młody Jarry się bał, nie ulega wątpliwości. Gdyby się nie bał, nie umieściłby akcji sztuki u nas, „czyli nigdzie”, i nie uczyniłby jej bohaterami władców iluzorycznej Polski, tylko umieściłby akcję u siebie w klasie, a czarnym charakterem byłby pan od historii albo zgoła wychowawca. Co rusz wzmagaliby się w sztuce tumult i słuchałoby się światoburczych wrzasków: „Nasz pan to kretyn! Precz z belframi! Kiedy cię wezwą do tablicy, powiedz gównu!”

O, to byłby dzielny chłopiec.

No, ale nie wymagajmy od innych tego, do czego sami nie jesteśmy zdolni.

Mam jeszcze inne uczucia związane z „Ubu królem”. Są to tak zwane uczucia ambiwalentne. „Ubu król” mianowicie nigdy nie jest wystawiany w trakcie przyciśnięcia śruby, tylko zaraz po. I tu też jest pies pogrzebany. Na to, żeby wystawić „Ubu króla” w samym środku, powiedzmy, epoki stalinowskiej, jest oczywiście za wcześnie, ponieważ sztuka w swoim antytotitaryzmie jest tak mocna, że autor takiej inscenizacji nawet by pisać nie zdążył - i tak dalej. Natomiast - jeśli się wystawia „Ubu” już po stopieniu lodów, w czas odwilży, to cała zabawa ma trochę charakter bicia leżącego i smak musztardy po obiedzie (fu!).

No, ale ponieważ kiedyś „Ubu króla” grać trzeba, inscenizatorzy polscy wybrali wariant pierwszy, czyli niewystawianie „Ubu” w czasie lekcji, tylko w czasie wielkiej pauzy. Słowem: lekkie spóźnienie.

Tak więc, jeśli pierwszy „Ubu” powinien był się ukazać, teoretycznie, w roku 1954 albo nawet 1953, to ukazał się w roku 1957, a rzecz działa się w warszawskiej „Stodole”.

Tak się złożyło, że prapremiery tego spektaklu nie widziałam, tylko wpadłam na niego (a właściwie - on spadł, zwałił się na mnie) dopiero wiosną 1958 roku, w Krakowie, w czasie Juwenaliów.

Pamiętne to były dla mnie i dla moich kolegów Juwenalia! Cudowna wiosna, rozswawolony Kraków (jeszcze ludzie mieli głowę do rozmaitych żakinad), słynny obiór miss piękności czy sympatyczności, a do tego jakiś bzik tulipanowy: wszyscy obnosili się z tulipanami.

Pamiętam, że w tej atmosferze, mocno spóźniona dotarłam z Zosią Góralczyk na stodolanego „Ubu” i wciśnięta między czyjeś kolana, okulary i obcasy - przetrwałam piekielny ten spektakl. Kiedy wstałam z ziemi, byłam sina, ale nie na skutek otrzymanych kukuksów, tylko z zazdrości.

Otóż tak: My, STS, też przyjechaliśmy do Krakowa z przedstawieniem, i na pewno nie było ono złe. Na pewno dobre ono było. Ale nasz teatr słygnął z ascezy. Tymczasem „Ubu król” w reżyserii Jana Biczyskiego aż furczał od jakiejś pre-Grotowskiej ekspresji, wyzywającej wulgarności i śmiałości plastycznej nie spotykanej wówczas w polskim teatrze. Do dziś starsi widzowie wspominają rozjazgotane werble uczynione z miednic, palącą przeróbkę „Alarmu” i zjadliwe, nieprzytomnie złośliwe kreacje Jana Stanisławskiego (Ubu) i Krystyny Chimanienko, nieżyjącej już dziś koleżanki naszej - Ubicy.

Pamiętam, próbowałam po spektaklu zagadać do Jana Kotta, niegdysiejszego kibica STS-u, ale on podniósł się z fotela półprzytomnie i jak niewierny zalotnik pobiegł gratulować Biczyskiemu (mimo że u nas były aktoreczki, a u nich - żołnierze).

Ostatni Ubu odbył się też w Krakowie, w Teatrze Stu, w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego. Jeszcze go nie widziałam (jesień 1981), a gdybym go widziała, to i tak nie mieściłby się w tej książeczce. Warto tylko zauważyć, że ten „Ubu” też jest jakieś pięć lat spóźniony: na moje wyczucie powinien się ukazać w roku 1976, a ukazuje się w 1981 r.

Skąd biorę te daty, odkąd liczę?

Otóż tak: tworzę od rzeczownika „ubu” pewien czasownik: „ubić się”, „ubować się”, wreszcie „zubić się”. Następnie obliczam metodą czysto roboczą czas, jaki upłynął od „zubienia się” władzy - do premiery sztuki. Tak więc (czysto-roboczo, powtarzam) za przełomowy moment „zubienia się” ekipy „drugiej

Polski” uważam rok 1976. Liczba lat do premiery: pięć.

Zważywszy, że i poprzednie obliczenia wypadły mi podobnie, można założyć, że od „zubienia się” władzy do premiery „Ubu króla” mija przeciętnie około 5 lat.

Drugie uogólnienie, jakie przychodzi mi na myśl, to to, że kolejni „Królowie Ubowie” są coraz więksi i ciężsi. Otóż Jan Biczyski w roku 1956 obsadził w tej roli bodaj najchudszy i najlżejszy aktor w całym mieście, późniejszego profesora „mniemanologii” - Jana Stanisławskiego. W dwadzieścia parę lat później Krzysztof Jasiński obsadza w tej samej roli - największego i najcięższego mężczyznę Polski, byłego olimpijczyka w pchnięciu kulą - Komara.

Można więc powiedzieć, że nasz dawny Ubu był ubogi, a nowy - jest syty. Wniosek z tego taki, że ciężar właściwy Ubu króla jest odwrotnie proporcjonalny do ciężaru przeciętnego obywatela, czyli mieszkańca kraju podlegającego „zubieniu”.

Ucho (Spółdzielnia „Ucho”)

W tych lepszych i najlepszych latach pięćdziesiątych znajomi moi dzielili się na tych, co nie wierzą w podstęp telefoniczny, na tych, co wierzą, i na tych, co uważają, że sprawa nie jest jasna. Co większe histeryczki, lub kawalarki, na dźwięk chrobotu w czasie pogawędki telefonicznej rzucały w głąb demonicznego kabla wyzwanie: „Rozumiem, że nie jesteśmy same, poruczniku” albo: „Ze też się panu nie nudzi...” Mama moja, ostrożna jak zwykle, wymieniając jakiegokolwiek nazwisko w rozmowie telefonicznej posługiwała się wyłącznie inicjałem: „Dzwonił W. i prosił, żebyś zadzwoniła do S.” Kompletnie nie można było tego zrozumieć.

Stanisław Dygat słysząc z tego, że opowiadał przez telefon polityczne dowcipy bądź rzucał gromkie wyzwanie panującym porządkom. Kiedyś podobno przyjaciel (Gruszczyński to był?) przerwał mu w pół zdania i życzliwie go ofuknął: „Daj „pokój, Stasiu, wolę siedzieć za swoje dowcipy niż za twoje”. Mój pogląd ówczesny na te sprawy był zupełnie niejasny. Teoretycznie uważałam, że nic takiego nie istnieje, praktycznie zaś, ile razy rozmowa nabierała rumieńców, wtrącałam rytualne: „Wiesz, Elka, to nie jest rozmowa na telefon”. Tak czy inaczej ludzie musieli żyć z tym kompleksem i żyli z nim, a całość (powód plus kompleks) nosiła nazwę „Spółdzielnia Ucho”.

Ja sama miałam taką przygodę: dawno, dawno temu, znajomy tenisista, porządny chłopiec, zadzwonił do mnie na lekkim rauszu i powiedział okropnie łamanym angielskim, że mówi Blue Peter (Błękitny Piotruś). Moda na Gershwiną usprawiedliwiała go w pewnym stopniu...

Otóż po paru latach, w czasie arcyniemiejszej urzędowej pogawędki, spytano mnie, czy znam jakichś Anglików?

Zresztą nic nie wiem, może mi się tylko przywidziało. Jak mawiają Turcy: „Ja nic nie wiem, nikogo nie widziałem, ten dowcip opowiedział mi pewien Polak w łaźni, i miałem oczy pełne mydła”.

Utrillo

Ludzie nie lubią chodzić do muzeów, bo trzeba wkładać kapcie. Boże, Boże, jacy my jesteśmy zepsuci! A przecież wystarczy cofnąć się o sto czy dwieście lat, w byłe galerii gospodarze rozmawialiby z nami przez łańcuch (jeżeli w ogóle by chcieli rozmawiać!). Takie na przykład gigantyczne zbiory „Ermitażu” były zamknięte na cztery spusty, a caryca Katarzyna tak skarżyła się w liście do Voltaire'a: ... „I pomyśleć, drogi Mistrzu, że te wszystkie cudowności oglądałam tylko ja i moje myszy!”.

Rewolucja otworzyła zbiory, stalinizm przytrzasnął, a ryczące pięćdziesiątki - z powrotem je udostępniły. Chodzi mi o słynne zbiory impresjonistów, i o Picassa. Leningradzkie pocztówki z nowo odkrytych zbiorów stały się dla mego pokolenia objawieniem. Renoirowskie dziewczynki i picassowscy kuglarze przyozdobili ściany hoteli robotniczych i akademików. Co bardziej awangardowe panny zaczęły się wtedy rozglądać za czymś bardziej oryginalnym i w końcu, jak na komendę, wypatrzyły Utrilla.

Szło się na przykład Nowym Miastem, dostrzegało się kościół i Nowy Rynek pokryty śniegiem i szeptało się w uniesieniu: „To cały Utrillo, prawda?” „Tak, tak, kochanie, teraz to będzie nasz Utrillo!” Oczywiście, z malarstwa trzeba się było jako tako przygotować. Biada podrywaczowi, który przygotował się byle jak i trafił na inteligentną kobietę! Zosi Czerwińskiej, aktorce i inteligentnej kobiecie, wyznał kiedyś pewien zalotnik: „Ależ pani ma utrillowski nos!”
- Chyba mon-dria-no-wski nos chciał pan powiedzieć - zirytowała się Zosia i wyrzuciła ignoranta na bruk, razem z kwiatami i butelką.

W

Wołacz „o!”

Wołacz jest śmieszny. Robi co może, żeby zwrócić na siebie uwagę, bawi się z nami w ciuciubabkę, figluje, roi się i troi, a możliwości doprawdy ma małe: przecież to tylko wołacz. Miałam kiedyś taką sąsiadkę, która namiętnie lubiła się przebierać, i robiła dookoła siebie nieustający bał maskowy. Ale że była uboga, więc przybywała jakby - półprzebrana, ledwie tylko naszkicowana. Podobnie wołacz. Zaraz po wojnie wołacz „O” jakby zniknął z języka. Przestało się mówić „mamo, tato”, mówiło się: „Mama, chodź tu, zdaje się, że złamałem nogę!” A mama: „Poczekaj, Czesiek, nie widzisz, że mi wszystko z rąk leci!” Wołacz wydawał się jakiś sztywny, urzędowy albo przez swoje napuszenie - komiczny: „Rosanno, woda na kluski wrze, Rosanno, ty już nie kochasz mnie”... Wydawało się, że wołacz przetrwa już tylko w nagłówkach listów i w oficjalnych obwieszczeniach („Przyjacielu, szanuj las”). Tymczasem w latach odwilży wołacz „o!” pojawił się znowu. Ale w przebraniu! Zagubił swój urzędowy charakter, a nabrał czułości i zamierzonego patosu. „Przyjdź do nas, Piotrze. Piotrze, przyjdiesz na pewno, prawda?” Formy wołacza używa się tu niejako w celu uwznioślenia intymności, w celu upoetycznienia sytuacji, a także w celu zaznaczenia wobec innych, obecnych w towarzystwie osób - pewnego wyższego wtajemniczenia i wyróżnienia: „Przyjdź do nas, Zbyszku! Antek, Basia, wy też przyjdźcie!” W stosowaniu wołacza celował, oczywiście, Kraków: „Jesteś moją dziewczyną. Odpowiedz mi, Mario!” Wołacz robi też inne figle. W pewnych zwrotach zachowuje się inaczej w liczbie mnogiej, inaczej zaś w pojedynczej. W słowie „obywatele” liczba mnoga zatracza o Majakowskiego: „Obywatele! Oddajcie państwu wolne niedziele!” Prawda? Czuje się jakiś bezkres... Natomiast w liczbie pojedynczej wyczuwa się swojskość i wesołość dnia powszedniego: „Obywatelu, dowodzik proszę!”

Wódka czysta z czerwoną kartką

W tamtych czasach bilet do kina kosztował dwa do pięciu złotych, bochenek chleba - cztery złote, ćwiartka czystej, w lokalu - dwadzieścia jeden piędziesiąt (cytuję za Barbarą Hoff). Wódka czysta z czerwoną kartką była wódką tanią i smaczną, to wszyscy wiemy. Chodziły również legendy, że była wódką zdrową. Jedna z tych legend, za którą jednak nie dam sobie niczego uciąć, głosi, jakoby prezydent Bierut osobiście wptynął na jakość „czerwonej”. Oto (podobno) któregoś dnia do Bieruta dotarła wiadomość, że robotnicy polscy piją. Mało, że piją: piją w pracy. Mało, że w pracy: na rusztowaniach. Mało, że piją na rusztowaniach w pracy, ale jeszcze z tych rusztowań spadają. Prezydent zaniepokoił się nie na żarty, boć był to przecie czas odbudowy i rozbudowy i masę czasu spędzało się na rusztowaniach... Sama widziałam Tessę Pągowską na rusztowaniu, zupełnie trzeźwą, notabene, jak malowała ulicę Długą w Gdańsku... Zatroksał się tedy prezydent, zwołał konsylium, i wspólnie doszli do wniosku, że coś w tej wódce musi

być, skoro ludzie tak spadają i spadają. Dłuższy czas deliberowano, aż w końcu wspólnie ustalono, że wódka jest źle destylowana, niesmaczna i niezdrowa. Wydano tedy odpowiednie zarządzenia, nakręcono odpowiednie numery i odtąd czysta z czerwoną kartką stała się najstaranniej destylowaną, najlepszą i najzdrowszą wódką na świecie.

I pomyślcie: nawet to musieliśmy popsuć.

Dziś, kiedy piszę te słowa, kilo kiełbasy kosztuje sto dziewięćdziesiąt złotych, podzelowanie zimowych butów - czterysta pięćdziesiąt, pamiętniki Tyrmanda na Wolumenie: pięć tysięcy.

Wykopki (Wyjazd na wykopki)

Patrz: „Analfabetyzm” (Zwalczanie analfabetyzmu)

Z

„Zachód”

Mój brat cioteczny, Maciej Sikorski, mieszka jak wiele innych osób - w Szwecji. Uczy rachunków na uniwersytecie, gra w karty, rozprawia, a w wolnych chwilach tłumaczy w swoisty sposób psalmy. Oto próbka:

*„Już wstają mgły poranne
i sarna szczyry kły...”*

Jako matematyk Maciej Sikorski jest pod wpływem słynnego japońskiego topologa, zaś jako tłumacz - pod wpływem wybitnego wspólnego przyjaciela - Ziemowita Fedeckiego („Czego pan Ziemek nie wie, tego w ogóle nie warto wiedzieć”).

Dzieci Maćka, przedszkolaki, jedzą szwedzkie ogórki i szwedzkie draże miętowe, zaś jego żona, Wanda, jest lekarką, pracuje w szpitalu i daje ludziom szwedzkie pigułki i szwedzkie zastrzyki.

Wanda słynie z tego, że mówi ludziom prawdę w oczy i jest uczciwa jak sowa, ale gdybym ją poprosiła, to i mnie dałaby szwedzki zastrzyk.

Tak to szwedzkość zahacza w sposób naturalny o nasze życie, a i polskość - o ich słodkie życieńko. Latem na przykład co drugi lekko zawiany obywatel Świnoujścia jest Szwedem. Oczywiście są to tak zwani źli Szwedzi. Dobrzy Szwedzi mieszkają w Sztokholmie i dają Nagrodę Nobla albo pracują w Czerwonym Krzyżu, jedzą ryby na słodko i grają w filmach Ingmara Bergmana.

Proszę, ile solidnych informacji na jednej kartce!

W dawnych, czasach żadna tego rodzaju konkretna „zachodniość” („północność” właściwie) nie była możliwa. Młodzi wyjeżdżali wtedy niestychanie rzadko, Zachód nie był więc rzeczywistością, był wyobrażeniem, iluzją. Był legendą, dla każdego inną. Dookoła, gdzie się nie ruszyć, kwitła działalność mitotwórcza. Oczywiście, rzucano się też na lektury, ale o ileż przyjemniejsza bywa od lektury - twórczość.

Na czytającego - co krok czekają niemiłe niespodzianki. Można na przykład w grubym dziełku jakiegoś pedanta przeczytać, że krzywa wieża w Pizie nie jest w istocie krzywa i że mieści się nie w Pizie, tylko w Garwolinie. Oczywiście po latach natkniemy się na inne dziełko, którego autor poinformuje nas, iż ostatecznie badania dowiodły, że wieża istotnie jest krzywa, zaś co do Garwolina sprawa wygląda w ten sposób, iż w gruncie rzeczy jest on Pizą, jedynie niektóre plemiona z kręgu kultury Udo - nazwały go Garwolinem.

Mądry Polak po szkodzie. A ileż złudzeń poszło na marne!

Podczas „tańczących pięćdziesiątek” stosowano więc - jakże słusznie - obok lektury, intensywną pracę wyobraźni. Można powiedzieć, iż było tyle „Zachodów” ile głów. „Pokaż mi swój Zachód, a powiem ci,

kim jesteś.”

O ile „Europa” była wówczas głównie Francją-elegancją, o tyle „Zachód” był czymś znacznie szerszym tak geograficznie, jak i mitycznie.

Bardzo prostą, acz pracowitą działalność mityczną - a właściwie na poły tylko mityczną, a na poły - mistyfikatorską - prowadziła znana dziś kompozytorka Katarzyna Gaertner.

Kasia była wówczas nastolatką. Ubrana we flanelową męską koszulę w kratę i w kowbojskie spodnie, wyposażona w fiński nóż („Kasia nożownicza”) - urwała się z domu i przemierzała wzdłuż i wszerz Polskę, udając... rodowitą Amerykankę lub Kanadyjkę. Trafiła wszędzie, gdzie działo się coś ciekawego: do Piwnicy Krakowskiej, do wrocławskich klubów studenckich, do łódzkiej szkoły filmowej. Pamiętam, że nocowała w akademiku na Bystrzyckiej „na waleta”, prowadziła pamiętnik po angielsku i mówiła, że Amerykanie nie znają szafy. Wszystkie ubrania trzymają na krzesłach, ponieważ inaczej zapomnieliby, co mają.

Kasia jednak była już wówczas nie tylko pomysłowa, ale i bardzo zdolna. Pamiętam na przykład zaimprovizowany koncert w naszej sali projekcyjnej, w szkole filmowej: Kasia napchała do pianina pełno starych gazet, tak by struny lekko chrypiały, i zasiadła do instrumentu w swoim klasycznym, czyli kowbojskim stroju. Grała wyłącznie melodie ze starych amerykańskich filmów, a skakała przy tym jak piłeczka pingpongowa. Efekt był piorunujący, ponieważ osiągnęła dokładnie to, o co chodzi: autentyczne, „ragtimowe” brzmienie pianina.

Kasia porzuciła swoją „amerykańską” pozę natychmiast, kiedy przestała tego potrzebować, natomiast zostało jej z tych czasów jedno: zawsze zasiada do instrumentu jak chłopiec. Grając Katarzyna śpiewa nieraz dzikim, przeraźliwym falsetem, a mały pokoić unosi się w powietrze jak chatka czarownicy. Ile razy piszę z Kasią wspólną piosenkę i spędzę z nią godzinę czy dwie przy fortepianie, czuję się, jakbym wychodziła potargana z gorącej kąpieli... Jest ogromna różnica w sposobie, w jaki kompozytorzy grają „swoim tekściarzom”. Adam Sławiński na przykład gra niesłychanie kameralnie, jakby coś człowiekowi opowiadał na ucho. Zgarnia klawisze do środka, jak rozbiegające się szczupłe kurczęta, ciągle coś tamuje. Gra, jakby go ktoś trzymał za frak.

No, ale wróćmy do „Zachodu”. Ciekawą jego wersję miał chłopak, na którym mi zależało. Należał on do tych dzielnych ryzykantów, którzy wybierali się, przez mur nieraz, do amerykańskiej ambasady na filmy. Nie każdy był taki odważny, przychodziło mu więc później po sto razy te filmy opowiadać. No i te właśnie, na pół zmyślane, na pół prawdziwe filmy - latami tkwiły mi w głowie. Po pierwsze, niedokładnie rozumiał dialogi, po drugie zaś - ponosił go własny talent i własna wyobraźnia. A że wyobraźnia ta nafaszerowana była Biblią, więc każdy, nawet najbardziej błaży western amerykański, był w jego wersji pełen Biblii.

- Odchodzisz, Jeff? - spytała łagodnie.

- Odchodzę.

- A dokąd to?

- Pójdę drogą wszystkich ludzi.

Albo:

- Jim, nie możesz mi tego zrobić, zostaw chociaż tę starą ciężarówkę!

- Niestety, John. Urodziliśmy się obaj na Rogu Nieszczęść. Pewnego dnia nieprawości twoje na jaw wyjdą, a różga gniewu twego ustanie.

...Piosenki z „Serenady w Dolinie Słońca” (na przykład) nabierały w interpretacji chłopaka, na którym mi zależało - swojskiego, nadwiślańskiego rumieńca:

*„Przyleciał do mnie na kraty
zielony gołąb skrzydlaty,
i słodkie tango zanucił mi:
I tak mi siebie żał, i tak mi ciebie żał”...*

co druga zaś gwiazda filmowa nosiła imię bohaterki jego ulubionego kryminału: panny Czaczkes.

...Dla wielu z nas „Zachód” był związany z tańcem.

Ważne było nie tylko to, co się tańczy, ale i jak się tańczy. O ile więc na prywatkach i studniówkach na początku lat pięćdziesiątych, powiedzmy, tańczyliśmy jeszcze stare standardy amerykańskie z tuż-powojennych płyt „Muzy” i „Odeonu”: „Georgię”, „Boogie-man” i „Mimi z Trinidad”, to w połowie lat pięćdziesiątych weszło już nowoczesne boogie i samba.

Tak zwany „krok” nowoczesnych tańców był nam znany przede wszystkim z... parodii. Tak, tak!

Warszawskie teatry satyryczne, chcąc pokazać publiczności rewiowy numer zachodni, a nie narazić się władzom, zaopatrywały go w prześmieszny, wręcz szyderczy tekst. W ten sposób na przykład zademonstrowano w „Syrenie”, nie wiem już w którym roku - boogie-woogie w rewelacyjnym wykonaniu Stefci Górskiej. Studiowało się to „boogie” ze starannością godną prymusów!

Parę lat wcześniej, kiedy byłam w szkole, i kiedy życie bez tańca wydawało mi się bez sensu, nie mieliśmy nawet takich pośrednich wzorów. Tańczyło się więc coś, co było zawikłaną kompilacją własną na temat szalejących „tam” mód. Obowiązywała przede wszystkim „amerykanka” i „hajne-medina”... („I tak się wygina - jak hajne-medina-jazz”!) Tańczenia „amerykanką” nauczył mnie na studniówce u „Mickiewicza” słynny na Saskiej Kępie „Kozioł” (Ludwik Kozłowski), i tak się w tej „amerykance” wychytryżyłam, że święciłam na zgrzebnych naszych prywatkach nie mniejsze triumfy niż saskokępskie pionierki. Latem, kiedy można było już potańczyć na przystani „Elektryczności”, dostawałam od tej „amerykanki” po prostu bzika. Pamiętam, że kiedy po dziesięciu latach pojechałam do Ameryki i nikt tam nie tańczył „amerykanką” - bardzo się zdziwiłam.

Jednak prawdziwym i niedoścignionym mistrzem, jeśli chodzi o „hajne-medinę” był niejaki Andrzej Kasia. Wysoki i pogięty jak topola, ozdobiony „bikiniarskim” krawatem i czapką wypchaną „Expressem Wieczornym”, był Andrzej Kasia jak stworzony do „hajne-mediny”. W następującym składzie przetańczyliśmy całą przedmaturalną wiosnę: dwóch Januszów (Lichomski i Regulski), „Kozioł”, Andrzej Kasia, Pawelec i dwie śliczne dziewczyny z miasta - Danka i Halina. Potem przyszło pomyśleć o studiach. Cała nasza gromadka, przeważnie inteligenckie dzieci, wepchnęliśmy się jakoś na medycynę, dziennikarkę i tym podobne.

Natomiast Andrzej Kasia zasepił się: stopnie nie najlepsze, bikiniarski krawat na pewno gdzieś odnotowany, maniery plebejskie, hajne-medina nieprzydatna, a w ankiecie - hak! (o ile pamiętam: tata był w Armii Andersa). Rad nierad Andrzej pomyślał, że może być źle i postanowił zapisać się tam, gdzie najmniej chętnych. A gdzie było najmniej chętnych (A.d. 1952)?? - A na filozofii!

I oto, patrzcie, co się porobiło. Mamy rok pięćdziesiąty piąty. Nie: pięćdziesiąty szósty! Warszawa w kwiatach. Rodzi się nowa nadzieja. I cóż robimy my: tańcząca gromadka? Wycinamy beznadziejne ślepe kiszki i układamy piosenki, które zapomina się po roku.

A co robi Andrzej Kasia?

Pisze doktorat o świętym Augustynie.

...A nie mówiłam? - Nieprawości twoje na jaw wyjdą i różga gniewu twego ustanie.

„Zimna Paulina”

Ja, która sentymenty swojej epoki odbierałam gorliwie i tkliwie jak jakąś zbiorowa łza - na jeden tylko dźwięk w ówczesnych chórach byłam całkowicie głucha: na prozę liryczną Adolfa Rudnickiego. Mimo że nieraz dobiegał mnie jej łagodny szmer, pozostawałam zatrzęsnięta jak szafa pancerna. Dziwne, bo na byle strofkę Szyborskiej, na byle żart Gałczyńskiego, na byle zaśpiew Tuwima - serce moje otwierało się bezbronne jak domek dla szpaków. Jednak postać jednej z bohaterek słynnej „Pałeczki” - rudowłosa Zimna Paulina - do dziś doprowadza mnie do paroksyzmów wewnętrznego śmiechu. „Zimna Paulina”, to może być nazwa kunsztownej melby (tak zwanego „pucharu”), galaretki cielęcej, ewentualnie chimery z „Zielonej Gęsi” - ale nigdy, przenigdy żywej dziewczyny.

Rudnicki pisał o miłości jak kobieta. Jego proza, wylewna i wygadana aż do rozwydrzenia, składała się z

samych cytatów Ogromna liczba kobiet - polonistek, artystek, „mandolinistek”, malarek i innych męczennic towarzyskich - nie tylko mówiła, ale żyła tą prozą. Słowa takie jak „kocham”, „nie kocham”, „kocha” - powtarzają się w tej prozie z częstotliwością, z jaką w książkach telefonicznych powtarza się nazwisko Kowalski. „Niekochana” ugina się pod ciężarem zatykających dech banałów: „Uciekł, by w ten sposób prędzej wrócić do niej”; „Pałeczka” roi się od sztambuchowych uogólnień: „Nie wystarcza mieć dla czego, żyć, trzeba także mieć dla kogo”. Wystarczy przypomnieć sobie, jak głęboko i pięknie Rudnicki pisał o przemijaniu światów, a jak płasko i trywialnie - o kobietach, żeby dojść do wniosku, że z całego serca gardził kobietą. „To pani przecież pisała mi o swej koleżance, która mając tylko dwa miliony osiemset tysięcy czerwonych ciałek krwi, kochała się jak wariatka!”...

Ech, koleżanko, koleżanko!...

Być może Rudnicki (nie wiem, nie znałam go) krępował się tego, że gardzi kobietą i właśnie dlatego próbował, w myśl hasła „Pod latarnią najciemniej” - ukryć się w szatach „kobiecego pisarza”, autora „prozy miłosnej”, słowem - w pozornym przecież - „pisanu jak kobieta”?...

Tak czy inaczej „mandolinistki” nasze nabrały się na tę sztuczkę. Warszawa, Łódź, Kraków, a zwłaszcza Kazimierz - najbardziej sentymentalne letnisko ryczących pięćdziesiątek - wszystko to roiło się od „Niekochanych” i „Pałeczki”. Można powiedzieć, że udawanie „Niekochanej”, bądź „Pałeczki”, to było tylko popularne, ale i niedrogi hobby tamtych czasów (przeciwnie: im bardziej sukieneczyna wymięta, buzia zapłakana, obcasy powykrzywiane - tym lepiej: „Niekochana” jak malowana!) Konrad Swinarski wyznał mi kiedyś, że nie czytał „Niekochanej”. Ja mu na to, że to błąd, bo i sawantki i girlaski znają to na pamięć. On mówi - Nie wierzę; ja mówię - No to podejź do dziewczyny w autobusie i powiedz: Czy śnią się pani pejzaże organiczne?; on mówi - Wyśmiej mnie; ja mówię - Ale skąd; on mówi - Da mi po pysku; ja mówię - Przysięgam ci, że nie.

Wsiadł Konrad w „117”, wypatrzył ładną dziewczynę i powiada: „Czy śnią się pani pejzaże organiczne”? A ona na to: „O, tak, Kamilu!”

Boki zrywać. A jednak, kto wie, może kiedyś jakiś uczony socjolog zastanowi się głębiej nad tym, skąd w kobiecie polskiej ten zadatek na masochistkę, męczennicę, i Marię, i Magdalenę? Może to wina niezliczonych wojen, powstań i golgot? Może niewiasta polska odwykła już od zwyczajnego męża, obecnego w polu, w zagrodzie i w domu, i tęskno jej za nieobecnym, wrywającym się, wciąż zajęтым walką, ucieczką lub umieraniem?

Tak czy inaczej, gdyby Adolf Rudnicki naprawdę spał ze wszystkimi „Niekochanymi”, to przez całe życie musiałyby nie wychodzić z łóżka. Nie mógłby natomiast sparafrazować Flauberta i powiedzieć: „Zimna Paulina - to ja”. Byłoby to zbyt oczywiste.

...A jednak pewien dialog (z „Pałeczki”) pozostał mi żywo w pamięci: dwóch mężczyzn rozmawia na imieninach kolegi. Młodszy tak jest zafascynowany starszym (pisarzem oczywiście), że wszelkie jego poczynania wydają mu się wspanialsze i głębsze od własnych. Starszy w lot pojmuje, co dzieje się z Młodym i powiada:

- Iguś, ty drzysz!...

I tak było! Iguś drżał.

Ż

Żaba

Można śmiało powiedzieć, że w czasie odwilży Żaba wystąpiła ze Stawu i wkroczyła do Śródmieścia. Stała się ona mianowicie bohaterką wszędobylskiego powiedzonka: - „No więc po co jedliśmy tę żabę??”

Żałobnicy i Żartownisie

Pod literą „Z” umieszczam jeszcze dwa wyrazy: „żałobnicy” i „żartownisie”. Nie są to jednak, wbrew pozorom, dwa różne hasła złożone we wspólnej szufladce? Wprost przeciwnie. Są to części jednego i tego samego hasła.

„Żałobnicy”, to - w największym skrócie - krakowianie. „Żartownisie” - to warszawiacy.

Zacznijmy może od tego, że przez całe dzieciństwo i przez całą wczesną młodość miałam wrażenie, że w bardzo ciemnych sukniach chodzą tylko bardzo stare kobiety. Wrażenie to było zapewne mylne, ukształtowało się gdzieś wśród najbliższego otoczenia, może po prostu zaciążyła na nim sylwetka zawsze ciemno ubranej babci Brońci... W każdym razie - tak było.

Toteż pierwszą młodą dziewczynę ubraną na czarno zobaczyłam dopiero w Krakowie. Była nią Joanna Olczakówna, a rok był chyba pięćdziesiąty szósty albo pięćdziesiąty siódmy.

Joanna Olczakówna była jedną z najbardziej twórczych, a zarazem jedną z najbardziej dyskretnych indywidualności naszego pokolenia. Gdyby udzieliła choć w połowie tylu wywiadów, co Violetta Villas, i gdyby była choć trochę bardziej wszędobylska, zdobyłaby u nas popularność Saganki. Joanna jednak wolała występować anonimowo lub półanonimowo. Choć okno na świat miała otwarte na oścież, wolała pozostać tam, gdzie jej się podobało: w Krakowie mianowicie.

Wnuczka sławnego wydawcy Mortkowicza, córka pisarki Mortkowicz-Olczakowej, młoda, krótko ostrzyżona polonistka - Joasia Olczakówna - była zatem pierwszą w moim życiu dziewczyną w czarnej sukience.

Ja miałam wtedy lat dziewiętnaście czy dwadzieścia i byłam początkującą dziennikarką. Przyjechałam do Krakowa, żeby napisać coś o zakwitającej właśnie „Piwnicy pod Baranami” i w ogóle tak - rozejrzeć się. Rozglądanie się po Krakowie było wtedy rozkoszą. W każdej dziupli, w każdej suterenie, w każdej celi klasztornej i na każdym poddaszu coś się działo. Ówdzie śpiewała Demarczyk, ówdzie reżyserował Kantor, ówdzie błaznował Wiesiek Dymny. Tylko słuchać, patrzeć i podziwiać. No i poznawać się nawzajem, gadać.

Z podziwianiem nie miałam żadnego trudu. Natomiast kontakty ludzkie szły mi z początku jak z kamienia. Prawdę mówiąc na mój widok cyganeria krakowska wybuchała śmiechem. Cała nasza bowiem warszawska oficjalność, ten ołoweczek dziennikarski, to pewne stołeczne napuszenie, ta nawet punktualność - wydawały im się ponure i bez sensu. Ilekroć powiedziałam coś w rodzaju: „No, to może spotkamy się tu i tu, o tej i o tej godzinie” - piwnicznianie wybuchali śmiechem, sekretnym rżeniem przejętym od Piotra Skrzyneckiego.

W tych trudnych dialogach Joanna Olczak, a później Kryśka Zachwatowicz - były mi tłumaczkami. Nauczyłam się od nich jednego: nie przejmować się, nie peszyć się zanadto tak brutalnie zaznaczoną odrębnością światów, nie mizdrzyć się, nie przejmować na siłę ich języka, brnąć dalej w swoje i po swojemu. Jeżeli mamy się polubić i zrozumieć, polubimy się i tak, nawet gdybyśmy my dźwigali teczkę aktówkę, a oni - ptaka na głowie.

Dlaczegoż to jednak dźwigali oni ptaka na głowie, a przede wszystkim - dlaczego ubierali się na czarno? O, bo przecież nie tylko Joanna - współtwórczyni „Piwnicy”, nosiła się na czarno! Jej koleżdy i koleżanki, mistrz Piotr Skrzynecki i inny mistrz - Kantor - także tonęli w czerni.

Jeżeli teraz ktoś mi powie, że było to małpowanie egzystencjalizmu, to ja z kolei wybuchnę cichym i złym chichotem. Nic podobnego. Po prostu, moi mili, Kraków nosił jeszcze wtedy żałobę. Kantor - do dziś nosi. Może popełniam tu jakiś wielki błąd „historiozoficzny”, może szamocę się próbując szukać uogólnień tam, gdzie są tylko szczegóły, ale trudno, takie były moje odczucia: Kraków, artyści krakowscy ówczesni, to żałobnicy. Wielkie wspaniałe płaczki po wartościach, które minęły i które mijały na ich oczach. Ale nie tylko płaczki! Także: Zalotnicy i Zalotnice... Krakowianie bowiem nie boją się duchów. Prowadzą z nimi nieustający, namiętny flirt.

...Taki przykład:

Jest w Krakowie na rynku kawiarnia „Antyczna”. Do tej to kawiarni, codziennie w południe, przychodziła

na kawę pewna staruszka. Wypiła filiżankę kawy, zjadła czasem kremówkę, i wychodziła. Któregoś dnia staruszka siedziała dłużej niż zwykle. Nieruchoma ręka nie bawiła się łyżeczką. Zaniepokojona kelnerka podeszła do ocienionego stolika. Klientka nie żyła.

Cóż robić? Kelnerka naradziła się z koleżanką, podeszły do staruszki, oparły ją wygodnie o ścianę, i dały jej spokój. Staruszka przesiedziała nad swoją ostatnią kawą do wieczora. Dopiero późno w nocy, kiedy goście odeszli, „odeszła” i staruszka.

W kilka tygodni potem, nie pamiętam kto (może Kazik Wiśniak) napisał o tym piosenkę: „Śmierć w kawiarni”. Piosenkę tę, do niedawna, śpiewano w „Piwnicy pod Baranami”. Publiczność odbierała ją jako surrealistyczny żart, a tymczasem to był tylko... półżart.

Cóż, „Piwnica” wciąż jest i żyje. Kto chce, może pojechać do Krakowa. Kto jednak nie chce lub nie może, powinien o niej czasem coś przeczytać. Ja jednak wyczuwam u krytyków jakąś bezradność w pisaniu o „Piwnicy”. Jakoś to „nie wychodzi”.

O Kantorze natomiast, który jest przecież znacznie trudniejszy, pisze się jasno i mądrze. Sprawa jest prosta: to piszą zupełnie inni ludzie. Piotra zaszufladkowano jako kabareciarza, Kantora jako natchnionego artystę. O „Piwnicy” pisze się laurki, o teatrze Kantora rozprawy naukowe.

Mnie zaś, wydaje się, że wszyscy ci artyści wywodzą się z tego samego pnia. Z tego samego - półumarłego świata.

Spójrzcie, kogo spotykamy w teatrze Kantora: Na pół jeszcze żywe kukły, na pół już umarłych żołnierzy, martwe słowa nie do kończonych lekcji. Świat żywych i umarłych zaczepia jeden o drugi w sposób tak nieuchwytny i skomplikowany, a jednocześnie - tak czytelny, jak świat dnia codziennego i jawy - zahacza o marę senną.

Gdybym śmiała tknąć tej poetyki, napisałabym piosenkę o śmierci dziecka z lalką: dziecko nie żyje już, a mechaniczna lalka śpiewa jeszcze swoją katarynkową piosenkę.

Spójrzmy jednak, jakimi postaciami zaludniają swój teatr Piotr Skrzynecki i Joanna Olczak: są to półżywe śpiewaczki, obłąkani pamiętnikarze, cnotliwe wdówki, cyrkówki w kapeluszach babuni, osamotnione jak kanarki hrabiny i Huculi zagubieni w wielkim mieście. Także: dyrektorzy zbankrutowanych cyrków, mańkuci, muzycanci chórów anielskich i Kika Szaszkiwiczowa, pielęgniarzka złudzeń.

Jeśli porównać Kantora i Skrzyneckiego z tamtych lat do kierowników rozstrzelanych taborów, to można by pomyśleć, że tabor Kantora składał się z najbliższej rodziny (wliczając w to Pana Boga), a tabor Skrzyneckiego - z cyrkowych wagabundów.

Oczywiście Kantor to perfekcjonista, autor doskonałych partytur, a Piotr to improwizator, który nie wie, co będzie w „Piwnicy” jutro (albo udaje, że nie wie).

Warto jednak pamiętać, że te różnice zaznaczyły się w późniejszych latach. Natomiast wtedy, kiedyśmy się dopiero budzili było inaczej. W „Piwnicy” Ewa Demarczyk śpiewała z diabelską precyzją „Karuzelę z Madonnami”, natomiast Kantor ćwiczył dopiero palcówki, i pierwsze jego przedstawienie, które widziałam, było po trosze kabaretem („Cricot”).

Nie to jest jednak ważne. Ważne jest to, że dobrą znajomą tak „Piwniczanką”, jak i Kantora, była śmierć. Jak to się robi, żeby podejść do śmierci na taki bliski dystans? To chyba proste. Musi być dobra wola po obu stronach. Musi to być śmierć ufna, w kontakcie chętna, rozmowna i oswojona.

Taka była śmierć krakowska.

Wyobraźmy sobie na przykład krakowianina, który po tułaczce wojennej wraca do swego miasta. Zastaje on zmiany niewyobrażalne, okaleczenia potworne, ale... miasto żyje. Rozstrzelano mu ojca, ale matka jest, odnalazła się, jutro wraca na Sławkowską. Ukradziono z salonu Matejkę, ale Kossak wisi. Sprzedano złote lorgnon i kapelusz dziadka, ale nie ruszone kalosze czekają w przedpokoju, i krakowianin jeszcze dziś wyjdzie w nich na A-B. Będzie odwiedzał ciotki, które przeżyły, i opłakiwał te, które zmarły.

O, właśnie: opłakiwał.

Nasza sytuacja, sytuacja warszawska, była zupełnie inna. Pewnego dnia, po upadku Powstania wygnano nas z miasta. Kiedy wróciliśmy, miasta nie było. Krótka historia, prawda?

Toteż nasz dowcip, nasz smutek, nasza praca i odpoczynek, były całkiem inne. W Krakowie co drugi człowiek wyglądał tak, jakby miał ciotkę. W Warszawie byli tacy, co nie mieli nikogo. Trudno przecie opłakiwać krewnych, których się nie znało.

Oczywiście i w Krakowie, jeśli zajrzeć głębiej, znajdziemy spustoszenia poczynione przez śmierć totalną, tragedie, po których nie został nawet strzęp fotografii. Ale i ..tę śmierć sztuka krakowska jakoś oswoiła i uczyniła przedmiotem poezji. Uczyniła to za sprawą szczególnie dobrej woli, natężenia pamięci mistycznej, i po prostu - dzięki nastawieniu ku śmierci.

Mam tu na myśli to wszystko, co artyści krakowscy zrobili dla miasteczek Schulza...

Może to jest wątek dla naszego tematu boczny, ale niesłychanie ważny: Schulz przetrwał nie tylko w Schulzu i nie tylko w Kantorze, którego rodowód „z Schulza” jest znany. Schulz przechował się w drobnostkach, potocznych poczynaniach artystów krakowskich.

Może było tak: Jest zima czterdziestego drugiego albo czterdziestego trzeciego roku. Jakieś małe nieszczęsne miasteczko na kresach. Przed chwilą wywieziono ostatnich Żydów. Ostatni krzyk brzęczy jeszcze w gołych konarach. Na opustoszałym rynku coś błyszczy: to potłuczone lustro na zawsze już nieobecnej dziewczynki.

Nadchodzi wieczór, nadlatuje sroka. Zwabiona blaskiem błyskotki, unosi jeden lśniący okruszek i niesie go daleko, daleko, aż pod Kraków. Tam, moszcząc gniazdo, gubi okruszek, i znajduje go... kto? Nie wiem. Może Andrzej Bursa, może Zygmunt Konieczny, może Wiśniak... Przecierają znalezione szkieleto i widzą w nim, jak we śnie, odłamki z miasteczka Schulza.

Skąd bowiem nagle ta nuta tęskna w śpiewie Ewy, skąd Piotra płaszcz jak z hasydzkich skrzydeł uczyniony, skąd przygarbienie Krzysia Litwina i skąd wreszcie - Hucuł?...

My, warszawiacy, jesteśmy cali z gazety, od stóp do głów dzisiejsi i stale na dziś. Zamiast grzebać pod gruzami, rozejrzeliśmy się wkoło i zarechotaliśmy Wiechem, zakleliśmy Hłaską, zakrzykliśmy STS-em, rozkochaliśmy się w Gombrowiczu.

To nasze nastawienie na żart i na kpinę jest szeroko w świecie znane i komentowane. Ale czemu tę tak jest, dlaczegośmy się tak totalnie wypięli? Bo ja wiem... Może dlatego, że nie mieliśmy innego wyjścia? Potwory historii podchodzą pod same nasze domostwa, jak rozbawione dziki zimą. Domostwa walą się nam na głowę, nim zdążymy otynkować ściany. Ścianom wyrastają uszy, zanim zawiesimy święte obrazy. W Warszawie straszy nawet za dnia!

Cóż więc mieliśmy począć? Musieliśmy na to wynaleźć jakieś lekarstwo. Postąpiliśmy jak Alicja z Krainy Czarów: znaleźliśmy na ukrytej półeczce tajemniczy słoik i dobraliśmy się do niego. Tak oto trafiliśmy na odpowiedni eliksir: to ten, który pozwala nam się dowolnie powiększać i pomniejszać. Jest to eliksir żartu!

Wypiwszy odpowiednią dawkę - ogromniejemy, a zmagający się z nami potwór (oczywiście) - maleje! Już nie jesteśmy małą, bezbronną Alicją, o nie! Jesteśmy potworem między potworami.

Teraz wystarczy wymierzyć przeciwnikowi lekką fangę w nos - i przeciwnik leży. Czy nie tak?

Książka, którą oddaję Wam dzisiaj do rąk, nie uniknęła typowego, warszawskiego losu - warszawskiej przygody. Oto kiedy byłam przy literze „M” („Molo”) ogłoszono stan wojenny.

Nazajutrz ulica urodziła pierwsze żarty.

- A to pani zna? - Podchodzi baba do „zomowca”, podaje mu dwa złote i mówi: „Czy mogę skorzystać z automatu?”...

No więc tak to jest. Tak i tak. Tak! Zatem bądźmy wszyscy dobrej myśli. Zadzwoń do mnie, Elu, pierwszego dnia po wojnie.

Zamiast posłowania

*W taki wieczór,
ani zimny, ani letni,
przez ulice, przez granice i przez mosty,
spacerują sobie szpetni,
spacerują sobie szpetni czterdziestoletni,
bracia i siostry...
Każdy dawno rozwiedziony
idzie mocno zamyślony,
niczym wdowiec po ideach i po babach...
Co pomyśli, to wymyśli, potem jeszcze mu się przyśni,
bo to taka jest, widzicie, smutna sprawa...
Odczuwamy trochę zgagi po tym życiu,
po tym życiu, po przepiciu i te pe,
odczuwamy trochę kaca,
że co było, to nie wraca,
jak ten kochaś, który zginął w sianej mgle...
Odczuwamy trochę żalu,
że tak wczesnie jest po balu,
Chociaż noga się do tańca jeszcze rwie...
Chce się tańczyć, chce się walczyć,
a tu nagle - „Panie starszy, zamykamy”, tak czy nie?...
Zazdrościmy młodszym siostrom,
cytujemy coś z „Po Prostu”, .
albo żal się komuś robi Zetempe...
Czasem kogoś się spotyka,
siwa chandra nagle znika,
chcemy żenić się z dziewczyną,
zamawiamy siódme wino,
ktoś ubiera się w kolczyki z naszych łez...
Potem jest się w siódmym niebie...
Potem wraca się do siebie...
Zawsze wraca się do siebie...
Tylko powiedz... Tylko powiedz:
Gdzie to jest?*

- Koniec -

Warszawa, czerwiec 1981-lipiec 1982

Spis treści

Spis tęsknot.....	1
A.....	3
„Aby artystą zostać”	3
Aluzja. Aureola filozoficzna.....	3
Ameba.....	4

„A mój chłopiec piłkę kopie”	5
Analfabetyzm.....	6
B	7
Balonowa	7
Bale warszawskie	8
Bywamy i przyjmujemy gości	10
C	13
Calvados	13
„Cena strachu”	13
Ciuchy.....	14
Czang-kai-szekei	14
Czerwone skarpetki Tyrmanda	14
D	16
dostojewski	16
Działacz	17
E.....	18
Eile.....	18
Europa.....	19
F.....	20
Festiwal młodzieży	20
Flirt towarzyski	21
Formalizm.....	24
G	24
Gawędziarz	24
„Gaz”	26
Godzinki	27
H	28
Hiena Materacowa	28
Hłasko.....	29
I.....	30
Imiona	30
„Inne”. „Inni”	31
J	33
„Ja”	33
Jazz. „Jazzowy”. „Ale jazz”	35
„Jazz”	38
Jazzowy (przymiotnik)	38
Jazzmenów żony.....	38
K	39

Kobieta-dziecko.....	39
Kołchoźnik	39
Komedianci.....	39
Książeczki dla dzieci	40
L.....	42
Legia. Basen Legii.....	42
Ł.....	45
Łabędź	45
Łajka.....	45
Łódź.....	46
M	48
Manekin.....	48
Masy	49
Maski, maseczki, zamaskowany	50
Molo	52
N	54
Najstarszy przy stoliku	54
O	56
Obiektywnie - Subiektywnie	56
„Oparty o...”	59
Operacja na otwartym sercu	59
Osobowość	62
P.....	62
Pan	62
Pan Antoni	63
Październik	64
Plastyczką być	65
Przedwojna	67
Pojedynek	70
Pyzica	70
R	70
Różne żony	70
Referat	72
„Rzeszowskie i Kieleckie”	74
S.....	75
Siódmy kolor czerwieni	75
Szlak	75
Ś.....	76
Śluby mazurskie (rożnowskie, helskie, lanckorońskie)	76

Śmiech	79
Świnia	80
T.....	81
Tango. W tango!	81
Teren. Trasa	82
„Tralabomba” (cyrk).....	83
U	84
Ubu król.....	84
Ucho (Spółdzielnia „Ucho”).....	86
Utrillo	86
W	87
Wołacz „o!”	87
Wódka czysta z czerwoną kartką.....	87
Wykopki (Wyjazd na wykopki).....	88
Z.....	88
„Zachód”	88
„Zimna Paulina”	90
Ż.....	91
Żaba	91
Żałobnicy i Żartownisie	92
Zamiast posłowia.....	95

